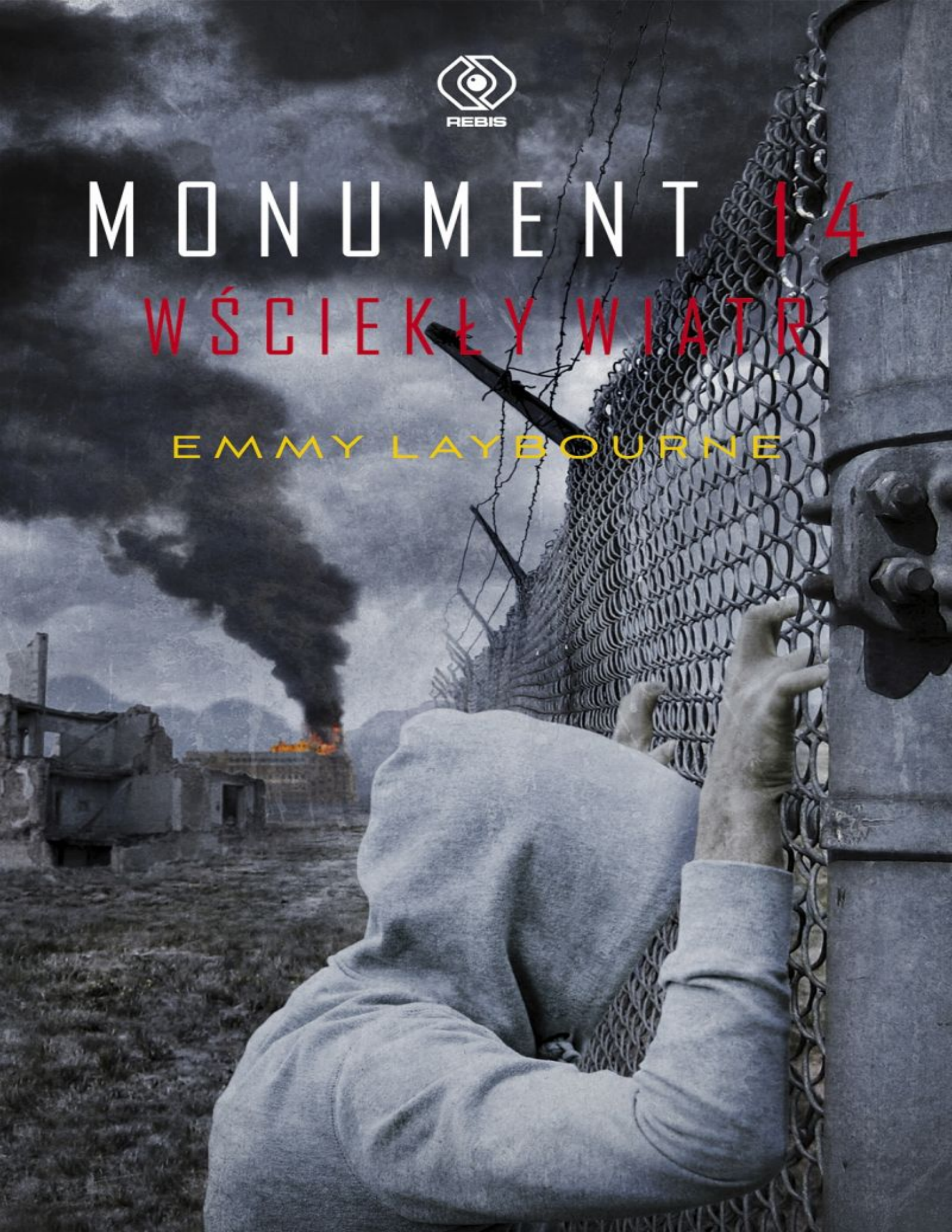




MONUMENT 14

WŚCIEKŁY WIATR

EMMY LAYBOURNE



MONUMENT 14
WŚCIEKŁY WIATR

EMMY LAYBOURNE

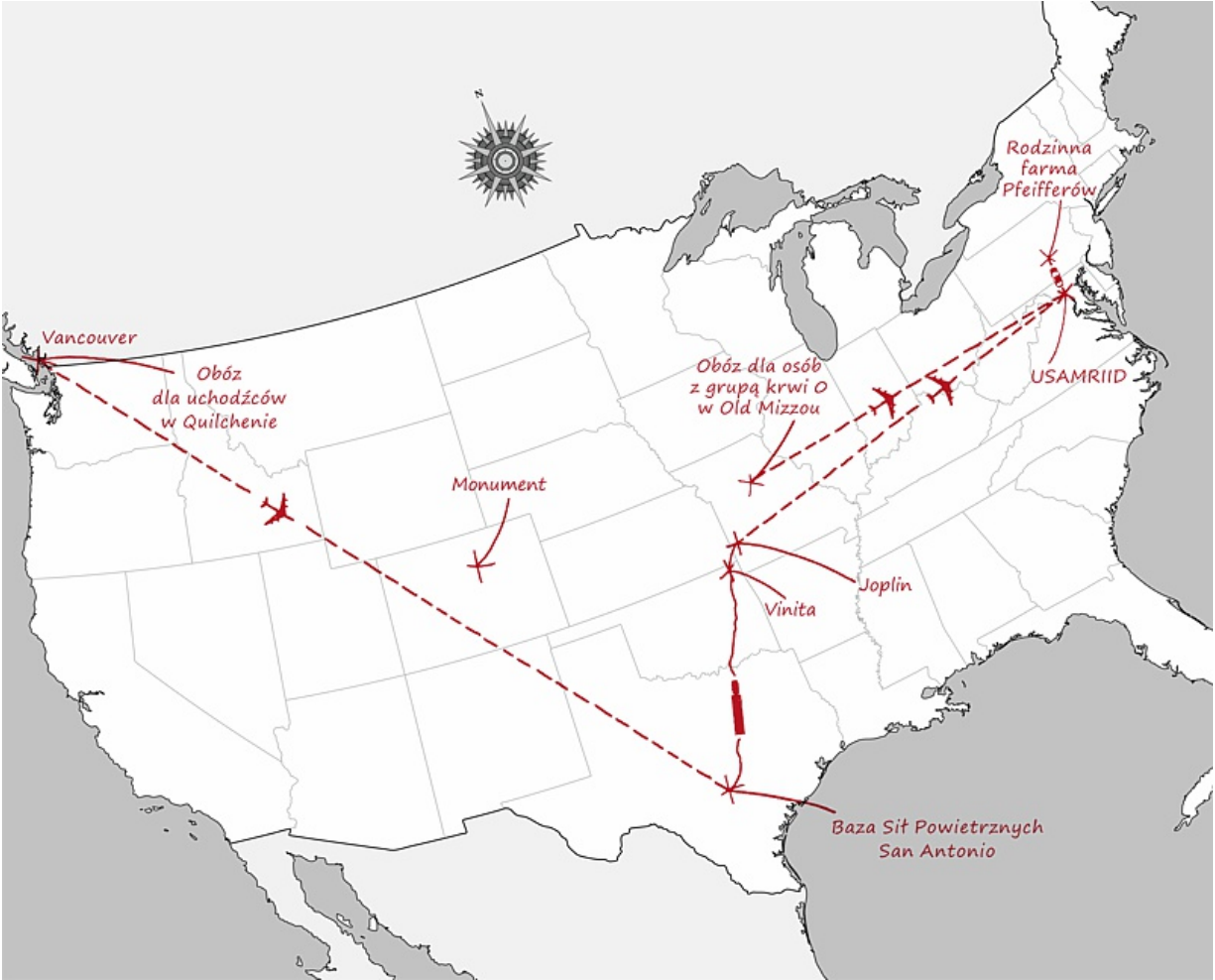
PRZEKŁAD
MARIA SMULEWSKA



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

**Moim siostrom,
Herran i Renee**



DO REDAKCJI

MONUMENT 14

Jak uciekliśmy z przyjaciółmi z epicentrum zagłady Four Corners.

Do Redakcji,

w Państwa gazecie miałem okazję przeczytać kilka niesamowitych opowieści o osobach, którym udało się przeżyć megatsunami. Tu, w obozie dla uchodźców w Quilchenie w Vancouver, czytują nam te listy na głos po obiedzie. Czasami ludzie wręcz wiwatują. Ale zauważyłem, że prawie wszystkie listy, jakie Państwo publikują, są od osób ze Wschodniego Wybrzeża.

Być może wynika to z tego, że Państwa czytelnicy są bardziej zainteresowani historiami z ich regionu. Albo może poczta źle działa i nie otrzymują Państwo żadnych listów z naszego obozu. Wysłałem naszą historię w nadziei, że Państwo ją opublikują i dzięki temu odnajdą nas rodzice.

Rano 28 września 2024 roku jechałem autobusem do szkoły, gdy rozpętało się potworne gradobicie. Naszym autobusem kierowała pani Wooly, która postanowiła wjechać nim przez szklane drzwi do lokalnego hipermarketu sieci Greenway, żebyśmy mogli się schować. W sumie było nas czternaścioro.

Pani Wooly udała się po pomoc. Gdy na nią czekaliśmy, automatycznie opadły bramy sklepu. Byliśmy uwięzieni. Znaleźliśmy w środku stary telewizor i dowiedzieliśmy się z niego o megatsunami. Kiedy następnego dnia nastąpiło trzęsienie ziemi i doszło do wycieku chemikaliów, zalepiliśmy drzwi i uszczelniliśmy sklep.

Pozostaliśmy w środku przez dwa tygodnie i zostalibyśmy dłużej (a wtedy pewnie zginęlibyśmy podczas bombardowania powietrza), ale jeden z chłopców – Brayden – został postrzelony. Wtedy nasz szkolny autobus był już naprawiony, więc część z nas postanowiła dotrzeć do lotniska w Denver.

Mój brat, Dean Grieder, zdecydował się jednak zostać w sklepie wraz z Astrid Heyman, która była w ciąży, oraz trojgiem młodszych dzieci: Chloe Frasier i bliźniakami, Caroline i Henrym McKinleyami. Dean i Astrid mają grupę krwi 0 i bali się, że wystawieni na działanie powietrza zaatakują nas, tak jak już im się wcześniej zdarzało.

Wyruszyliśmy w nieprzeniknione ciemności. To było przerażające. Prowadził nasz przywódca, Niko Mills. W autobusie było nas ośmioro w wieku od ośmiu do siedemnastu lat

(patrz załączona lista nazwisk). Widzieliśmy ciała leżące na drodze i mnóstwo innych strasznych rzeczy. Byliśmy już w połowie drogi, gdy wpadliśmy w zasadzkę zastawioną przez kadetów ze szkoły lotniczej. Wyrzucili nas z autobusu i nie pozwolili nam wziąć ze sobą żadnych zapasów, z wyjątkiem jednego plecaka, który akurat miał na sobie Niko.

Szliśmy piechotą i po drodze straciliśmy jedną z nas. Josie Miller celowo zdjęła maskę i zdała się na swój szal 0, żeby obronić nas przed obłąkanym żołnierzem. Oddała życie, żebyśmy byli bezpieczni.

Potem pomógł nam pan Mario Scietto. Wpadliśmy w pułapkę zastawioną przez ojca i syna, którzy chcieli ukraść nam maski i wodę. Pan Mario pomógł nam wydostać się z dziury i pozwolił odpocząć w swoim schronie.

Szliśmy tak długo, aż dotarliśmy do miejsca zbiórki pod lotniskiem międzynarodowym w Denver. Na lotnisku odnaleźliśmy panią Wooly, która należy do Gwardii Narodowej i została powołana do służby. Opowiedzieliśmy jej o moim bracie i pozostałych dzieciach, które zostały w Greenwayu. Kiedy dowiedzieliśmy się o Operacji Feniks (bombardowaniu przeprowadzonym przez siły lotnicze w celu zniszczenia związku chemicznego MORS i zlikwidowania chmury KRUK, które de facto zrównało z ziemią cały rejon Four Corners), próbowaliśmy pomóc pani Wooly znaleźć pilota, który podjąłby się misji ratowniczej. Błagaliśmy właśnie jednego, by nam pomógł, gdy pojawił się inny i powiedział, że to zrobi. Był to ojciec bliźniaków, które zostały w sklepie z Deanem i Astrid.

Pomknęliśmy z powrotem do Monumentu helikopterem kapitana McKinleya (był to wildcat). Gdy lądowaliśmy na dachu, zobaczyliśmy pierwsze bomby nad NORAD-em. Spanikowaliśmy, bo Deana i reszty nie było w sklepie! Tuż przed naszym przybyciem opuścili sklep, ponieważ postanowili, że sami spróbują dotrzeć do Denver. Ale mój brat zobaczył nas na dachu i przybiegł do nas. Udało nam się ich wszystkich uratować.

Gorące wiatry wywołane bombardowaniem mało nas nie zepchnęły na ziemię i widzieliśmy, jak kolejne wybuchy dziurawią czarne niebo wszędzie wokół nas, ale udało nam się.

Z czternaściorga dzieci przeżyło dwanaścioro, z czego jedenaścioro znajduje się teraz w obozie w Quilchenie. Jednak tylko pięcioro z nas odnalazło rodziców lub zdobyło o nich informacje.

Podaję nasze nazwiska:

Alex i Dean Grieder, lat 13 i 16,

Jake Simonsen, lat 18,

Astrid Heyman, lat 17,

Niko Mills, lat 16,

Sahalia Wenner, lat 13,

Chloe Frasier, lat 10,

*Batiste Harrison, lat 9,
Max Skolnik, lat 8,
Ulysses Dominguez, lat 8,
Caroline i Henry McKinley, lat 5,*

oraz

*Josie Miller, lat 15, najprawdopodobniej nie żyje,
Brayden Cutlass, lat 17, nie żyje.*

Każdego, kto ma jakiegokolwiek informacje o naszych rodzicach lub innych członkach rodziny, bardzo prosimy o kontakt z Koordynatorem Relokacji Obozu dla Uchodźców w Quilchenie.

Z poważaniem,
Alex Grieder

ROZDZIAŁ 1

DEAN

DZIEŃ 31

Niko patrzył na nas z przejęciem.

– Josie żyje! – powtórzył. – Przetrzymują ją wbrew jej woli w Missouri!

Z osłupieniem wpatrywaliśmy się w gazetę. To naprawdę była Josie. Miał rację.

– Jadę po nią. Kto jedzie ze mną?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Jestem prawie pewien, że rozdziawiłem usta jak durna ryba.

– Daj nam się przyjrzeć zdjęciu, Niko. Jesteś pewien, że to ona? – odezwał się Jake. Dyplomatyczny. Jak to on. Podszedł bliżej i wziął od Nika gazetę.

– To naprawdę Josie? Jesteście pewni? – spytała Caroline.

Maluchy obskoczyły Jake'a ze wszystkich stron, żeby spojrzeć.

– Zaczekajcie, zaczekajcie. Położę ją na czymś.

Jake rozłożył gazetę na prześcieradle, którego pani McKinley użyła jako koca piknikowego. Byliśmy na polu golfowym. Bliźniaki obchodziły szóste urodziny.

– To Josie! To naprawdę ona! – emocjonował się Max. – Byłem pewien, że ją wybuchło!

– Nie podrzyjcie mi gazety! – zaniepokoił się Niko.

Dzieciaki przepychały się, żeby lepiej widzieć. Luna, nasza puszysta, biała maskotka, siedziała Chloe na rękach, szczekała i lizała, kogo popadło. Była równie przejęta jak my.

– Niech ktoś mi to przeczyta na głos! – domagała się Chloe.

– Chloe, kochanie, poproś w grzeczniejszy sposób – zganiała ją łagodnie pani McKinley.

– Niech mi to ktoś przeczyta na głos, PROSZĘ!

Powodzenia, pani McKinley.

Pani McKinley zaczęła czytać artykuł. Było w nim napisane, że warunki w obozie dla osób o grupie krwi 0 są skandaliczne i że wykorzystuje się więźniów. Że pomoc medyczna jest bardzo ograniczona. I że gdyby Booker nie przekazał zarządzania obozami poszczególnym stanom, nigdy by do czegoś takiego nie doszło.

Patrzyłem tylko na Nika.

Kołysał się na piętach.

Działanie. Zrozumiałem, że tego właśnie mu brakowało.

Niko nie mógł żyć bez planu, nie potrafił nie być użyteczny. Tu w Quilchenie, na luksusowym polu golfowym przemienionym w obóz dla uchodźców, mieliśmy wprawdzie bardzo jasno określony plan dnia, ale właściwie nic do roboty, poza oglądaniem przygnębiających wiadomości z kraju i staniem w kolejkach.

Niko dosłownie nikł w oczach – zżerała go rozpacz i wyrzuty sumienia, że utracił Josie w drodze z Monumentu na lotnisko. I nie mógł wytrzymać tej przymusowej bezczynności.

A teraz strzeliło mu do głowy, że uratuje Josie.

Co było oczywiście kompletnym absurdem.

Zaczął krążyć nerwowo obok nas. Pani McKinley kończyła artykuł.

Dzieciaki miały mnóstwo pytań. Gdzie jest Missouri? Dlaczego ten strażnik chce uderzyć Josie? Kiedy mogą się z nią zobaczyć? Już dziś?

Ale Niko uciszył ich paplaninę własnym pytaniem.

– Myśli pani, że kapitan dałby radę nas tam zawieźć? – spytał panią McKinley. – To znaczy, jeśli tylko dostanie pozwolenie, mógłby nas tam zabrać helikopterem, prawda?

– Jestem pewna, że jeśli uruchomimy odpowiednie procedury, uda się ją tu przenieść. Przecież nie możecie tak po prostu sami po nią pojechać – odparła pani McKinley.

Spojrzelśmy po sobie z Alekssem – ona jeszcze nie знаła Nika.

On na pewno już się w myślach pakował na wyprawę.

Odwrócił się w moją stronę.

– Myślę, że będziemy mieć największe szanse, jeśli pojedziemy we trójkę: ty, Alex i ja – powiedział.

Astrid posłała mi to spojrzenie. Nic się nie martw, odpowiedziałem jej wzrokiem.

– Niko, musimy to przemyśleć – odparłem.

– O czym tu myśleć? Ona nas potrzebuje! Spójrz tylko na to zdjęcie. Ten typ ją bije! Musimy tam NATYCHMIAST jechać. Teraz, zaraz!

Podniósł głos.

– Chodzić, dzieci. My się pobawić w piłkę – odezwała się na to pośpiesznie pani Dominguez. Jej angielski był tylko odrobinę lepszy od Ulyssesowego. Odciągnęła maluchy. Synowie pomogli jej zabrać je i Lunę na trawnik dalej od nas.

Pani McKinley dołączyła do nich, zostawiając nas, „duże dzieciaki” – Nika, Jake’a, Aleksa, Astrid, Sahalię i mnie – przy piknikowym kocu i pozostałościach urodzinowej uczyty bliźniaków (na którą składały się pączki w czekoladowej polewie i paczka chrupek serowych). Było też kilka

bułeczek i jabłek z „Klubu”, jak wszyscy nazywali główny budynek ośrodka. To w nim znajdowały się stołówka, biura i świetlica.

Astrid, która z minuty na minutę zdawała się bardziej w ciąży, zjadła swoją porcję, a potem moją i Jake’a. Uwielbiałem patrzeć, jak je. Potrafiła naprawdę wcinać.

Jej brzuch rósł niemal w oczach. Naprawdę było go już mocno widać. Nawet pępek wylazł na wierzch, taki radosny i sprężysty, że odskakiwał, gdy się go próbowało wcisnąć z powrotem.

Czasami Astrid pozwalała maluchom się nim bawić, a wtedy ustawiały się do niej w kolejce. Też bym miał ochotę, ale nie odważyłem się spytać, czy mogę.

W każdym razie maluchy na pewno nie powinny słyszeć, jak się kłócimy, więc to miło ze strony mam, że je odciągnęły. Pani McKinley włożyła dużo wysiłku w zorganizowanie tego małego przyjęcia i bliźniaki powinny się dobrze bawić.

Niko miał rozbiegany wzrok i zarumienione policzki. Jak zawsze zresztą, gdy się wściekał. Bo poza tym to zwykle jest raczej spokojny, żeby nie powiedzieć nijaki. Wicie, proste, brązowe włosy, brązowe oczy, jasnobrązowa skóra.

– W głowie mi się nie mieści, że jej los was nic a nic nie obchodzi – syknął Niko. – Josie żyje. Powinna być z nami. Zamiast tego zamknęli ją w jakiejś ciupie. Musimy ją stamtąd wyciągnąć.

– Niko, ona jest dobre półtora tysiąca kilometrów stąd, po drugiej stronie granicy – próbowałem przemówić mu do rozsądku.

– A twój wujek? – spytał Alex. – Może gdybyśmy dali radę się z nim skontaktować, on mógłby po nią pojechać. Missouri nie jest tak daleko od Pensylwanii jak Vancouver...

– Nic z tego – przerwał mu Niko. – Musimy ją zabrać stamtąd natychmiast. Przecież ona jest w niebezpieczeństwie!

– Niko – spróbowała Astrid. – To zrozumiałe, że jesteś wzburzony...

– Pojęcia nie macie, co ona dla was zrobiła!

– Mamy, Niko – zapewnił go Alex. Położył mu rękę na ramieniu. – Gdyby nie weszła w tryb 0, już byśmy nie żyli. Wiemy o tym. Gdyby nie zabiła tamtych ludzi, byłoby po nas.

– Jasne – dodała Sahalia. Miała na sobie kombinezon malarski z podwiniętymi nogawkami i czerwoną bandanę przewiazaną w pasie. Wyglądała zabójczo cool. Jak zwykle. – Cokolwiek trzeba zrobić, żeby ją uratować, zrobimy to.

– W porządku – wycedził Niko przez zęby i machnął na nas ręką. – Sam pojedę. Tak będzie najlepiej.

– Niko, wszyscy chcemy uwolnić Josie – odezwała się Astrid. – Ale musisz zachować odrobinę rozsądku!

– Uważam, że Niko ma rację. Powinien po nią pojechać – oświadczył Jake. – Jeśli na całej tej cholernej, szerniałej ziemi istnieje choć jedna osoba, której by się to miało udać, to jest nią właśnie Niko Mills.

Spojrzałem na niego – Jake Simonsen, czyściutki aż lśni. Na antydepresantach. Znow pakuwał. Już znow był opalony. Przecież bez końca kopali z tatą piłę na polu golfowym.

Astrid tak się cieszyła, że Jake jest znowu w dobrej formie.

Zęby same mi się zacisnęły i z trudem się powstrzymałem, żeby go nie strzelić.

– Przestań, Jake! – krzyknąłem. – Nie mów tak, jakby to było możliwe. Nie rób Nikowi nadziei. Nie da się tak po prostu przekroczyć granicy, dotrzeć do Missouri i zorganizować ucieczki Josie z więzienia! To szaleństwo!

– Taki z ciebie Pan Bezpieczny? Pan Zachowawczy? – odparował Jake.

– Tu nie chodzi o to, co o mnie myślisz! – wydarłem się na niego. – Tu chodzi o bezpieczeństwo Nika!

– Chłopaki, w tej chwili przestańcie się kłócić! – krzyknęła Sahalia.

– Właśnie, Dean, lepiej się opanuj, bo znów wejdiesz w tryb 0.

Zrobiłem dwa kroki i już byłem przy nim.

– Nie waż się NIGDY mówić, że wchodzę w tryb 0 – warknąłem.

Jego promienny uśmiech zniknął bez śladu i widziałem, że chce się bić tak samo jak ja.

– Ale z was dupki – syknęła Astrid, rozdzielając nas. – Tu chodzi o NIKA i JOSIE, a nie o was dwóch i wasze głupie samcze walki!

– Poza tym są przecież urodziny bliźniaków – przypomniała nam Sahalia. – Nie psujmy im przyjęcia.

Dopiero teraz zauważyłem, że maluchy na nas patrzą. Caroline i Henry trzymali się za ręce. Oczy mieli okrągłe z przerażenia.

– Może czas trochę dorosnąć, co? – dogryzła nam jeszcze Sahalia. – Moglibyście się wreszcie zacząć dogadywać, skoro zaraz będziecie tatusiami!

Odwróciłem się na pięcie i poszedłem sobie.

Może Astrid uzna to za infantylne zachowanie, ale przysięgam, że gdybym został, tobym go strzelił.

Farma wujka Nika stała się marzeniem, które podtrzymywało w nas nadzieję na lepsze jutro. W każdym razie podtrzymywało tę nadzieję w Niku, Aleksie i Sahalii. Choć we mnie i Astrid do pewnego stopnia też.

Wujek Nika mieszkał w wielkim domu na olbrzymiej, ale teraz niefunkcjonującej farmie owocowej w Pensylwanii. Niko i Alex snuli całe plany naprawienia domu i odtworzenia sadów. Mieli wizję, że na farmie

zmieścimy się my wszyscy i nasze rodziny, kiedy (a nie „jeśli”) je odnajdziemy.

Tak czy siak było to piękne marzenie. Zakładając, że farma nie została już dawno zdeptana przez uchodźców.

ROZDZIAŁ 2

JOSIE

DZIEŃ 31

Trzymam się z dala od innych.

Tamta Josie, która zajmowała się wszystkimi wokół, już nie żyje.

Zginęła w gaju brzozowym obok szosy gdzieś między Monumentem a Denver.

Zginęła razem z pewnym obłąkanym od chemikaliów żołnierzem.

(Sama ją zabiłam, gdy zabiłam tamtego żołnierza).

Jestem dziewczyną, w której nieustannie wrze wściekłość – wściekłość, która może w każdej chwili wybuchnąć.

Wszyscy tu mamy grupę 0 i byliśmy wystawieni na działanie chemikaliów. Część z nas wpędziły one w szaleństwo, z którego nie da się już wyjść.

Wszystko zależy od tego, jak długo się nimi oddychało.

Ja byłam wystawiona na działanie trucizny ponad dwa dni – na ile udało nam się odtworzyć tamte wydarzenia.

Bez chwili wytchnienia pracuję nad samokontrolą. Muszę mieć się na baczności. Największym zagrożeniem jest moja własna krew.

Widzę, jak inni ulegają. Wybuchają kłótnie. Bójki o jedno nieprzyjazne spojrzenie, o obolały palec, zły sen.

Jeśli ktoś zupełnie nie jest w stanie się opanować, strażnicy zamykają go w jednej z czytelni w Hawthorn.

A kiedy ktoś naprawdę przesadzi, strażnicy go zabierają i już nie wraca.

Nie pomaga to, że jesteśmy jednak odrobinę silniejsi niż przedtem. Twardsi. Trochę szybciej zdrowiejemy. Nie jest to jakaś zabójcza różnica, ale jednak. Staruszki nagle nie potrzebują już lasek. Zarastają dziurki po kolczykach.

Więcej energii w komórkach. Tak to nazywają więźniowie.

Mówią, że to zaleta bycia 0.

Jedyna.

Obóz dla Osób o Grupie Krwi 0 w tak zwanym Old Mizzou to nie schronisko – to więzienie.

Bąblarze (grupa A), paranoicy (grupa AB) i kastraci (grupa B) znajdują się w obozach dla uchodźców. Mają pewną wolność. Więcej jedzenia. Czyste ciuchy. Telewizję.

Ale tu w Mizzou wszyscy mają grupę 0 i byli wystawieni na działanie broni chemicznej. Rząd uznał więc, że jesteśmy mordercami (i pewnie ma rację, ja w każdym razie jestem) i zamknął nas wszystkich razem. Nawet małe dzieci.

– Tak, tak – mówię, gdy pan Mario zaczyna gderać. – To niesprawiedliwe. To narusza nasze prawa.

Ale za każdym razem, gdy aż ręka mnie świerzbi, żeby przyłożyć jakiemuś kretynowi w nos, myślę sobie, że może jednak rząd ma rację.

Pamiętam, co babcia mówiła o gorączce. Pamiętam, jak siedziała na brzegu mojego łóżka i przykładła mi wilgotny ręcznik do czoła.

– Babciu – płakałam. – Głowa mnie boli.

Nie mówiłam tego głośno, ale tak naprawdę chodziło mi o to, żeby dała mi paracetamol. Wiedziała o tym.

– Mogłabym ci dać coś na zabicie gorączki, kochana, ale wysoka temperatura dodaje ci sił.

Płakałam, a łzy zdawały się gorące jak wrzątek.

– Gorączka wypala całe to dziecięce sadelko. Wypala wszystko, co niepotrzebne. Popycha cię do przodu w rozwoju. Gorączka jest dobra, kochanie. Sprawia, że stajesz się niezwykła.

Czy rzeczywiście czułam się potem silniejsza? Tak. Czułam się czysta. Twarda.

Dzięki babci czułam się dobra. Byłam pewna, że nigdy nie popełnię żadnego złego uczynku.

Dobrze, że babcia już dawno nie żyje. Za nic bym nie chciała, żeby mnie teraz zobaczyła. Bo wściekłość 0 przychodzi zupełnie jak gorączka, ale wypala samą duszę. Ciału dodaje sił, umysł zalewa żądzą krwi – z tego jeszcze da się wyjść. Lecz kiedy już raz się zabije, dusza się wypacza na zawsze. Jest jak przypalona patelnia – gdy tylko postawi się ją na ogniu, sama drży, nierówna, niespokojna.

Już nie mogę oddychać tak jak kiedyś – bo każdy oddech kradnę trupom, gnijącym, niepochowanym trupom, które zostawiłam w kałużach krwi.

To moja wina, że pan Mario utknął tu ze mną w „Cnotach”. Cnoty to nazwa zespołu budynków, z których każdy ma równie inspirującą nazwę: Doskonałość, Odpowiedzialność, Odkrywczość i Szacunek, a poza tym są jeszcze stołówka i dwa inne budynki mieszkalne, a wszystko to otoczone nie jednym, ale dwoma płotami

zabezpieczonymi drutem kolczastym. Witamy na uniwersytecie Missouri w Kolumbii – w wersji postapokaliptycznej.

Pamiętam, kiedy pan Mario i ja po raz pierwszy przeszliśmy przez te bramy. Zastanawiałam się wtedy, przed czym mają nas bronić takie druty. Głupia.

Podczas badań i sortowania posłusznie poddaliśmy się obowiązkowemu badaniu krwi. Opowiedzieliśmy naszą historię. Pan Mario mógł pójść do innego obozu – ma grupę AB. Ale nie chciał mnie zostawić.

Spisywał nas wysoki strażnik o błękitnych oczach i marnych resztkach włosów.

Spojrzał w papiery pana Maria.

– Trafiłeś do złego miejsca, dziadku – powiedział mu.

– Jestem odpowiedzialny za tę dziewczynę. Nie chcemy się rozdzielać.

Strażnik zlustrował nas spojrzeniem, które od razu mi się nie spodobało.

– Ach, nie chcecie? – spytał strażnik, wymawiając słowa dziwnie powoli. – Dziewczynka znalazła sobie czułego tatuśka, co?

– No i po co takie chamskie uwagi – zachnął się pan Mario. – Przecież ona ma dopiero piętnaście lat. To dziecko.

Z twarzy strażnika zniknął uśmiech.

– Nie tutaj – powiedział. – Tutaj jest zagrożeniem. Daję ci ostatnią szansę: możesz sobie pójść. Ubzdurało ci się, dziadku, że jesteś taki szlachetny, chroniąc tę dziewczynę, co? Ale ten obóz to nie miejsce dla staruchów. Powinieneś uciekać, póki możesz.

– Doceniam pana troskę, ale zostanę z przyjaciółką.

Nie podobało mi się to. Ten wielki, podły strażnik patrzący z góry na kruchego, starszego pana Maria, jakby chciał go zdeptać. I pan Mario odpowiadający mu spojrzeniem pełnym pogardy.

Nerwowo zaczęłam zaciskać i otwierać pięści. Może nawet przenosić ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

Strażnik chwycił mnie za brodę i zmusił do spojrzenia mu prosto w twarz.

– Jak długo byłaś wystawiona na działanie chemikaliów? – syknął.

– Tylko chwilę – powiedział pan Mario.

– NIE CIEBIE PYTAM, DZIADKU! – wydarł się strażnik.

Mocniej zacisnął palce na mojej żuchwie. Potrząsnął moją głową.

– Nazywam się Ezekiel Venger i jestem tu dowódcą. No już: jak długo?

– Nie pamiętam – powiedziałam.

Puścił mnie.

– Wiem, że będą z tobą kłopoty, panno Piętnastolatko. Od razu wiem, kto sprawia kłopoty. To dlatego jestem dowódcą. Lepiej uważaj: zero tolerancji. Zero.

– Tak, proszę pana – odpowiedziałam.

Wiem, kiedy należy mówić do kogoś proszę pana.

Mówi się do kogoś proszę pana, jeśli się go szanuje. Jeśli jest od ciebie starszy. Jeśli ma władzę. Albo pałkę i podły wzrok.

Pan Mario jest moim jedynym przyjacielem.

Uważa mnie za dobrą osobę. Myli się, ale się z nim nie spieram. Mówi, że we mnie wierzy.

Śpimy w dwuosobowym segmencie – z czterema innymi więźniami. Pan Mario chroni już nie tylko mnie. Zgłosił się na ochotnika do opieki nad czwórką dzieciaków i tylko dzięki temu pozwolili mu przebywać z nami na pierwszym piętrze Doskonałości. W pozostałych pokojach są tylko kobiety i dzieci.

Na parterze są mężczyźni i tam jest o wiele gorzej.

Śpię w jednym łóżku z Lori. Ma czternaście lat, brązowe włosy, białą skórę i wielkie, brązowe oczy, które czasami są tak smutne, że mam chęć ją strzelić po gębie.

Opowiedziała mi już swoją historię. Pochodzi z Denver i ukrywała się ze swoimi w mieszkaniu, ale skończyło im się jedzenie. Nim dotarli na lotnisko, ewakuacja już dawno się zaczęła. Byli jednymi z ostatnich, a kiedy doszło do zamieszek – gdy zapłonęło niebo nad Colorado Springs, ludzie tratowali się nawzajem w panice – zginęła jej matka. Potem ojciec wpadł w dziurę między rękawem lotniczym a samolotem, gdy wciskał ją na pokład.

Wcale nie chciałam usłyszeć tej historii. Chciałam, żeby spłynęła z moich uszu jak krople wody z woskowanego papieru, ale słowa wsiąkają głęboko. Woda, woda, woda. Lori jest wodą.

Leży przy mnie w nocy i płacze. Cała poduszka jest mokra.

Wiem, wiem, powinnam ją jakoś pocieszyć. Wystarczy tak niewiele. Co? Poklepać po plecach. Przytulić.

Lecz we mnie nie ma już współczucia.

Jak mówiłam – tamta Josie umarła.

Co więc daję Lori? Ciepło mojego śpiącego ciała. To wszystko. Tylko uciekające ciepło.

Powinnam opowiedzieć wam o pozostałej trójce. Tak, powinnam wymienić ich imiona. Opowiedzieć wam o nich, o tym, jak wyglądają, i o tych słodkich, przerażonych uśmiechach oraz o tym, że Heather wygląda zupełnie jak Batiste, ma taką samą owalną twarz, szczerą i poważną. Też jest pół-Azjatką. O tym, jak jednemu chłopcu zawsze się mieszają słowa. Nemolada zamiast lemoniada. Siągenica zamiast gaśienica. Trud golczasty zamiast drut kolczasty. Urocze, niewinne, denerwujące, neurotyczne. Słodkie, wymagające, zagubione i obecne. Nic nie mogę dla nich zrobić i nie chcę mieć z nimi do czynienia.

Każdego dnia się wściekam, że pan Mario w ogóle je przygarnął. Sieroty 0.

Same o siebie dbały, pomiatane i wykorzystywane przez innych. Wiem, że pan Mario postąpił słusznie.

W takim miejscu w ogóle nie powinno być dzieci.

Z tego, co rozumiem, zesłał nas tu rząd amerykański, ale obozem zarządza stan Missouri. Mieszkańcy stanu nie chcą nas wypuścić, ale też nie chcą dawać pieniędzy na nasze utrzymanie. A rządowi się z tym jakoś nie śpieszy.

Skutek? Za mało strażników, za mało jedzenia, za mało miejsca, za mało opieki medycznej. Ale wypuścić nas nie chcą.

Kiedy tu przyjechaliśmy, krążyły różne petycje. Ludzie prosili o oddzielenie stabilnych osób o grupie 0 od tych, które są przestępcami. Strażnicy już się postarali, żeby ci, którzy je podpisali, mieli ciężkie życie.

Teraz tylko bierzemy na przeczekanie.

Co tydzień pojawia się nowa plotka, że nas wypuszczą.

Nadzieja jest groźna. Zaczyna ci zależeć.

Muszę uważać na mężczyzn. Niektórzy nie panują nad rękami.

Nie boję się tego, co mogą mi zrobić – boję się, co ja mogłabym im zrobić.

Lepiej nie pakować się w kłopoty.

Parę dni temu pod płotem doszło do szamotaniny. Kilku dziennikarzom strzeliło do głowy, że muszą koniecznie z nami pogadać o życiu w obozie. Wykrzykiwali pytania przez płot.

Błagałam pana Maria, żeby się trzymał od tego z daleka. Ale się uparł. Robi się cały czerwony na twarzy, kiedy opowiada o warunkach w naszym więzieniu. Chce sprawiedliwości, chce walczyć o swoje prawa. Ja chcę tylko się stąd wydostać.

Poszłam z nim pod bramę, bo wiedziałam, że wpakuje się w tarapaty. I miałam rację.

Stało tam może ze dwudziestu więźniów, wrzeszczeli do kilkunastu dziennikarzy, którzy wykrzykiwali takie pytania jak:

- Czy odnosicie wrażenie, że łamane są wasze prawa?
- Czy prawdziwe są plotki o gangach?
- Czy jesteście w niebezpieczeństwie?

Niektórzy odpowiadali na pytania. Ale inni darli się tylko:

– Ratujcie nas!

Albo:

– Skontaktujcie się z moim wujem takim a takim! Da wam nagrodę!

Albo:

– Pomóżcie nam, na litość boską!

Potem przyjechały humvee, żeby przepędzić prasę. Pojawiło się dwóch strażników z karabinami na środki usypiające. Jednym z nich był Venger.

Widziałam radość w jego oczach, gdy zobaczył mnie i pana Maria przy płocie. Strażnicy najpierw rzucili się w tłum więźniów, siłą odrywając ich od płotu i zaganiając z powrotem do budynków.

– Wiedziałem! – darł się Venger. – Wiedziałem, że będą z wami kłopoty! Nikt się tu nie pcha z własnej woli!

Przedarł się przez tłum i chwycił chude ramię pana Maria.

I WRRRRR moja wściekłość natychmiast się uwolniła. Jak zwiększa się prędkość samochodu, który właśnie wjechał na autostradę.

– Nie waż się go tknąć! – ryknęłam.

Uderzył mnie mocno pałką w pierś.

Chwyciłam ją.

– Ty czarna ździro! – syknął.

Potem wyrwał mi pałkę i zamachnął się na pana Maria. Nie na mnie, ale na niego.

Uniosłam rękę i przyjąłam cios na przedramię.

Wcisnęłam się między nich i poczułam na sobie wielkie, ciepłe, potężne ciało Vengera. Pochwyciłam jego spojrzenie. Pełne euforii. Radości z krzywdzenia innych. Mocy, by zamachnąć się ręką i roztrzaskać czaszkę.

Nie wiem, czy Venger ma grupę 0, ale na pewno zna radość, jaką daje zabijanie.

Oczywiście nie powinnam była tak mu się stawiać. To był wielki błąd.

Nie wiem, co go we mnie najbardziej wkurza – czy to, że jestem młoda, czy że jestem dziewczyną, czy że jestem czarna.

Ale nie pozwoliłam mu roztrzaskać czaszki osiemdziesięciolatkowi.

Więc teraz jestem jego ulubionym wrogiem.

ROZDZIAŁ 3

DEAN

DZIEŃ 31

Pędziłem w stronę naszych namiotów.

Liście na drzewach za polem już były gotowe do opadnięcia. Czerwone, złote, we wszystkich odcieniach brązu – od ochry po czekoladę.

Trudno było się wściekać w obliczu takiego naturalnego, pełnego przepychu piękna. Ale jednak mi się udało.

– Dean! – zawołał za mną Alex. – Zaczekaj!

Obróciłem się i patrzyłem, jak wspina się po wzgórzu, żeby mnie dogonić.

– Jake naprawdę przesadził – powiedział. – Ale między wami jest coraz gorzej.

– To skończony idiota! – syknąłem. – Zachowuje się tak, jakby był jej chłopakiem! To jakiś obłąd.

– Wiem – zgodził się Alex.

Musiał robić dwa kroki na każdy mój jeden.

– Jake zawsze się tak zachowuje, jakby ona mu się należała czy coś. Jemu, nie mnie!

– Ale przecież jej zależy na tobie, nie? – spytał Alex.

Pokiwałem głową.

Alex jak to on – zawsze od razu przechodził do sedna.

– No – mruknąłem. – Chyba tak. Znaczy, no jestem jej chłopakiem. To chyba jasne. Ale... czasami mam wrażenie, że trzyma mnie na dystans.

– To tylko kwestia osobowości. Astrid nie obnosi się ze swoimi uczuciami – stwierdził Alex.

– To fakt – rzuciłem i pewnie zabrzmiało to tak żałośnie, jak się czułem.

– Jake gada bzdury tylko po to, żeby zrobić ci na złość. Wie, że martwisz się o Astrid, i gra na tym.

Wzruszyłem ramionami.

– Słyszałem, jak jej mówił, że wkrótce jadą z tatą do Teksasu. Namawiał ją, żeby jechała z nimi – powiedziałem.

– Cholera.

Szliśmy dalej.

– Słuchaj – odezwał się Alex. – Pamiętasz, co mama zawsze mówiła? O manifestowaniu rzeczywistości?

Spojrzałem na niego.

Zmienił się. Miałem wrażenie, że jakoś wyszczupłał.

– No – mruknąłem.

– No to pomyśl, co takiego ty manifestujesz tymi kłótniami z Jakiem i brakiem wiary w siebie.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jak się tak będę ciągle zamartwiał, czy Astrid wróci do Jake'a, to ona w końcu to zrobi?

– Chcę tylko powiedzieć, że jeśli będziesz marnował czas na zamartwianie się, że tak właśnie będzie, możesz sprawić, że to rzeczywiście stanie się możliwe.

Zasepiłem się.

– No bo kto by chciał być z facetem, który cały czas się martwi, rozumiesz, co mam na myśli? – drążył Alex.

– Tak. – Westchnąłem. – Doskonale rozumiem, co masz na myśli.

– Rozchmurz się – powiedział Alex. – Może już wkrótce czeka cię miła niespodzianka.

Na ustach błąkał mu się tajemniczy uśmiech.

– To by dopiero była odmiana – mruknąłem z przekąsem.

Dobrze było przez chwilę być samemu w Namiocie J. To znaczy byłem sam w naszej pięcioosobowej sypialni. Olbrzymi namiot przedzielony był wzdłuż długąszym korytarzem. Z korytarza wchodziło się do małych „pokoi” zrobionych z długich ścianek-płacht. Pod obiema ściankami stały w naszym pokoju piętrowe łóżka, a pod plastikowym okienkiem jeszcze jedno jednoosobowe.

To pod oknem przypadło – za jednomyślną zgodą wszystkich – Astrid.

Inne osieroczone nastolatki oczywiście rozrabiały w swoich pokojach, ale nasz miałem zupełnie dla siebie – to była w naszym obozie definicja chwili samotności.

Pisałem w dzienniku. To zawsze pomagało.

Po około półgodzinie przyszła Astrid. A za nią Jake.

Chyba się kłócili. I dobrze.

– Muszę tylko odpocząć – powiedziała mu.

Trzymała się za brzuch. Twarz miała wykrzywioną z bólu.

– Co się stało? – spytałem.

Wstałem zbyt pośpiesznie i rąbnąłem głową o spód łóżka Aleksa. Jake przewrócił oczami.

– Boli. W dole. Jak skurcz. Muszę odpocząć – wyjaśniła Astrid.

– Mówię jej, że powinna pójść do kliniki. Na pewno mają jakieś prochy na takie bzdety – odezwał się Jake.

– A ja ci mówię, że nigdzie nie idę! – syknęła na niego Astrid. – Zabierają ciężarne kobiety, Jake. Wiem, że to robią.

– Astrid, ja wiem, że tak się nie powinno mówić do kobiety w ciąży, ale, kochanie, odwała ci!

– Jake, Astrid chce odpocząć – powiedziałem, wyciągając ręce, żeby ich jakoś uspokoić.

– Tak? A jak wyjaśnisz zniknięcie Lisy? – wściekała się Astrid.

W obozie poznała kilka innych kobiet w ciąży. Spotykały się, żeby rozmawiać o opuchniętych kostkach, rozstępach i takich tam. Potem nagle w ciągu ostatnich kilku tygodni dwie wyjechały. Obie były przedtem wystawione na działanie chemikaliów. Teraz wśród kobiet w ciąży krążyły paniczne plotki, że rząd zabiera je na jakieś badania.

Teorie spiskowe były jedynym towarem, którego nam nigdy nie brakowało.

– Z pewnością odnalazła rodzinę i wróciła do domu! Przecież ludzie wciąż wyjeżdżają! – powiedział Jake.

– Przyjaźniłyśmy się. Nie zniknęłaby bez pożegnania – upierała się Astrid. – Dean też tak uważa.

– Ważne jest to, jak się czujesz – odezwałem się, próbując załagodzić sytuację.

– Właśnie! – podchwycił Jake. – Czujesz skurcze, więc musimy cię zaprowadzić do kliniki.

– Nigdzie nie idę, Jake. Muszę się tylko położyć – broniła się Astrid.

Rzuciła się na łóżko.

– Jeśli zabierają kobiety w ciąży, które miały kontakt z chemikaliami, to niby czemu jeszcze po ciebie nie przyszli? – nie odpuszczał Jake.

– Daj jej spokój – powiedziałem.

– Może dlatego, że tego dnia, gdy przyjechaliśmy, pojawiły się tu dwa tysiące nowych uchodźców – odpowiedziała mu Astrid. – Może im się zgubiłam. Może gdzieś tam jestem na jakiejś liście, ale na pewno nie chcę zwracać na siebie uwagi.

– To co? W ogóle nie pójdziesz do lekarza? – atakował Jake. – Nigdy? Że niby jak? Dean odbierze poród na osiemnastym dołku?

Miał rację. Nie znosiłem, jak miał rację.

– Dziecko urodzi się dopiero za trzy miesiące – powiedziała Astrid. – Wtedy będziemy już daleko stąd.

Pierwszego dnia po naszym przyjeździe zrobiono Astrid usg. Dziecko wyglądało podobno na zdrowe i o wiele za duże jak na cztery i pół miesiąca. Lekarz powiedział Astrid, że kiedy w Planned Parenthood określali termin jej porodu, musieli się pomylić, i oszacował wiek płodu na sześć i pół miesiąca.

Powiedział, że dziecko urodzi się w styczniu. Dotąd myśleliśmy, że w marcu.

Jake odwrócił się w moją stronę.

– Dean, powiedz jej coś. Przecież musi iść do lekarza. Chyba nie wierzysz w te brednie, że wojsko zabiera ludzi, prawda?

Astrid spojrzała na mnie, zacisnęła usta.

– Hmm... – zawahałem się. – Poznałem Lisę. Wydawała się bardzo miła. To rzeczywiście nieco dziwne, że tak się nie pożegnała z Astrid. Szczególnie że obiecała jej dać ubrania ciążowe...

Jake przewrócił oczami, posyłając mi to spojrzenie: Jak możesz dać jej się tak zdominować?

– No i przecież to ciało Astrid – ciągnąłem. – Nie będę jej zmuszał do czegoś, na co nie ma ochoty.

– Geraldine, powiedz mi, czy ty czasami miewasz własne zdanie? – warknął Jake.

– To, że jestem wrażliwy na uczucia Astrid, nie znaczy jeszcze, że jestem babą, Jake!

– Idźcie sobie! – straciła cierpliwość Astrid. – Czasami myślę, że bez was byłoby mi lżej!

– Jak sobie chcesz! Na ra! – odparował Jake i wyszedł.

Astrid przekręciła się na bok. Podłożyła sobie poduszkę pod brzuch.

Na widok mojej smutnej miny jej wzrok złagodniał. Odrobinę.

– Nie chciałam tego powiedzieć – przeprosiła. – Tylko... tak bardzo muszę się zdrzemnąć.

– Okej – mruknąłem i odwróciłem się, żeby wyjść.

– Hej! – zawołała za mną. – Po pierwsze: nie idź sobie taki wściekły. A po drugie: zdobyłbyś dla mnie kanapkę podczas kolacji?

Uśmiechnąłem się. Odpowiedziała uśmiechem.

– Jasne – obiecałem.

Pochyliłem się i pocałowałem ją w głowę.

Aleksa i Nika znalazłem przed Klubem. Już planowali. Dołączyłem się do tego główkowania, bo uznałem, że im bardziej pomogę Nikowi w wykorzystaniu dyplomatycznych dróg, tym lepiej.

W Quilchenie mieliśmy całe biuro pełne dwujęzycznych plakietek i łagodnych kanadyjskich pracowników społecznych, którzy od rana do nocy wisieli na telefonach, próbując skontaktować nas z naszymi rodzinami spoza obozu.

Krążył taki dowcip: Jak usunąć stu Kanadyjczyków z basenu? Powiedzieć: „Bardzo proszę, żeby wszyscy wyszli z basenu”.

Zabawne, bo prawdziwe. Jeszcze ani razu nie widziałem, żeby jakiś Kanadyjczyk stracił panowanie nad sobą.

Mimo to Niko mało nie wykończył kobiety, z którą w końcu zaczęliśmy rozmawiać o Josie. Była to blada urzędniczka o imieniu Helene. Miała krótkie włosy, przyprószone siwizną na skroniach.

– Myślałem, że Josie nie żyje – mówił Niko. – Ma grupę 0 i była sama w lesie. Miałem nadzieję, że nasz przyjaciel, pan Mario, jakoś ją ściągnie do swojego schronu, ale tak naprawdę w to nie wierzyłem. – Rozłożył na biurku Helene gazetę i wskazał zdjęcie Josie. – Ale niech pani tylko spojrzy! To ona! Żyje i utknęła w jednym z tych obozów koncentracyjnych!

– Hola, hola – zaproponowała pani Helene. – „Obozy koncentracyjne”? To chyba nie jest właściwe słowo.

– Zapakowali do nich wszystkie osoby z grupą 0, które były wystawione na działanie chemikaliów. Siłą. Traktują ich jak przestępców! Mamy tu przecież w Quilchenie osoby z grupą 0, które były wystawione na działanie broni, i nie izolujecie ich ani nie zamykacie!

– Tak, to prawda.

To była prawda. Ale prawdą też było, że jednak część osób o grupie krwi 0 musieli stąd zabrać. Byli tacy, którzy wpadali we wściekłość z byle powodu, wciąż wdawali się w bójki, zupełnie nie umieli funkcjonować w tłumie, stać w kolejce, czekać na cokolwiek.

– Niech pani spojrzy na mojego przyjaciela Deana. Proszę bardzo. Ma 0, był wystawiony na działanie broni. I nic mu nie jest!

Poczułem się nieswojo. Nie żebym chciał ukrywać swoją przeszłość. Ale też nie bardzo miałem ochotę rzucać się w oczy.

Helene uśmiechnęła się do mnie słabo i skinęła mi głową.

Zastanawiała się chwilę.

– W Kanadzie z pewnością nie prowadzimy takiej polityki, ale jedyne, co mogę zrobić, to przedstawić waszą sprawę komisji i osobiście zadbać o to, by wasza przyjaciółka została przeniesiona do naszego obozu.

– Hej! To by było wspaniale! – ucieszyłem się i poklepałem Nika po ramieniu.

– Musimy tylko wypełnić odpowiednie formularze, będę też musiała znaleźć wolny termin na petycję – dodała Helene. – Trzeba będzie trochę poczekać.

– Jak długo? – spytał Niko.

– Pewnie tydzień lub dwa – odparła Helene.

– A potem?

– Co potem?

– Ile zajmie sam transfer? – drążył Niko. Był bardzo spokojny, bardzo cichy.

– Trzeba liczyć kolejny tydzień, do dziesięciu dni, na przeprowadzenie transferu.

– Dziękuję – powiedział Niko. Głos miał zimny, niemal jak robot.

– O, świetnie – ucieszyła się pracownica społeczna. – Bałam się, że to może dla was nie dość prędko, ale to całkiem szybko, prawda?

Niko pokiwał głową niemal odruchowo.

– Jeśli to najlepszy sposób...

– Zdecydowanie, jeśli nie liczyć takiej opcji, że wskakujemy zaraz do samochodu i jedziemy po nią – zażartowała Kanadyjka.

Spojrzeliśmy po sobie z Alekssem.

– Już przynoszę formularze – powiedziała i wyszła z pokoju.

Niko odwrócił się w naszą stronę.

– Kapitan McKinley – syknął.

Jak na złość tego dnia nie było już autobusów do bazy lotników.

– Prześpij się z tym, Niko – radził Alex, gdy szliśmy do stołówki. – Zawsze mi to powtarzasz. Trzeba starannie opracować plan. Z tym nie ma co się śpieszyć.

– Ona żyje, Alex. Byłem pewien, że zginęła. Chcę ją zobaczyć. Chcę jej powiedzieć, że... – Głos go zawiódł. Po chwili już mówił o konkretach. – Mój plan jest taki: Dorwę kapitana i nie dam mu spokoju, póki mi nie obieca, że mnie stąd zabierze helikopterem. Kiedy już będę w Stanach, dalej złapię stopa.

Autostop to był chyba jedyny dobry element tego planu. Nie było to już tak niebezpieczne jak kiedyś. Brakowało paliwa, więc kierowca, który miał w samochodzie mniej niż trzy osoby, zwyczajnie łamał prawo.

Nie żebyśmy to wiedzieli z doświadczenia, bo pozwalano nam wyjeżdżać z obozu tylko specjalnym autobusem, ale z tego, co czytałem w gazetach, to prawo powodowało podobno dość dziwaczne sytuacje na drogach w Stanach.

– Będę potrzebował maski – ciągnął Niko. – Znacie może kogoś, kto by miał jakąś na wymianę?

– Dlaczego? Z powodu wiatrów? – spytał zszokowany Alex. – Myślisz, że to prawda, że wiatry przenoszą chemikalia?

To była ostatnio w naszym obozie największa plotka.

W zeszłym tygodniu została nadana przez radio odezwa prezydenta Bookera (nadal operującego wraz z całym rządem Stanów z jakiegoś nieujawnionego miejsca), w której zapewniał obywateli, że z tego, co mu wiadomo, plotki o „wściekłych wiatrach” są zupełnie nieprawdziwe. Powiedział, że wojsko twierdzi, iż akcja likwidowania chemikaliów zakończyła się pełnym sukcesem, a region Four Corners jest zupełnie

bezpieczny (zbombardowany, wypalony i zmieniony w wielką, czarną pustynię, ale bezpieczny). Obiecał, że jeśli tylko dowie się o jakichś pozostałościach broni, natychmiast przystąpi do działania.

Potem jednak szybciotko przeszedł do omawiania problemów związanych ze znalezieniem schronienia, jedzenia i ubrań dla siedmiu milionów ofiar megatsunami na całym Wschodnim Wybrzeżu i miało się wrażenie, że wolałby, żeby cały region Four Corners po prostu jakoś zniknął.

– Nie mogę ryzykować – odpowiedział Niko. – Nie wiem, jaką drogą tam dotrę. Mogę się zbliżyć do zagrożonego rejonu.

– Możesz się trzymać z dala od Four Corners – odezwał się. – Jechać cały czas północną trasą i dopiero w ostatniej chwili zanurkować na południe, prosto do Missouri. Obozy ulokowali w miastach jak najbardziej na zachodzie, daleko od Four Corners. Nie ma powodu, żebyś...

– Jeśli wściekłe wiatry naprawdę istnieją i się na nie natknę, to po mnie – przerwał mi Niko. – Muszę mieć maskę. To część mojego *starannie opracowanego* planu.

Posłał Aleksowi znaczące spojrzenie i sobie poszedł.

– On nie jest sobą – zdenerwował się Alex. – No sam powiedz? Sarkazm u Nika?!

Wzruszyłem ramionami.

– Wszyscy się zmieniliśmy.

ROZDZIAŁ 4

JOSIE

DZIEŃ 31

Mimo głodu, gdy przychodzi pora posiłku, dzieci wpadają w popłoch. Boją się iść do stołówki na śniadanie. Stołówka nosi nazwę Plaza 900. Pojęcia nie mam, skąd takie ekskluzywne określenia. Może to jakiś dowcip. Nie jestem z Missouri, więc skąd mam wiedzieć.

– Cisza! Uspokójcie się natychmiast! – krzyczy na nie pan Mario.

Oczywiście to Freddy wszystko zaczął. Zawsze on. Piskliwy, stuknięty Freddy. Zawsze niespokojny. Jest jak pchła. Ciągłe skacze i czasami gryzie.

– Uspokójcie się. Idziemy – zarządza dziećmi pan Mario.

Dawno temu Doskonałość była z pewnością bardzo przyjemnym budynkiem. Wszystko w odcieniach kremowych i niebieskich. Miękkie wykładziny i obrazy na ścianach. Jak miły hotel dobrej sieci.

Teraz wszystko, co dało się zderzyć ze ścian, już zostało zdarte. Wszędzie widać plamy – po kawie, krwi, ślinie brudnej od tytoniu, moczu, kto wie, po czym jeszcze.

Mężczyźni już wyszli. Idziemy ich korytarzem w drodze do głównych drzwi.

Błąd architektoniczny.

Nie da się inaczej dotrzeć do wyjścia – trzeba przejść przez cały korytarz na parterze. Parter jest jak zoo, a mężczyźni jak zwierzęta, choć pewnie nigdy w życiu się nie spodziewali, że tacy się staną.

Idziemy gęsiego przez korytarz mężczyzn. A z nami osiemdziesiąt innych kobiet, dzieci i staruszków z drugiego piętra.

– Trzymajcie się razem – przypomina pan Mario, raczej żeby uspokoić Heather i Aidana, niż rzeczywiście wydać tę niepotrzebną instrukcję.

– Trzrzrzymajcie się razem – powtarza jakiś szaleniec o dzikich oczach, który zaczął się w swoim pokoju.

Heather wrzeszczy w panice. Mężczyzna wybucha śmiechem.

Cuchnie. Jest bardzo chudy. Ma tylko kilka kępek włosów na głowie.

– Z drogi! – warczę.

Wystawia język. Czuję jego śmierdzący oddech. Ohyda.

– Dobrze, już dobrze – mówi pan Mario. – Idziemy.

Wychodzimy na zimne powietrze poranka. Przecinamy podwórze.

Już jesień i robi się coraz zimniej. Czuć chłód, gdy idziemy po zwiędłej trawie i cemencie na podwórzu.

Nie mamy żadnych zimowych ubrań. W chwili słabości oddałam swoją kurtkę Freddy'emu, więc teraz mam tylko dwie bluzki. Do tego brudne dżinsy i klapki, które należały do żony pana Maria. Prawie mój rozmiar.

Pan Mario oddał swój sweter Lori. Chyba raczej ze względu na bezpieczeństwo niż chłód. Jest dość biuściasta, a miała tylko cieniutką bluzeczkę. Trochę jej było widać przez nią sutki.

Myślę o wszystkich tych ubraniach, które wysyłaliśmy w darach w naszym kościele. Co robią wszyscy wolni obywatele Ameryki z ich niepotrzebnymi ciuchami? Nie mają w sercu litości?

Włożylibyśmy każdy łach – nie musi pasować rozmiar. Nie musi być czysty. Ludzie są gotowi zabić – naprawdę zabić – za zmianę bielizny.

Strażnicy dają ubrania swoim ulubieńcom. My nie jesteśmy niczymi ulubieńcami. Teraz więc jest nam zimno, gdy idziemy do Plazy 900 na śniadanie.

Niebo ma kolor mułu. Na horyzoncie widać brzoskwiniowy pasek. To bez wątplenia najpiękniejsza rzecz, jaką dziś zobaczymy.

Biorę głęboki wdech, ale to piękno aż boli w płucach. Jakbym wdychała żwir.

– W nocy psysedł wściekły wiatr – szepcze Heather do Aidana i Freddy'ego. Trochę sepleni.

– Nieprawda – rzuca się od razu Freddy. – Wściekły wiatr wygląda jak noc. Jak nadciągające nagle czarne chmury. – Wskakuje do przodu. Unosi ręce jak wampir atakujący ofiarę. – I wtedy BUM, chmury spadają na miasto i zabijają wszystkich.

– Nie tak działa broń chemiczna, Freddy – syczy Lori.

– A ty niby skąd wiesz?! – prychnął chłopak. – Bo ja to widziałem na własne oczy.

– Cisza – gani ich pan Mario. – Wściekłe wiatry to wysrane z palca plotki. Josie i ja widzieliśmy, jak chemikalia zostały zniszczone. Widzieliśmy bombardowanie. Prawda, Josie?

Dzieci patrzą na mnie.

Wzruszam ramionami.

Pan Mario zawsze stara się mnie wciągnąć do rozmowy. Pewnie myśli, że to dla mnie dobre.

Chowam ręce w kieszeniach.

– Mogę już iść? – pytam. – Zimno tu.

– Nie – mówi pan Mario. – Trzymamy się razem. Taką mamy zasadę.

Też coś. Jakby banda dzieciaków mogła coś znaczyć w obliczu tego piekielnego więzienia. Jakby ta zbieranina w ogóle stanowiła jakąś grupę.

Wchodzimy razem.

– Dzieci, znajdźcie stolik. Lori, weź Heather za rękę – zarządza pan Mario. – Josie i ja pójdziemy po jedzenie.

Musi mówić głośno, żeby przekrzyczeć harmider.

(Ponieważ pan Mario jest oficjalnie naszym opiekunem, udaje mu się trochę obchodzić system. Teoretycznie zasady są takie, że maluchy powinny stać z nami w kolejce. Ale on bierze od nich legitymacje i nie muszą walczyć o miejsce w ogonku, co bywa dość trudne. Poza tym panie wydające jedzenie mają słabość do pana Maria. Nic dziwnego – mimo całej swojej zgryźliwości jest jedyną miłą osobą w całym obozie).

Nawet gdyby nie liczyć bójek i kłótni, które zawsze wybuchają w stołówce (w końcu wszyscy tu mają grupę 0), hałas ponad sześćset osób zgromadzonych w jednej jadalni, jedzących, gadających, stukających sztućcami, zawsze przyprawia mnie o ból głowy i paniczny ucisk w żołądku.

Dzieci idą znaleźć stolik gdzieś w rogu, a my stajemy w kolejce.

Wzrok wbijam w ziemię. To najlepszy sposób, żeby się nie wpakować w kłopoty.

Przed zagładą Plaza 900 była z pewnością fajnym miejscem. Może nawet luksusowym, z restauracyjkami rozrzuconymi po wielkiej hali. Zostały jeszcze znaczki po Pizza Time!, Zen Gen Sushi, Tío's Burritos i Omelets Your Way!

Teraz wszystkie serwują to samo. Można by spokojnie zmienić te napisy na: Owsianka! A na obiad: Zawsze zupa! A na kolację: Niezmiennie spaghetti!

Wyznaczono nam zmiany na posiłki.

Doskonałość i Odpowiedzialność jedzą od szóstej do siódmej rano.

Odkrywczość i Szacunek od siódmej do ósmej.

Gillett i Hudson od ósmej do dziewiątej.

W kolejce ludzie się przepychają i biją. Przy każdym posiłku. O owsiankę (w sumie to nie o nią samą, tylko o cukier, który do niej dostajemy. Dwie saszetki na głowę. Wszyscy nieustannie oskarżają się nawzajem o to, że wzięli więcej niż dwie).

Stoimy w kolejce.

Ktoś mnie popycha. Udaję, że tego nie zauważam. Ktoś popycha pana Maria. Podnoszę głowę.

– Witam, panie Scietto – słyszymy głos zza naszych pleców.

To Carlo. Przywódca Unii, jednego z trzech gangów idiotów, które walczą o kontrolę nad Cnotami. W jednym gangu są sami Latynosi, przewodzi im Lucho. W Odkrywczości z kolei rządzą Pałkarze. Mają pałki i chętnie ich używają. Potrafią też ostro dogadać.

A ten, który znajduje się w naszym budynku, chce, żeby ich nazywać Unią. A jego członków Unitarianami.

Staram się nie traktować ich poważnie. W ogóle o nich nie myśleć. Udawać, że to tylko mężczyźni bawiący się w chuliganów. Ale robią ludziom krzywdę.

Czasami w miejscach publicznych. Strażnicy przymykają na to oko.

Carlo kładzie rękę na chudym ramieniu pana Maria.

Moja krew natychmiast szykuje się do walki.

Odgłosy jakby przycichają i mój wzrok rejestruje już tylko Carla i trzech jego Unitarian. Jednego szerokiego, jednego wysokiego i jednego nastolatka.

– Czas, żebyś zaczął płacić – szepcze Carlo.

Jest ciemnoskóry. Ogolona głowa. Wilgotne, brązowe oczy i spokojne, pełne dumy zachowanie jakby żywcem przejęte z jakiegoś czarnego charakteru z Bonda. Niemal mówi z brytyjskim akcentem. Co dzień ma prawie zupełnie czystą koszulę wciśniętą w obcisłe, czarne dżinsy. Prawie czysta koszula świadczy tutaj o niesamowitej władzy.

– Wstrzymujesz kolejkę – gdera pan Mario.

– Mario Scietto, stanowisz dla mnie zagadkę. Czy ty wiesz, kto nam płaci daninę? Wiesz? Starzy i słabi – mówi Carlo.

– Może powinieneś spojrzeć w lustro, Scietto – dodaje nastolatek.

Ma cienkie wąsiki i zęby żółte od palenia.

– Brett ma rację – syczy Carlo. – Ten opis idealnie do ciebie pasuje. Jesteś i stary, i słaby. A te dzieciaki na tobie polegają. Panie Scietto, co będzie, jeśli coś się panu stanie?

– Zostawcie nas w spokoju – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Oooo – mruczy Carlo. – Przemówiła. Już myśleliśmy, że jesteś niemową, siostrzyczko.

– Słyszałem wcześniej, jak mówiła – chwali się ta poczwara, Brett.

Zupełnie go nie pamiętam.

– Ktoś chciał zabrać ręcznik jednemu z jej bachorów i mało mu oczu nie wydrapała.

Rzeczywiście pamiętam kretyna, który próbował wyrwać Heather jeden z naszych dwóch ręczników, ale Bretta zupełnie nie kojarzę.

– No – ciągnie. – Charakterna.

Nie znoszę tego słowa. Używa się go na określenie każdej kobiety, która odważy się mieć własne zdanie.

– Ruszać się tam! – ryczy jakiś szaleniec za nami.

Przesuwam się więc do przodu, delikatnie chwytając pana Maria za ramię, żeby jakoś go odsunąć od Unitarian, ale oni uparcie przepychają się za nami w tłoku.

Kładziemy nasze tacki jedna za drugą i pracownicy stołówek podają nam miski.

– Ma pan cztery maluchy, prawda, *mi amor*? – zagaduje pana Maria jedna z nich.

– Dzień dobry, pani Juanito. Tak. W sumie potrzebujemy sześciu misek.

Juanita nakłada owsiankę do sześciu misek i zaczyna je przesuwać w naszą stronę.

– Dziś chcemy od ciebie tylko część twojego przydziału, Mario – mówi Carlo i zabiera miskę z naszej tacy.

Bóg jeden wie, czego zażądatają jutro.

– To nie dla ciebie, *pendejo*! – ryczy Juanita.

– Nic nie szkodzi – zapewnia ją pan Mario. – Nie jestem głodny.

Juanita podaje mi jeszcze dwanaście saszetek cukru. Wkładam je do kieszeni.

Przepychamy się, żeby ominąć Unitarian. Widzę już dzieciaki przy stole w rogu. Małe i przerażone, jak zawsze.

– Wezmę też cukier. – Carlo wyciąga dłoń w moją stronę.

– Obyś szczeł w piekle! – syczę.

Carlo przysuwa bliżej swoją śmierdzącą gębę.

– Już tam jesteśmy, ślicznotko – szepcze.

– Daj mu cukier, Josie – nakazuje pan Mario. – No już.

ŁUP, ŁUP, ŁUP bije moje serce. Żądza krwi już działa. Chcę zrobić Carlowi krzywdę. Mogłabym. I Brettowi. Aroganczy idioci. Mogłabym im zrobić wiele złego.

Ale widzę pana Maria, tuż obok mnie. I światło w jego oczach. Bogu niech będą za niego dzięki.

Wyciągam z kieszeni nasz cukier – większość w każdym razie – i wciskam Carlowi w rękę.

– Widzisz? Wie, co dla niej dobre – mówi poczwara Brett z uśmiechem.

Łapie mnie ręką za biodro i przyciąga do siebie.

– Wujku Mario, mamy stolik! – woła Heather, przepychając się do nas w ścisku.

Widzę, że Lori wstała od stołu, wyciąga szyję, przygląda nam się z niepokojem.

– Chodźcie – ponagla nas Heather.

Idę za panem Mariem, a Heather prowadzi.

– Nic się nie martw, wujku Mario – woła za nami Carlo. – Jesteś teraz pod naszą opieką.

Ręce pana Maria się trzęsą, gdy zaciska je na tacy.

Spogląda na mnie, zauważa moją minę.

– Nieważne – szepcze. – Jedna miska mamałygi. Wielkie mi halo.

– Potrzebujemy jedzenia – mówię.

– Robimy, co się da, żeby przetrwać – wzdycha. – Kto wie, może nam to wyjdzie na dobre.

Nic nie mówię. Niech się ludzi. Ale w głębi duszy wiem, że jeśli dasz gangowi cokolwiek, wróci po więcej.

ROZDZIAŁ 5

DEAN

DZIEŃ 31

Lubimy wcześniej jeść, wszyscy razem. Zabawne, jak szybko przyzwyczailiśmy się do tutejszych zwyczajów. Kiedy żyjesz w kompletnym chaosie, chwytasz się rozpaczliwie takich drobiazgów, jak to, gdzie kto siedzi przy stole każdego dnia. Zdarzało się już, że wybuchały bójkę na pięści o krzesło. Mówię poważnie. Jak zwykle zastaliśmy więc naszą grupę przy tym stole co zawsze.

Maluchy pisały coś i rysowały. Pojęcia nie mam, skąd pani McKinley wytrzasnęła kolorowy papier i mazaki. Wciąż się mówi o tym, że wkrótce zaczną się regularne lekcje dla dzieci, ale jakoś nie widzę, żeby ktoś coś robił w tym kierunku.

– Jak się pisze „celebrytka”? – spytała Chloe, gdy tylko usiedliśmy.

Przeliterowałem jej to słowo i pochyliłem się, by zobaczyć, co napisała: „Luna jest sławna. Fszyscy joł kohają bardzo. Ja joł wyprowadzam wienc jestem sele...”.

– Piszemy listy do Batiste’a! – pochwalił się Max.

Jak zawsze miał na głowie niesforny wicherek.

Batiste znajduje się w obozie dla uchodźców w Calgary. Dowiedzieliśmy się podczas czytania list. Codziennie dodają do tych grubych notesów kolejne starodawne, wydrukowane z komputerów strony pełne nazwisk

uchodźców znajdujących się w każdym obozie. Ludzie gotowi są stać w kolejkach długie godziny, żeby je czytać w poszukiwaniu ukochanych osób. Wspaniale było zobaczyć jego nazwisko w rejestrze. Jest w obozie z matką i ojcem. Cieszę się jego szczęściem. Wszyscy się cieszymy.

Obrazek Ulyssesa przedstawia rodzinę bawiącą się na zielonej trawie pod błękitnym niebem.

Max narysował chłopca o sterczących, żółtych włosach siedzącego na jakimś dziwnym samochodzie i pchanego przez wyższą osobę. Chłopiec płacze – wielkie łzy przedstawione były w postaci niebieskich kresek strzelających z jego oczu.

Caroline rysowała z zapalem ludzi siedzących w kręgu wokół ogniska, a Henry siedział na kolanach u matki i zawijał sobie jej włosy na wskazujący palec.

– Patrz, to my przy ognisku w Greenwayu – wyjaśniła mi Caroline. – Pamiętacie, jak wujek Jake zrobił nam pianki cukrowe i kowbojską zupę?

Henry pokiwał głową z powagą.

– Fajnie było.

Max uniósł swój rysunek i zobaczyłem, że dodał jeszcze czerwone mazaje wokół czarnych butów dziecka.

– To ja, gdy Niko mnie pchał w wózku, zanim doszliśmy do przystanku autobusowego – wyjaśnił.

Jezu, naprawdę sporo przeoczyłem, gdy siedziałem w Greenwayu.

– To był niezły wózek – stwierdził z nostalgią Max.

Ulysses pokazał mi swój obrazek.

– To my teraz – powiedział z tym swoim uroczym szczerbatym uśmiechem.

– Batiste zupełnie zwariuje, jak to zobaczy – zapewniłem ich.

Alex wziął arkusz papieru i zaczął pisać list.

- Też piszesz? – spytała uszczęśliwiona Caroline.
- Oczywiście. Przecież Batiste to też moja rodzina.
- Tak jak my wszyscy? – dopytywała.
- Jasne – powiedział Alex, kiwając głową.

Caroline posłała Chloe triumfalne spojrzenie.

- Mówiłam ci! Jesteśmy teraz rodziną. Naprawdę. Nie na niby.
- Chloe wzruszyła ramionami.

Podeszła do nas Sahalia z tacą i patrzyłem, jak twarz Aleksa rozpromienia się w uśmiechu. Radosnym, nieskrywanym.

Oj. Poczułem lekki niepokój. Sahalia nie należy przecież do osób, na których można zawsze polegać.

Ale jej uśmiech był równie szeroki. Dobrze. Bardzo dobrze.

– Dean – odezwał się Max, podsuwając mi kawałek papieru. – Skoncentrowałbyś mi opowieść?

– Jak to „skoncentrował”?

– No wiesz – zaczął Max. – Raz poprosiłem mamę, żeby napisała za mnie list do mojego wujka Macka, który siedział akurat w pace za zbójstwo w efekcie czy coś takiego. Chciałem mu opowiedzieć, jak czekałem na tatę w samochodzie przed Emerald’s, bo musiał tam coś załatwić, a mnie tam już nie wpuszczają przez te stringi. No, w każdym razie siedziałem tam i robiłem pracę domową z tabliczki mnożenia, kiedy podjechał samochód z glinami, tak naprawdę cicho. I wychodzi z samochodu ten gliniarz, i podchodzi do takiego auta, co stało w najdalszym rogu parkingu, cały czas tak powoli, i nagle otwiera drzwi, a ze środka wypada pani, którą tak w ogóle to znałem. Prosto na asfalt! To była mama takiego jednego, co kiedyś był moim najlepszym przyjacielem i ma na imię Channing, i ona to nawet nie miała majtek!

Sahalia wybuchnęła śmiechem, tak że aż musiała wcisnąć twarz w ramię Aleksa, żeby się opanować.

Max jednak ciągnął niezrażony:

– Okazało się, że mama Channinga robiła lapdans na boku. A to nielegalne! Więc ten gliniarz ją zaraz aresztował i tego faceta, z którym tańczyła, też.

– Oj – wymknęło się pani McKinley.

– Co to jest lapdans? – spytał Henry.

– Max, kochanie, może to jednak nie jest historia dla maluchów – interweniowała pani McKinley.

Miałem ochotę jej wyjaśnić, że opowieści Maksa nigdy nie są odpowiednie dla dzieci, ale Max uniósł dłoń, żeby wszystkich uciszyć, i opowiadał dalej:

– No, w każdym razie chciałem to wszystko opisać wujkowi Mackowi, bo on się bardzo lubił z mamą Channinga i czasami kupował jej różne rzeczy, pieluchy i w ogóle, jeśli jej się akurat skończyły. Opowiedziałem więc mamie całą tę historię i miała mi ją zapisać, ale ona napisała na papierze tylko jedno zdanie. Powiedziałem jej: „Ale, mamo, przecież miałaś napisać całą historię!”, a ona na to: „Tak zrobiłam, słonko. Tylko ją skoncentrowałam”.

– To co napisała twoja mama? – dopytywał się Henry.

– Napisała tylko: „Natalia Fiore została aresztowana za prostytutkę”.

Wzruszył ramionami.

– Hm – mruknąłem. – To jaką historię mam dla ciebie skoncentrować?

– Naszą! Wszystko, co nam się zdarzyło! Żeby Batiste o nas nie zapomniał.

Popukał w kartkę, jakby oczekiwał, że od razu zabiorę się do pracy.

Popatrzyłem na niego, na te błękitne, lśniąco oczy, którymi tak często przewracał.

– Wiesz co, Max? To by zajęło strasznie dużo czasu.

– Umiesz dobrze pisać. Szybko ci pójdzie.

– Skąd wiesz, że umiem dobrze pisać?

– No przecież codziennie coś piszesz w tym swoim dzienniku! – zawołał Max.

– Hej, a o mnie też tam piszesz? – zainteresowała się Chloe.

– Tak – przyznałem.

– Dobre rzeczy czy złe? – spytała z podejrzliwą minką.

– O tobie? Same dobre.

– A my? Też będziemy w twojej opowieści? – chciała wiedzieć Caroline.

– Na pewno wszyscy będziecie w opowieści Deana – powiedziała pani McKinley. Pocałowała Caroline w głowę. – A teraz czas już odłożyć papier i mazaki i iść po tace.

Wróciłem do Namiotu J i podałem Astrid kanapkę z mielonym. Udało mi się ją jakoś wynieść ze stołówki pod bluzą.

Jej radosna mina na widok jedzenia zdecydowanie wynagrodziła mi plamę, jaka zrobiła mi się przez tę akcję po wewnętrznej stronie bluzy.

– Mmm – zamruczała i rzuciła się na kanapkę. – Dzięki.

Podąłem jej jabłko, które też udało mi się wykraść.

– Ma dużo witamin – powiedziałem.

Może niezbyt bystrze, ale jakoś wciąż nie czułem się przy niej pewnie po tej kłótni.

– Przepraszam, że znów się posprzecaliśmy z Jakiem – dodałem. – Wiem, że to cię doprowadza do szału.

Machnęła ręką z kanapką.

– Ty też myślisz, że moje podejrzenia są głupie? – spytała, popiwszy kęs wodą.

Spojrzała mi prosto w oczy.

Kiedy tak na mnie patrzyła, kiedy naprawdę się na mnie skupiała, zawsze się peszyłem. Była taka mądra, taka uważna. Zdawało mi się, że może mnie przejrzeć na wylot.

Jakim cudem tak piękna dziewczyna mogła mnie w ogóle lubić? Czy ona kiedykolwiek poczuje taką szaloną miłość, jaką ja ją darzę? Miłość z gatunku zrobię-dla-ciebie-absolutnie-wszystko?

– Myślisz, że moje podejrzenia są głupie? – powtórzyła.

Odwrociłem wzrok.

– Pamiętasz tę kobietę z kolejki?

Pokiwałem głową.

– Szukam jej codziennie. Na czytaniach list, w Klubie. Nigdzie jej nie ma.

– Myślisz, że ją też zabrali – szepnąłem.

Pokiwała głową. Jej błękitne oczy były pełne strachu.

Pamiętałem tę kobietę.

Staliśmy wtedy w kolejce po śniadanie.

Był naprawdę piękny poranek, w Klubie pachniało syropem klonowym, a Astrid się wygłupiała.

– Jak moja fryzura? – spytała.

W Greenwayu, kiedy mieliśmy wszy, obciąłem jej włosy i przeze mnie miała najgorszą fryzurę świata. Sahalia próbowała potem jakoś odratować jej włosy, ale Astrid miała na głowie jakiś dziwaczny fryz na sępa, coś jak

styl z 2002 roku, który nasz stary fryzjer zawsze próbował wcisnąć mi i Aleksowi. Część jej blond włosów się kręciła, ale większość stanowiła po prostu puch.

– Wyglądasz jak obłąkany kurczaczek – odpowiedziałem.

– Miły jesteś – zakpiła. Poprawiła sobie ręką blond bałagan. – A nie wiesz, że kobietom w ciąży powinno się stale prawić komplementy?

– No, piękny, promienny, obłąkany kurczaczek – poprawiłem się. – To się rozumie samo przez się.

Puściła do mnie oko i włożyła zieloną czapczkę narciarską, którą dałem jej jeszcze w Greenwayu.

– To może lepiej będzie dla wszystkich, jeśli jednak nie będę jej zdejmować – stwierdziła.

– No, tak będzie lepiej – zgodziłem się.

Położyliśmy tace na metalowe szyny i przesunęliśmy je zgodnie z kierunkiem kolejki.

Nagle ktoś zza mnie wyskoczył. Odepchnął na bok. Chwycił Astrid.

– Barbie! Barbs? – wołała jakaś kobieta. Głos miała spanikowany.

Była szczupła. Mogła mieć ze dwadzieścia parę lat. Jasne włosy, wielki, luźny sweter.

Odwróciła Astrid w swoją stronę.

Spojrzała jej w twarz i jęknęła.

– Przepraszam! Myślałam, że to moja siostra.

– Nic nie szkodzi – próbowała ją uspokoić Astrid. – Wszyscy przecież mamy nadzieję, że znajdziemy najbliższych...

– Nie, nie – łkała kobieta. – To nie tak. Zupełnie nie tak!

Dosłownie się chwiała, więc odruchowo wyciągnąłem rękę, żeby ją podtrzymać.

– Nic ci nie jest? – spytałem. Bałem się, że zemdleje. – Może usiądziemy?

Zaprowadziłem ją do stolika i posadziłem na krześle. Astrid usiadła obok i wzięła ją za rękę.

– Zobaczyłam brzuszek i myślałam, że to moja siostra Barbie – wyjaśniła kobieta.

– Gdzie ją ostatnio widziałas? – zapytałem, pewien, że odpowie w Castle Rock, Denver albo Boulder.

– W centrum medycznym – odparła. – Dwa dni temu. Miała bóle, więc poszła do lekarza, a potem ją zabrali!

– Zabrali? Dokąd? Do szpitala? – drążyłem.

– Nie wiem! Przyszli do niej ludzie z rządu i mówili jej, że musi jechać do Stanów na badania. Ale nie chciała. Bała się mnie zostawić i powiedziała, że woli tu zostać.

Astrid oddychała coraz szybciej. Nieświadomie przykładła sobie dłoń do szyi.

– Jak wygląda twoja siostra? – spytała.

– Szczupła, tak jak ty, i podobnego wzrostu. Tylko że jest brunetką.

– I ma kolczyk w brwi? – dopytywała Astrid.

Kobieta pokiwała głową.

– O Boże! Ja ją znam! Chodziłyśmy razem do szkoły rodzenia.

– Obudziłam się rano i już jej nie było w namiocie – ciągnęła kobieta. – Po prostu ją zabrali. Mówiła, że pytali ją o różne rzeczy... jak długo była wystawiona na działanie chemikaliów. A to było tylko kilka minut. Byłam wtedy z nią. Obie mamy grupę AB. Byłyśmy na zewnątrz tylko przez kilka minut, nim znalazł nas mój mąż i zabrał do środka. Po co mieliby ją zabierać?!

– Źle się czuję – jęknęła Astrid. Oddychała ciężko.

– A teraz nikt nie chce ze mną rozmawiać. Nikt nie chce mi nic powiedzieć! – kobieta niemal krzyczała.

– Powietrza. Nie mogę oddychać – wysapała Astrid.

Miała napad paniki. Już przedtem je miewała.

– Przepraszam! – krzyknęła kobieta. – O Boże, przepraszam. Nie chciałam cię zmartwić...

Ale już się od niej odsuwaliśmy, Astrid opierała się na mnie, ja próbowałem precyzyjnie się do wyjścia.

Wszystko to było przerażające. Ale...

Tamta kobieta powiedziała, że ma grupę AB – osoby o tej grupie krwi wystawione na działanie chemikaliów cierpią na urojenia.

To sprawiało, że nie bardzo mi się chciało wierzyć w jej historię. Wydała mi się lekko szurnięta. Zachowywała się dziwnie. Zrzuciłem to na grupę krwi.

Ale Astrid uznała, że dziewczyna mówiła prawdę.

I właśnie dlatego nie wiedziałem teraz, co powiedzieć.

– Wiem, że się boisz – zacząłem.

Ale to był błąd. Oczy Astrid od razu zapłonęły wściekłością.

– Nie chodzi o to, że się boję, Dean. Chodzi o to, że wiem, że zabierają kobiety w ciąży, które miały kontakt z chemikaliami. A ja nie chcę jechać na żadne badania.

– Nie wiem, jak mielibyśmy z tego wybrnąć. Przecież w końcu będziesz musiała pójść do kliniki. Choćby na kontrolę – próbowałem przemówić jej do rozsądku.

Wzruszyła ramionami i znów skupiła się na kanapce.

– Jak się czujesz? Nie masz już tych skurczów?

– Nie – zapewniła. – Pojawiają się tylko, gdy jestem w stresie. Łatwo się nakręcę. I potem nie potrafię się uspokoić.

– Też tak mam. To dlatego wciąż się spinam z Jakiem. Nagle nie wiadomo skąd pojawia się ta energia.

– No właśnie – zgodziła się.

Znow było między nami dobrze. Powinienem był tak to zostawić, ale zamiast tego uczepliłem się tematu:

– To nie jest fajne, kiedy Jake mnie tak ciągle prowokuje. Przecież on cały czas próbuje mnie wciągnąć w kłótnię.

W jej oczach zupełnie jakby zatrzęsnęły się okiennice.

– Nie mów mi o Jake’u – syknęła. – Mam już serdecznie dość tego, jak wy dwaj na siebie nadajecie. To zwyczajnie męczące.

Aha. Czyli Jake mnie przed nią obgaduje? Tak podejrzewałem, ale teraz wiedziałem już na pewno.

I nim się zorientowałem, nim się wyciszyłem, już miałem dłonie zaciśnięte w pięści.

Spojrzałem na Astrid. Zauważyła to.

Wzdrygnąłem się.

– Przepraszam – wybąkałem.

Odwróciła wzrok, jakby żenowało ją to, co we mnie widzi.

– Tak czy siak, dzięki, że stanąłeś po mojej stronie. Nawet jeśli też uważasz, że mam paranoję – mruknęła. Wgryzła się w jabłko.

– Chcesz może pójść na spacer, póki jest jasno? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Hej! – zawołała Sahalia. Ona i Alex szli między łózkami. Trzymała w ręku gitarę.

Kanadyjczycy rozdali nam trochę instrumentów muzycznych. Od czasu do czasu mogliśmy więc mieć małą jam session, co było naprawdę fajne.

Ze stołówki wracały inne dzieciaki. Niektóre wydawały się dość miłe, inne wyglądały na beznadziejne – jak to zwykle w grupie dzieciaków.

Nie zaprzyjaźniłem się tu z nikim.

Nie chciałem mieć żadnych nowych ludzi, o których trzeba by się martwić – miałem swoją rodzinę przyjaciół i to mi wystarczyło.

– Dziś mój wieczór! – obwieściła radośnie Sahalia. – Jakies zamówienia?

– Zaśpiewaj tę jamajską piosenkę – poprosił Alex.

Sahalia przewróciła oczami.

– Jeśli chodzi o muzykę, to nie masz za grosz gustu – zakpiła.

– Tak? A ty jakoś podejrzanie znasz cały tekst! – odgryzł się z uśmiechem Alex. – Skoro jest taka zła, to czemu się jej nauczyłaś na pamięć?

Sahalia zaczęła grać tę starą piosenkę reggae *No Woman, No Cry*. To był ulubiony utwór taty.

Czy Alex jej powiedział? Czy opowiadali sobie o takich rzeczach z przeszłości?

Astrid schowała się pod koc, w ubraniu. Patrzyła na grającą Sahalię. Jej twarz się rozpuściła.

Dzieci wokół słuchały spokojnie.

Ci Kanadyjczycy są jednak genialni.

Sahalia zagrała jeszcze kilka piosenek, ale przerwało jej pojawienie się Nika, który dosłownie wpadł i rzucił się na swoje łóżko.

– Próbowałem dostać się do bazy. Ci głupi strażnicy nie chcieli wezwać mi autobusu. Powiedziałem im, że pójdę piechotą, wtedy zagrozili, że mnie aresztują!

– Hej, Niko! – zawołał Alex. – Musisz posłuchać tej nowej piosenki, którą napisała Sahalia.

– Alex! – syknęła dziewczyna. Ale z uśmiechem.

– Wszyscy musicie ją usłyszeć. Jest naprawdę dobra.

– Trochę osobista – bąknęła Sahalia.

– Czy jest coś, czego jeszcze o tobie nie wiemy, Sasha? – zakpiła Astrid.
– Wątpię.
Sahalia popatrzyła na naszą czwórkę.
– Okej, skoro naprawdę chcecie ją usłyszeć.
Wyraźnie chciała nam ją zagrać, ale też żebyśmy ją o to prosili.
– Jasne, że chcemy – zapewniłem.
– Naprawdę – poparła mnie Astrid.
Uśmiechnęła się do mnie. Bogu dzięki.
Sahalia zaczęła grać. Melodia była wolna, rytmiczna, rzeczywiście ładna.
Ale to słowa chwytaly za serce.

*Mówi, że jest to miejsce.
Mówi, że zobaczymy światło.
Wiem, nie trzeba ufać chłopcom,
Ale ten jest w porządku.*

*Mówi, że będziemy bezpieczni.
Mówi, oni nas przygarną.
Nie wierzę w Boga,
Ale słucham jego modlitw.*

*Modlitw o dobre miejsce,
o zieloną oazę skrytą w lesie.
Ucieknijmy od świata,
Znajdźmy schronienie,
By móc być razem.*

Mówi, że musimy mieć nadzieję.

Mówi, że nie możemy się bać.

Nie wie, że się nie boję,

Póki on jest obok.

Niech spełnią się nasze sny.

Stary dom, aleja starych drzew.

Ucieknijmy od świata,

Znajdźmy schronienie,

By móc być razem.

Razem.

Razem.

W naszym kącie namiotu zapadła cisza. Wszystkie dzieci zamarły, słuchając zachrypniętego, pięknego głosu Sahalii.

Gdy skończyła, wszyscy zaczęli klaskać.

– To naprawdę dobra piosenka! Sama to napisałaś? – spytałem.

Pokiwała głową. Zarumieniła się. Alex też strzelił buraka. Jejku, kiepsko z nimi.

– Sahalio, ta piosenka byłaby hitem w radiu! – zapaliła się Astrid. – I koniecznie powinniście kiedyś zrobić do tego teledysk.

Dobrze było widzieć u niej taki entuzjizm.

– Niko, zwróciłeś uwagę, że to o farmie twojego wujka? – spytał Alex.

Niko pokiwał głową.

Wpatrywał się w dach namiotu.

– To był świetny kawałek, nie? – Alex wyraźnie chciał go wciągnąć do rozmowy.

– Najlepszy był ten, że mamy się trzymać razem – odburknął Niko.

I odwrócił się do nas plecami.

ROZDZIAŁ 6

JOSIE

DZIEŃ 31

– Tato! Tato! Taaaaatoo! – drze się Lori.

– Zamknij się. – Dźgam ją łokciem w żebra.

Zrywa się, siada na łóżku, ściąga z nas cały koc. Jej oddech jest nierówny, drży od płaczu, który zaraz wyrwie się jej z piersi jak burzowa chmura, która tylko czeka, żeby lunąć deszczem.

Ześlizguję się z łóżka i wymykam do łazienki.

Oba ręczniki są brudne, ale wolę spać na nich na podłodze niż z zapłakaną Lori.

W niebieskawym świetle lampy LED moja skóra jest koloru spiżu.

Milion lat temu byłam dumna ze swojej skóry. Głębi jej koloru, blasku. I tej gładkości – żadnych skaz, żadnych blizn.

Kim jest teraz ta dziewczyna w lustrze?

Zapadnięte policzki, cienie pod oczami, zmarszczki w kącikach ust. Blizna na czole po wypadku autobusu.

Włosy mam związane w dwa koczki, ale są tak strasznie brudne, że jeśli nie dorwę się wkrótce do szamponu i grzebienia, zmienią się w dredy.

Wyglądam jak upiorny awatar starej mnie.

Myślę o Braydenie, o tym, jaki był przystojny. O jego szczęce. O tym, jak lubiłam wtulać twarz w jego szyję i czuć drapanie zarostu. To był tylko przelotny romans i doskonale zdaję sobie sprawę, że byliśmy razem tylko dlatego, że utknęliśmy

w tym samym miejscu, ale jednak miło było mieć tak zabójczo przystojnego chłopaka.

Myślę o Niku, o nieznośnie poważnym Niku. Niemal niezdolnym do uśmiechu. O Niku, który myślał, że mnie kocha.

Ja też go kochałam. Może czasem pochlebiało mi, że tak mnie uwielbia. Ale kochałam go naprawdę.

Może jedyna miłość, jaka może teraz istnieć, to ta rozpaczliwa.

Tak czy siak, straciłam go.

Czy mu się udało? Czy dzieciakom się udało?

Nie pozwalałam sobie o nich myśleć.

Równie dobrze mogłabym się rzucić w przepaść.

Otwieram apteczkę. Leżą w niej dwa stare patyczki do uszu przyklepione żółtym brudem do metalu. Jedna agrafka. I jej zardzewiały cień.

Na co liczyłam? Przecież nie wślizgnął się tu żaden dobry duszek, żeby mi podrzucić nożyczki.

Ale gdyby tak się stało, obciąłabym te koczki.

Może próbowałabym zerwać sobie twarz.

(Widzicie, 0, 0, 0 znów się budzi i chce się wyrwać na wolność).

Czasami pytam Boga, czy powinnam się zabić.

Proszę Go o znak.

Czy teraz znów Go prosiłam, żeby mi dał znak, gdy tak stałam i gapiłam się w zimne lustro?

Nie pamiętam, ale w lustrze pojawia się Lori. Duch Lori. Stojącej za mną i drżącej z zimna w tej głupiej, za cienkiej koszulce.

– Przepraszam – mówi. – Proszę, wróć.

– A co? Nie możesz beze mnie zasnąć? – pytam tak podle, jak tylko się da.

Wzrusza ramionami. Pociera dłońmi gęsią skórę na ramionach.

– Jak chcesz. Ja tylko próbuję być miła – bąka.

Wiem, że krzywdzę ją swoją bezduszością. Czasami dobrze jest tak kogoś skrzywdzić.

Wraca na nasz materac, poduszkę bez poszewki, koc z darów i sztywne, drapiące prześcieradło.

Na końcu języka mam przeprosiny. Jestem o krok od łez.

Przepraszam, Lori, że masz koszmary.

Przepraszam, że twój tata zginął, wpychając cię do samolotu.

Przepraszam, że zamknęli wszystkich 0 razem – nie powinnaś tu być.

Przepraszam, że nie mam dla ciebie i innych już nic.

Przepraszam, że tylu umarło.

Przepraszam, że umarłam.

Tłumię w sobie te przeprosiny i wracam do łóżka.

Stopy mam lodowate.

Staram się jej nimi nie dotknąć.

ROZDZIAŁ 7

DEAN

DZIEŃ 32

O świcie obudził mnie ten dźwięk. Taki, co to za nic nie chcesz, żeby cię obudził – jęk bólu tłumiony poduszką.

Wymknąłem się z łóżka. Pod moimi stopami zaskrzypiała podłoga namiotu.

– Skurcze? – spytałem.

– Tak – szepnęła. – Ale nie takie straszne jak wczoraj.

Bładość jej twarzy nie pozostawiała mi jednak złudzeń. Kłamała.

– Wiem, że nie chcesz, ale jednak uważam, że powinniśmy pójść do kliniki.

– Wiem.

Pochyliłem się i pocałowałem ją. Kąciki jej oczu były mokre od łez.

– Naprawdę myślisz, że to bezpieczne? – spytała. Usiadła. Włosy sterczały jej na wszystkie strony.

– Tak sobie myślę... może podajmy im fałszywe nazwisko? Możemy im wcisnąć, że dopiero co przyjechałaś. Że nie ma cię w systemie...

– Hm – mruknęła. – Może. Ale co, jeśli będą mnie pamiętać z poprzedniego badania? Jeśli trafię na tego samego faceta?

– Zawsze możesz powiedzieć, że wolałabyś, żeby badała cię kobieta, nie?

– Dobry pomysł. – Uśmiechnęła się, ale uśmiech przeszedł w grymas bólu. – Boli.

– Chodźmy.

– Dean – powiedziała. – Dziękuję. Wiem, że nie zawsze jestem taka, no, wiesz... panienkowata czy egzaltowana, jakby może powinna być czyjaś dziewczyna, ale naprawdę doceniam to, jak się mną opiekujesz. Chciałam, żebyś to wiedział.

Poczułem się po prostu bosko. Nie było to może: „Będę cię kochać do końca moich dni”, ale mniej więcej to miała na myśli. Po prostu taki miała styl.

Położyłem rękę na ramieniu Nika.

Obudził się natychmiast.

– Hej, chciałem tylko dać ci znać, że Astrid źle się czuje, więc idziemy do kliniki.

– Dobra.

– Kiedy wrócimy, pomogę ci wymyślić coś w sprawie Josie.

– Dobra.

– Nie chciałem, żebyś myślał, że o tym zapomniałem.

Skinął głową.

Kilka osób już było na nogach i zdążyło w stronę Klubu na śniadanie. Widzieliśmy, jak idą po trawie pojedynczo lub w małych grupkach. Jeśli ktoś chciał uniknąć kolejek, najlepiej było wstać wcześniej.

Szpital polowy znajdował się w ciągu namiotów za Klubem.

Alex dowiedział się jakimś sposobem, że namioty były produkowane przez kanadyjskie przedsiębiorstwo Weatherhaven, które miało swoją fabrykę w Vancouver. To wyjaśniało, dlaczego były takie nowe i ładne.

W pierwszym namiocie musieliśmy się zarejestrować. Za biurkiem siedziała kobieta o przyjemnym wyrazie twarzy. Blat przed nią zajmował prawie w zupełności wielgachny, staroświecki komputer. Z tyłu maszyny wychodziło mnóstwo kabli, które opadały aż na podłogę i zebrane były w plastikową tubkę. Komputer był podłączony prawdziwymi hardware'owymi kablami do systemu. Fascynujące.

Podła nam plastikową podkładkę z kilkoma arkuszami papieru. Na sznurku przyczepiony był długopis.

Z nieznanymi mi przyczyn w Vancouver Sieć w ogóle nie istniała. Słyszeliśmy o różnych nowych systemach WiFi powstających w innych miejscach, lecz tu w Quilchenie wciąż były tylko komputery z kablami oraz stary dobry długopis i papier.

Usiedliśmy z kilkoma innymi nieszczęśnikami. Jakaś kobieta trzymała się za szczękę i pojękiwała. Staruszek miał rękę w gipsie i patrzył na nas podejrzliwie.

Może dlatego, że Astrid trzęsła się ręką, gdy wypełniała formularz. Zapisywała go przecież kłamstwami. Przynajmniej w większości.

Imię i nazwisko: Carrie Blackthorn (jej pierwsze w życiu zwierzątko, króliczek, miało na imię Carrie. A Blackthorn to nazwisko panieńskie jej matki).

Numer ubezpieczenia lub numer identyfikacji podatkowej: 970-89-4541 (pierwsze dziewięć cyfr jej numeru telefonu).

Data urodzenia: 04.07.2007 (Czwarty Lipca, ale przynajmniej rok prawdziwy).

W rubryce „ostatni adres” wpisała dom swojej najlepszej przyjaciółki.

W „Data przyłączenia się” (czyli dzień, kiedy wprowadzono nas do systemu w Quilchenie) wpisała datę z poprzedniego dnia.

Potem przeszła do danych medycznych: historia operacji, szczepienia i takie tam. Tu wszędzie wpisała prawdę.

Główny problem (czyli powód przyścia do szpitala): skurcze. Około 28 tydzień ciąży.

– Gdyby ktoś o mnie pytał, to powiedz, że jestem twoim narzeczonym – szepnąłem, gdy skończyła papierkową robotę.

– Co?! – spytała, a jej brwi uniosły się pod samo niebo.

– Żeby nie było tak, że nie będą chcieli mnie wpuścić, bo jestem tylko twoim chłopakiem.

– Okej – odparła tym swoim tonem „wszystko mi jedno”.

– Nieważne – mruknąłem.

Dlaczego nie potrafię siedzieć cicho? Dlaczego nie umiem być cool?

Recepcjonistka wzięła od Astrid papiery i wpisała dane do komputera.

– Ojej – zmartwiła się. – Twój numer nie pojawia się w systemie.

– No tak. Ten sam problem co wczoraj – powiedziałem. – Kiedy tu przyszliśmy, pani w rejestracji powiedziała, że jakoś to rozwiąże i że mamy przyjść dzisiaj to sprawdzić.

– Czy mimo to mogłabym zobaczyć się z lekarzem? – poprosiła Astrid. – Boję się o dziecko.

Kobieta popatrzyła na nią łagodnie.

– Zrobimy tak: poproszę jedną z pielęgniarek, żeby rzuciła na ciebie okiem. A jutro albo nawet jeszcze dziś po południu, gdy wybrniemy z tego bałaganu, przyjdź tu jeszcze raz i zarejestruj się do lekarza, który porządnie cię zbada, pobierze krew i tak dalej.

Podniosła słuchawkę.

– Sylvio, wysyłam do ciebie dwoje młodych ludzi. Mogłabyś poprosić Kiyoko, żeby rzuciła okiem na pacjentkę?

Rozłączyła się i znów na nas spojrzała.

– Kiyoko jest naprawdę świetna. Pracowała jako położna, więc w twoim przypadku będzie idealna.

Wyszliśmy na zewnątrz i poszliśmy szukać Namiotu 18. Namioty ustawione były w idealnym porządku. W Namiocie 18 zobaczyliśmy rzędy kozetek. Między nimi stały szafki ze sprzętem medycznym, które dzieliły namiot na małe pokoiki. Każdy taki pokoić miał też biały parawan, który można było rozstawić, żeby zachować odrobinę prywatności podczas badania.

Powitała nas kobieta w mundurze.

– Jesteście umówieni z Kiyoko? – spytała.

Pokiwaliśmy głowami.

– Chodźcie tutaj. Dam wam kabinę z ultrasonografem.

W kabinie poczuliśmy się dość nieswojo. Teraz już rozumiałem, dlaczego Astrid nie miała ochoty tu przychodzić. Wszystko wokół było świetnie zorganizowane i wydajne, ale bardzo wojskowe. Czułem się dziwnie nie na miejscu w mojej brudnej bluzie i dżinsach. Jakbym zaśmiał to miejsce.

Zasłona odsunęła się tak raptownie, że aż podskoczyliśmy.

– Dzień dobry, jesteś Carrie? – spytała Japonka w fartuchu medycznym. Miała obcy akcent. Była wysoka, miała druciane okulary i koński ogon. – Co ci dolega?

Astrid opowiedziała jej o skurczach.

Kiyoko przejrzała formularz.

– Dopiero dwudziesty ósmy tydzień? – spytała.

– Tak mi się wydaje – odparła Astrid.

– Popatrzmy.

Pomogła jej położyć się na łóżku. Astrid uniosła koszulkę.

Jej brzuch był napięty i niesamowicie okrągły – jak mały arbuz. Przy biodrach widać było różowe linie rozstępów. Wcześniej jakoś ich nie zauważyłem. Dziwne, równoległe linie, jak niewyraźne ślady po pazurach.

– Mmm, dziecko szybko rośnie – zauważyła pielęgniarka, wskazując na rozstępy. – Skóra nie nadąża.

Wyciągnęła butelkę z żelem i wylała trochę na brzuch Astrid.

– Ty jesteś tatusiem? – spytała.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Uznałem, że lepiej będzie skłamać, że tak.

Astrid wyciągnęła rękę i złapała moją dłoń. To było miłe.

Pielęgniarka przyłożyła do jej brzucha sondę i ekran nagle ożył.

Wszystko było zielonkawe i widać było mnóstwo cieni. Pojęcia nie miałem, na co patrzemy. Jakieś plamy poruszały się chaotycznie i nagle Kiyoko wskazała coś na ekranie.

– To jest serce dziecka – powiedziała.

Kliknęła myszką na komputerze stojącym przy ekranie ultrasonografu i zapisała pomiary bijącego kształtu.

Było też je słychać. Serce.

– To niesamowite – wyrwało mi się.

Astrid uścisnęła moją dłoń. Widziałem na jej twarzy dumę i ulgę.

– Dziecku nic nie jest – powiedziała Kiyoko. – Chcecie znać płęć?

– Nie – odpowiedzieliśmy z Astrid jednocześnie.

– Mmm – mruknęła. To był widocznie stały element jej słownictwa, to dziwne „mmm”. Oznaczało chyba: „Ach tak, rozumiem”, ale też „Być może”.

Obraz na ekranie poruszał się wraz z sondą przesuwaną się po brzuchu Astrid. Wydawało mi się, że widzę nogi, ręce, ale głowy bym za to nie dał.

– Tu widać twarz – powiedziała pielęgniarka. – Spójrz, mamusiu. Twarz twojego dziecka.

Rzeczywiście. Widać było profil twarzy.

– Tam jest prawdziwe dziecko – powiedziałem jak skończony idiota.

– Wiem. Piękne, prawda? – wyszeptała Astrid.

Pokiwałem głową, zafascynowany lśniącym ekranem.

– Dziecko jest bardzo duże – stwierdziła Kiyoko. – Byłaś może wystawiona na działanie chemikaliów?

– Nie – zapewniła ją Astrid. – Ani razu.

– Mmm – mruknęła pielęgniarka. – Pomyślałam, że może jednak byłaś, bo macica jest mała, a dziecko duże. Szybko rośnie.

– Nie, nie byłam – powtórzyła Astrid.

– Skurcze wynikają z tego, że twoje ciało nie nadąża za wzrostem dziecka.

– Jesteśmy z Telluride – skłamałem. – Chemikalia tam nie dotarły. Ale i tak nas ewakuowali. Musieliśmy wszystko zostawić.

Była to historia jednego z nastolatków z naszego namiotu.

– Mama zawsze mówiła, że byłam sporym dzieckiem – dodała Astrid, ale widziałem, że tak naprawdę panikuje na myśl o tym, że dziecko jest za duże.

– Mmm – mruknęła znów Kiyoko. Teraz już nie patrzyła nam w oczy. Pisała coś w papierach „Carrie”. – Rząd amerykański prowadzi badania na temat kobiet w ciąży. Dobrze płacą.

– Nie pozwolę robić na sobie żadnych testów – oświadczyła Astrid. Jej głos był lodowaty.

– Dużo kobiet tak mówi. Ale gdy poznają szczegóły tej akcji, zmieniają zdanie. Pieniądze są dobre. Ryzyko małe.

– Zabierają ludzi wbrew ich woli – syknęła Astrid.

Próbowałem przekazać jej wzrokiem, żeby nie poruszała tego tematu.

– Póki co powinnaś dużo odpoczywać, mamusiu. Odpoczynek i witaminy.

Wypisała receptę. Zawsze myślałem, że tylko lekarze mogą wypisywać recepty, ale może w Kanadzie jest inaczej.

– Witamina D. Dobrze ci zrobi.

I wtedy usłyszeliśmy wrzask za namiotem. Krzyk dziecka.

– Teraz sprawdzę rozwarcie, mmm... – ciągnęła Kiyoko, ale ledwie ją słyszeliśmy.

– Astrid? – usłyszeliśmy głos zza namiotu.

Jezu, to Chloe.

– Astrid? Dean? Gdzie jesteście?

Musiała być tuż za ścianą.

– Chloe? Co się stało? – zawołałem.

Co się stało, na Boga? Serce skoczyło mi do gardła.

– Gdzie jesteś? – krzyknąłem.

– Gdzie wy jesteście?! – darła się Chloe.

Wyszedłem zza zasłony na główny korytarz w namiocie i zobaczyłem, jak dziewczynka wpada do środka. Wymachiwała czymś w moją stronę.

– Chloe! – ryknąłem.

Przepchała się obok pielęgniarki w mundurze.

– O Boże! Nie uwierzycie! – wykrzykiwała. – Jesteśmy SŁAWNI! Naprawdę, naprawdę sławni! – Trzymała w ręku gazetę. – Alex napisał do redakcji i naprawdę to wydrukowali. Całą naszą historię. O tym, jak byliśmy okropnie blisko NORAD-u i wszystko! – Spojrzała na Kiyoko. – Dzień dobry.

Nagłówek mówił: MONUMENT 14.

– To świetnie – próbowałem jakoś ją uciszyć w miarę spokojnym tonem.
– Przeczytamy to razem w namiocie. Ale teraz jesteśmy zajęci...

Chloe w ogóle mnie nie słuchała, tylko nawijała dalej:

– Patrz, patrz, wszystko o nas, jak dotarliśmy z Monumentu do Denver, i o pani Wooly, i wszystko. Astrid, patrz, tu jest o tobie.

Chloe pokazała jej jakiś akapit.

– Nie mamy teraz na to czasu – syknęła na nią Astrid. Zakryła brzuch koszulką, która cała upaprała się żelem.

Pomogłem jej zejść z kozetki.

Kiyoko wzięła od Chloe gazetę.

– Tu jest cała nasza historia! O chemikaliach i o czarnej chmurze, i jak reszta pojechała autobusem do Denver, i jak po nas wrócili. I teraz wszyscy mogą nas znaleźć. Wszyscy będą wiedzieli, gdzie jesteśmy! – ekscytowała się Chloe. – Rodzice wreszcie nas znajdą!

– Przeczytajmy to na zewnątrz – powiedziałem. Zabrałem pielęgniarcę gazetę. – Jeszcze raz dziękujemy za pomoc.

Ale Kiyoko wyglądała na wściekłą.

– Okłamywanie pielęgniarki może być bardzo niebezpieczne – powiedziała surowym tonem. – Kobiety w ciąży, które były wystawione na działanie chemikaliów, wymagają specjalnej opieki.

Chwyciłem Astrid za ramię i odciągnąłem.

– Nie potrzebuję specjalnej opieki. Nic mi nie jest – zapewniła Astrid.

Byliśmy już przy drzwiach namiotu.

– Ale wy jesteście! – lamentowała Chloe, drepcząc za nami. – Byłam pewna, że się ucieszycie. Że będziecie zachwyceni.

– Zaczekajcie! – zawołała za nami Kiyoko. Odwróciła się, krzyknęła coś do drugiej pielęgniarki. – Musicie mi powiedzieć prawdę! Musimy zrobić odpowiednie badania.

Uciekaliśmy od medycznych namiotów ile sił w nogach.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego się nie cieszyacie! – jęczała Chloe.

Astrid się odwróciła i chwyciła ją za ramiona.

– Bo nie chciałam, żeby znali moje prawdziwe imię! – syknęła.

– Niby dlaczego? – zdumiała się Chloe. – To zupełnie bez sensu. I niby skąd miałam o tym wiedzieć?

Zostawiliśmy ją i pobiegliśmy dalej.

– Alex i Sahalia naprawdę się ucieszyli! Bo dotąd to była ich tajemnica i w ogóle!

Pędziliśmy przed siebie, bez celu, byle dalej od Chloe.

– Niewdzięcznicy! – darła się za nami.

ROZDZIAŁ 8

JOSIE

DZIEŃ 32

Czasami dostajemy chwilę wolnego i dziś po południu wypuścili nas na podwórze. Niebo jest błękitne, babie lato. Ktoś pożycza Freddy'emu frisbee.

Wszyscy gramy, nawet ja.

Heather krzyczy:

– Zuć sypko do mnie!

Aidan, który jest najmłodszy – ma tylko osiem lat – naprawdę świetnie gra i potrafi rzucić frisbee, gdzie tylko zechce. Freddy jest hiperaktywny, jak zawsze, ale na słońcu, w ten nietypowo ciepły dzień, to jest okej. Wszystko jest okej.

Teraz już przyglądają się naszej grze więźniowie. Nie podoba mi się, jak patrzą na Lori i na mnie, ale nic nie mogę na to poradzić.

Potem na podwórze wychodzi Venger i czuję, że też na nas patrzy.

Odruchowo staram się wyglądać tak, jakbym wcale się dobrze nie bawiła.

A potem instynkt mi podpowiada, że tamten zbyt uważnie mi się przygląda. Lepiej całkiem przestać grać.

– Odpadam – mówię. – Będę tylko patrzeć.

I siadam na cementowej ławce przy panu Mariu.

Oddycham ciężko. Skoczyła mi adrenalina i nagle pojawia się myśl, że gdybym mogła ćwiczyć tak codziennie, może zdołałabym się pozbyć choć części wściekłości.

Drgnienie nadziei w sercu. Może w ogóle da się jakoś pozbyć choć części wściekłości.

– Świetnie wyglądasz – mówi mi pan Mario.

Przewracam oczami i uśmiecham się. Prawie zawsze udaje mu się wywołać mój uśmiech.

Potem rejestruję, że między rzutami Aidan trzyma się za krocze. I podryguje lekko, jak to zwykle chłopcy, gdy chce im się siusiu.

Trącam pana Maria łokciem.

– Aidan musi siku.

– Aidan! – woła pan Mario. – Zmykaj się wysikać.

– Zaraz! – odkrzykuje chłopiec.

Trochę go rozumiem. Chyba jeszcze nigdy się tak dobrze nie bawiliśmy. Kto by chciał przerywać taką zabawę, by zagłębiać się w otchłanie łazienki, w której czają się Bóg wie jacy zboczeńcy?

– Z Lori okej? – pyta pan Mario.

– Nie wiem – mówię.

– Nie przepadasz za nią, co?

– To nie to.

– A co? Ta dziewczyna zaprzedałaby duszę diabłu, gdyby to mogło cię do niej przekonać. Zrobi wszystko, żebyś była jej przyjaciółką.

Wzdycham.

Tak dobrze czuć słońce na twarzy. Nie chce mi się gadać.

– Hm? – nie odpuszcza pan Mario.

– Nie chcę być za nikogo odpowiedzialna. Nie jestem...

– Co nie jesteś?

– Bezpieczna – odpowiadam. Mój głupi głos się załamuje.

– Chcę, żebyś o czymś pamiętała, Josie Miller. To, co zrobiłaś, zrobiłaś, żeby chronić swoich przyjaciół. Dzięki temu, że zaatakowałaś tamtego żołnierza,

uratowałaś dzieciaki.

– Zabiłam go.

– Co takiego?

– Nie chodzi tylko o to, że go zaatakowałam. Ja go zabiłam.

– No, tak, tak, dobra, zabiłaś.

– I tego drugiego też. Tatę tego chłopca.

– To był Tad Mandry, na litość boską. Gnida. Zasłużył sobie na to. Jak można zastawiać pułapki na dzieci? Wierzę, że kiedy już dotrzesz na farmę Nika, przestaniesz się zamartwiać tymi bzdurami. Dojdiesz do siebie. Tylko musimy się stąd jakoś wydostać.

Cały czas mam ten list od Nika o farmie. Trzymam go w kieszeni. Niko dał go panu Mariowi, na wypadek gdyby udało mu się mnie jakoś znaleźć. Kilka słów na małym skrawku papieru milimetrowego. Papier jest miękki i wyświechtany na brzegach. Czasami tylko dotykam go palcami, żeby sobie przypomnieć, że tam jest.

Niko napisał jest:

Josie!

Temu człowiekowi możesz zaufać. Znajdź mnie na farmie mojego wuja w New Holland. Red Hill Road. Kocham cię. Bez względu na wszystko.

– *Niko*

Bez względu na to, co zrobisz.

Tego już nie napisał, ale to miał na myśli.

Bez względu na to, kogo zabijesz.

Wbijam wzrok w klapki. Nie ma mowy, żebym pozwoliła sobie na jakiegokolwiek uczucia tu, na podwórzu. Venger stoi przy płocie i nas obserwuje.

– Uratowałaś przyjaciół. To się liczy. Resztę musisz sobie odpuścić.

Nie podnoszę wzroku, żeby nie widzieć współczucia pana Maria.

Czasami aż mi się chce rozwalać rzeczy.

Venger odchodzi w stronę Doskonałości, więc uznaję, że znów mogę dołączyć do gry.

Nasz czas na podwórzu już się prawie skończył i słońce zaczyna zachodzić, gdy Aidan nagle prosi Freddy'ego, żeby z nim poszedł do kibelka. Freddy oczywiście odmawia, Aidan pędzi do budynku i zsikuje się po drodze.

Zatrzymuje się w pół kroku, przerażony. Jego spodnie stają się ciemnobrązowe, a pod nogami na cementowej płycie widać kałużę.

– Scietto! – ryczy Venger na całe podwórze. – Tylko spójrz, co narobił twój chłopak!

Pan Mario już wstaje, drepcze jak najszybciej w stronę Aidana. Ale nie dość szybko. Jest stary.

Dobiegam do chłopca pierwsza.

– Nic się nie stało – szepczę.

Venger już zaczyna.

– Ile ty masz lat?! – drze się.

– Osiem – bąka Aidan przez łyzy.

– Ośmiolatek i sika w gacie jak przedszkolak?! Nie wstyd ci?!

Czuję dudnienie pulsu na szyi.

– Już dobrze – mówi pan Mario, zbliżając się i posapując z wysiłku. – Mały wypadek. Zaraz to naprawimy.

Kładzie mi rękę na ramieniu, żeby odpocząć po tak szybkim ruchu.

– Czy chłopiec może wejść do środka się wytrzeć?

– Czas na podwórzu już się prawie skończył – warczy Venger. – Może równie dobrze poczekać jak wszyscy inni. To mu da nauczkę.

Aidan zdusza cichy płacz. Twarz ma wykrzywioną.

Venger to sadysta i chciałabym, tak bardzo bym chciała to jemu dać nauczkę.

– Ale nie ma mowy, żeby ten bajzel został na moim podwórzu! – grzmi Venger.
– Posprzątam – mówi pan Mario.
– No myślę! W końcu jesteś ich opiekunem.
– *No problemo* – zapewnia pan Mario. – Mogę wysłać dziewczynę po ścierkę?
– I to już! – wrzeszczy Venger. – Ta kałuża ma zniknąć przed dzwonkiem na kolację, albo zostanieie tu wszyscy na podwórzu.
Dzieciaki nie mogą nie zjeść kolacji. Już i tak jesteśmy chudzi jak szczapy.
Kolacja jest za dziesięć minut, więc biegnę.

Nogi ślizgają mi się na linoleum przez te głupie klapki. Przeklinam je w duchu. Nie po raz pierwszy zresztą.

Mało nie wpadam na jakiegoś grubasa w brudnym kombinezonie, który gapi się tępo przez zaparowane okno.

– Te! Uważaj! – ryczy facet.

Uciekam od niego, nie tracąc czasu na przeprosiny.

Kiedy wracam na podwórze z jednym z naszych dwóch ręczników, są już ledwie trzy minuty do dzwonka.

Pan Mario stoi z dziećmi. Aidan trzęsie się i płacze. Heather też już chlipie.

Padam na kolana i pośpiesznie wycieram kałużę.

Nagle odsuwa mnie czyjaś stopa.

– Powiedziałem, że SCIETTO ma posprzątać! – wydziera się Venger.

– Ona bardzo, bardzo przeprasza – mówi pan Mario.

Ze względu na niego mamroczę „przepraszam”.

Dzwonek na kolację.

– No ja myślę, że przepraszasz! – syczy Venger. – Skoro tak się palisz do sprzątanania, to zostań tu i porządnie to wytrzyj.

Venger popycha Aidana i Heather w stronę Plazy 900.

– Proszę – jąka pan Mario. – Chciałem jeszcze przy okazji przeprosić za to zamieszanie przy płocie kilka dni temu...

– Spadaj, Scietto – warczy Venger. – Nakarm swoje bachory!

– Josie też chciała przeprosić, prawda, słońce?

Pan Mario chce, żebym błagała o wybaczenie.

Wie, że Venger tylko czeka, żeby jakoś się na mnie zemścić za mój opór pod bramą.

Ale nie będę błagać.

Padam na kolana i skupiam się na szorowaniu.

– Nie, ona jest zbyt dumna, żeby przeprosić – cedzi Venger. – Nie szkodzi, Scietto. Już ja się nią zajmę. Ty idź na kolację.

Pan Mario nic nie mówi i za to jestem mu wdzięczna.

Zabiera dzieciaki, nim Venger zmieni zdanie.

ROZDZIAŁ 9

DEAN

DZIEŃ 32

Astrid powtarzała w kółko „O Boże”.

Ja utknąłem na:

– Wszystko będzie dobrze.

– Nie będzie! – wybuchnęła w końcu. – Ta baba mnie namierzy. Przez ten list ma teraz i moje nazwisko, i całą opowieść. Dorwie mnie!

Policzki miała zarumienione, oddech płytki. Zaraz tak się nakręci, że znów dostanie napadu paniki, pomyślałem i wydarłem się na nią:

– Przestań! Musimy się zastanowić nad tym, co powiedziała! – Chwyciłem ją za ramiona i odwróciłem w swoją stronę. – Powiedziała, że większość kobiet, które słyszą o tych badaniach, najpierw odmawia, ale potem zmienia zdanie, kiedy dowiadują się o pieniądzach.

Popatrzyła na mnie bez przekonania.

– I powiedziała, że kobiety, które były wystawione na działanie chemikaliów, wymagają specjalnej opieki. Astrid, naprawdę uważam, że powinniśmy jeszcze raz z nią pogadać, tym razem bez ściemy, i wysłuchać, co ma do powiedzenia. Musimy brać też pod uwagę zdrowie dziecka.

– A co myślisz? Że ja się nie martwię o dziecko? – Teraz to już całkiem się wściekła. – Leżę po nocach i czuję, jak się rusza. I wciąż się

zamartwiam, że coś jest nie tak! Chcę tylko uciec gdzieś, gdzie by było bezpiecznie.

– Ale tu jest bezpiecznie!

Astrid odwróciła wzrok.

– Ja... ja po prostu – ciągnąłem – nie wyobrażam sobie, żeby armia amerykańska naprawdę zabierała kobiety bez ich zgody. To by było nielegalne, Astrid. To by było niemoralne. Złe.

Bąłem się, że powie coś w stylu: „To nielegalne przetrzymywać osoby z grupą 0 w więzieniu w Mizzou”. Albo: „A co? Wyprodukowanie tych chemikaliów przez rząd Stanów było może moralne?”. Zamiast tego tylko na mnie spojrzała i powiedziała:

– Muszę znaleźć Jake’a.

Szlag mnie trafiał.

Szukaliśmy Jake’a po całym obozie, a mnie szlag trafiał.

Właśnie wspierałem ją jak mogłem, pomagałem, uspokajałem, próbowałem myśleć racjonalnie, a ona po prostu zaczęła szukać Jake’a, gdy tylko się z nią nie zgodziłem.

Może Jake miał rację. Może byłem totalnie zdominowany. Może za bardzo jej ulegałem. Bo dlaczego by mnie odrzucała, gdy tylko spróbowałem przemówić jej do rozsądku?

Ale Jego Wspaniałości oczywiście nigdzie nie można było znaleźć.

Nie było go w stołówce (gdzie na szczęście wciąż serwowali śniadanie. Pochłonałem dwie kanapki z bekonem i jajkiem, a Astrid stała nade mną poirytowana, niemal tupiąc nogą z niecierpliwości. Nie zjadła nic, poza bananem. Powiedziała, że robi jej się niedobrze od samego zapachu jajek).

Nie było go na polu golfowym – a w każdym razie go tam nie widzieliśmy.

Ani w świetlicy.

Prawdę powiedziawszy, Aleksa i Sahalii też nie mogliśmy nigdzie znaleźć.

W końcu natknęliśmy się na panią McKinley i panią Dominguez z maluchami. Były daleko, aż przy jedenastym dołku. Budowały właśnie szalás wśród drzew rosnących między polem a drogą.

– Astrid! Dean! – zaczęły świergolić dzieciaki z wyjątkiem Chloe. – Widzieliście list? Czy to nie super, że go wydrukowali?

– No – mruknąłem. – Super.

– Alex mówi, że dzięki temu uda się znaleźć waszych rodziców! – dodała radośnie Caroline. – Tak bardzo chciałabym ich poznać!

– Patrzcie na nasz fort! – dodał Max.

– My budować mur! – pochwalił się Ulysses, wskazując chybotliwą konstrukcję z patyków opartych o pień klonu.

– Bardzo fajny – powiedziałem.

– Co się stało, Mała Mamusiu? – spytał Henry Astrid.

Nie wiem, czy to dlatego, że Astrid była w ciąży, czy dlatego, że mieli w końcu swoją „dużą” mamę, Caroline i Henry nazywali teraz Astrid Małą Mamusią. Zwykle wywoływało to na jej twarzy uśmiech czułości. Ale nie dziś.

– Widziały panie Jake’a? – spytała.

– Tak – odparła pani McKinley. – Był na śniadaniu. Powiedział, że jedzie z Nikiem do bazy lotnictwa.

Astrid machnęła z wściekłości rękoma.

– Wszystko w porządku? – spytała pani McKinley.

Astrid odwróciła wzrok. Znałem już tę jej minę – jeśli tylko spróbuje się teraz odezwać, rozpłacze się.

To mnie trochę rozczerowało. Ale tylko trochę.

– Muszę z nim porozmawiać – odpowiedziała w końcu.

– A ja pomagam Astrid go znaleźć – wyrwało mi się. – Rozumieją panie, od tego jestem. Zajmuję się Astrid i pomagam jej, w czym się da. Robię, co mi każe.

Na twarzy pani McKinley zobaczyłem lekkie zdumienie wywołane moim sarkastycznym tonem.

– Niech pani go nie słucha – mruknęła Astrid. – To tylko zazdrosny palant.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę Klubu.

Autobus do bazy lotnictwa wyjechał godzinę temu.

Popędziłem za nią.

– Nie musisz ze mną iść – syknęła.

– Wiem – odparłem.

– Więc nie idź!

– I tak muszę pogadać z Nikiem.

To poniekąd była prawda.

Ale głównie szedłem za nią, bo... bo byłem zazdrosnym palantem. Bałem się, co Jake jej może nagadać, gdy mnie przy nich nie będzie.

Z tego, co dowiedział się Alex, główną przyczyną, dla której nasz obóz został zorganizowany na polu golfowym Quilchena, była bliskość międzynarodowego lotniska w Vancouver, które teraz stało się tymczasową bazą lotnictwa Stanów Zjednoczonych.

Kapitan McKinley umieścił nas tu po części dlatego, że dzięki temu mógł się widywać z rodziną. Tymczasowa baza stała się ośrodkiem armii amerykańskiej do spraw niesienia pomocy setkom tysięcy amerykańskich uchodźców na całym zachodnim wybrzeżu Kanady.

Przez tę bazę przechodziły wszystkie dostawy, codziennie przewijały się setki uchodźców i znajdowały się tu biura wojskowe, gdzie można było złożyć podanie o transfer i tym podobne.

Żeby dotrzeć do bazy, wystarczyło tylko podać swój numer ubezpieczenia. Zawsze chcieli wiedzieć, gdzie kto się znajduje.

W samej bazie obowiązywały zaostrzone środki bezpieczeństwa, a strażnicy patrolowali teren wokół obozu, więc pewnie nikt się nie martwił, że ktoś z nas mógłby uciec.

Pojęcia nie miałem, co Astrid zamierza zrobić, gdy podjedzie autobus. Czy poda swój prawdziwy numer czy ten zmyślony, który wpisała w papierach w szpitalu?

Byłem zbyt wściekły, żeby o to spytać.

Ale na liście, którą podał jej kierowca, wpisała swój prawdziwy numer.

Spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami.

– I tak już wszystko o mnie wiedzą – stwierdziła.

Dawała mi szansę.

Wciąż byłem zbyt urażony. Na co ona liczy? Że niby co takiego powie Jake? Coś innego niż ja? Na pewno nie okaże jej więcej zrozumienia. Czego ona w ogóle od niego chce – teraz i tak ogólnie?

W bazie bez trudu znaleźliśmy Nika i kapitana McKinleya, ale Jake'a z nimi nie było.

Kapitan wyglądał na poirytowanego. Niko chodził za nim krok w krok, a kapitan próbował robić przegląd sprzętu w dużym transportowym helikopterze.

– Żeby mi pomóc, nie musi pan popierać mojego planu – przekonywał go właśnie Niko, gdy się zbliżyliśmy.

– Nie zamierzam wylecieć z roboty, żeby pomóc narwanemu siedemnastolatkowi szukać igły w stogu siana – syknął pan McKinley.

Niko miał szesnaście lat, ale wyraźnie nie zamierzał prostować tej pomyłki kapitana.

– Dzień dobry – przywitałem się.

– Czy jest tu z wami Jake? – spytała Astrid.

– Poszedł zobaczyć się z jakimś znajomym w hangarze samochodowym – mruknął Niko. – To za tym budynkiem.

– Aha – sapnęła Astrid, masując sobie okolice krzyża.

Wyglądała smętnie.

– Hej, może usiądziesz i odpoczniesz, a ja po niego pójde? – zaproponowałem.

– Nie. Pójde sama. Muszę z nim porozmawiać w cztery oczy.

Aha. Okej.

Zrobiłem wydech przez usta, starając się zachować spokój.

Astrid ruszyła w stronę hangaru.

– Co jest grane? – spytał Niko. – Znowu się kłócicie?

McKinley schował się do helikoptera, pewnie szczęśliwy, że może choć na chwilę pozbyć się Nika.

– No chyba. Widziałeś list?

– Nie, jaki list?

Opowiedziałem jemu i kapitanowi o gazecie.

– Myślisz, że to może mi pomóc wydostać Josie z więzienia? – podekscytował się od razu.

– Być może – zgodziłem się.

– Założę się, że jak wezmę tę gazetę do Mizzou i pokażę im, że zaginiona dziewczyna z naszej czternastki żyje i siedzi u nich w więzieniu, to łatwiej ją wypuszczą. Co pan o tym myśli, kapitanie?

– Myślę, że nagłośnienie sprawy może pomóc w załatwieniu transferu. To by było bezpieczne i legalne – syknął McKinley.

Niko tylko machnął rękoma z wściekłości.

Kapitan przestał zajmować się helikopterem i podszedł do mnie.

– Jak się czuje Astrid? – spytał. – Kara wspominała, że coś jej dolega...

– Ma dziwne skurcze. Namówiłem ją dziś, żeby poszła do kliniki.

– A co? Nie chciała iść?

Oparł się o nos śmigłowca.

– Yyy... – zająknąłem się. Nie chciałem opowiadać kapitanowi o fobiach Astrid. Przecież sam należał do armii, mógłby się poczuć urażony. – Słyszała, że niektóre kobiety bardzo się namawia na badania.

Nie wiedziałem, jak mógłbym to delikatniej ująć.

– Ale ogólnie czuje się dobrze?

– Poza tymi skurczami tak. Pielęgniarka powiedziała, że musi brać witaminy i odpoczywać. Za to zobaczyłem dziecko na usg.

– Niesamowite, co? – rzucił kapitan McKinley.

– Kompletny odlot!

– Pamiętam, jak widzieliśmy bliźniaki. Takie wtulone w siebie. Ręce i nogi miały zupełnie splątane. I nawet ssły kciuki. Oboje naraz!

Rozpromienił się cały na to wspomnienie.

Wtedy wróciła Astrid. Z Jakiem.

Była wściekła.

– Dean! – powitał mnie radośnie Jake. Gołym okiem było widać, że jest pijany. – Podobno jesteście sławni!

– Chyba jeszcze nawet nie ma południa, co? – mruknąłem.

– Nigdy nie jest za wcześnie na partyjkę z przyjacielem – odparł wyluzowany. – W kartach mam szczęście, że ho, ho. Patrz.

W dłoni trzymał całkiem sporo gotówki.

Próbował objąć Astrid w pasie.

– Łapy precz – niemal się na niego wydarła.

– Hej, spokojnie – wybełkotał Jake.

– Astrid, uważam, że powinniśmy wrócić – powiedziałem.

– Niby gdzie? – spytała i widziałem, że jest już na granicy wybuchu. – Nigdzie nie jestem bezpieczna! Tamta pielęgniarka na pewno czeka pod namiotem!

– No – upierałem się. – Chodźmy już.

Nie chciałem, żeby przy kapitanie zaczęła wyklądać te swoje spiskowe teorie.

– Niko – zwróciła się do niego błagalnym tonem. – Weźmiesz mnie ze sobą? Weźmiesz mnie na wyprawę po Josie? Mogę jechać choćby dziś! Pojadę z tobą!

Niko nie wiedział, co powiedzieć.

Zza helikoptera wyłonił się kapitan McKinley.

– Astrid, co się stało? – spytał.

– Pielęgniarka zna moje prawdziwe nazwisko, wie, że byłam wystawiona na działanie chemikaliów, upiera się, że powinnam pozwolić wojskowym naukowcom robić na sobie i na dziecku jakieś eksperymenty...

– Czy jesteś pewna...

– I NIKT nie chce mi pomóc! Wszyscy myślą, że coś mi się ubzdurało!

Kapitan McKinley potarł twarz rękoma. Potem opuścił je bezsilnie.

– Dobra. Zabiorę was – szepnął. – Zabiorę was dwoje dziś wieczorem.

– Co takiego?! – ryknąłem.

– Miałem lecieć po południu, ale przesunę to o kilka godzin – ciągnął spokojnym, cichym, śmiertelnie poważnym tonem. – Wracajcie do Quilcheny. Spakujcie się i pożegnajcie, z kim trzeba.

– Chwilunia, chwilunia, że co? – nie nadążał Jake.

– Zabierają kobiety w ciąży. W nocy – powiedział cicho kapitan. – Widziałem to już kilka razy. Pytałem dlaczego, ale powiedzieli, że to nie mój interes i że kobiety wyraziły zgodę na badania i tak dalej.

Astrid się zachwiała. Chwyciłem ją, żeby nie upadła.

– Ale...? – spytała.

– Ale dręczy mnie jedno. Skoro wyraziły zgodę, to dlaczego wszystkie były uśpione?

Umówiliśmy się, że około dwudziestej drugiej kapitan podjedzie na jedenasty dołek, tam gdzie był fort dzieciaków.

Tylko zupełnie nie mogliśmy się zgodzić co do tego, kto z nim leci.

ROZDZIAŁ 10

JOSIE

DZIEŃ 32

– Chciałaś sprzątać – syknął Venger. – To sprzątaj.

Tak, tylko oczywiście, żeby to wymyć – żeby porządnie wymyć kałużę moczu na cemencie – potrzebne jest wiadro i mop. Albo chociaż gąbka. I ciepła woda. Do tego jakiś środek czyszczący.

A w ogóle to trzeba by zacząć od zamiecenia podwórka, żeby kurz nie zabrudził całej wody w wiadrze.

A co ja miałam?

Brudny ręcznik.

Pierwszego dnia pan Mario wbił mi do głowy tę złożoną z czterech wyrazów mantrę: „Spuść wzrok. Udawaj głuchą”.

Uważał, że dzięki temu jakoś przetrwam w Cnotach.

Spuścić wzrok. Udawać głuchą.

Tarłam cement ręcznikiem.

Większość siuśków i tak już spłynęła w szpary.

Nie dało się tego nijak wymyć. Po prostu musi wyschnąć. Rano nie będzie śladu.

Ale Venger chce zobaczyć, jak szoruję cement, więc szoruję.

Skóra z kłykci nie zaczyna mi schodzić od razu. Dopiero po jakichś trzydziestu minutach.

Muszę być ostrożniejsza. Chyba nie wszystko kontaktuje w moim zepsutym mózgu. Nie odczuwam bólu tak jak kiedyś.

Skąd się wie, że się zdarło skórę z palców? Czuje się ból, patrzy się na ręce i widzi krew na ręczniku.

Ale za to kolana czuję. Zupełnie zdrętwiałe. Chłód cementu wżera się w kości. Takie uczucie.

Słyszę, że pierwsza grupa już wraca ze stołówki.

Słyszę, jak Heather krzyczy:

– Ona wciąż tu jest!

Słyszę, jak ktoś ją ucisza.

Venger wyciąga paczkę papierosów.

– Trudno tu o papierosy. Wiesz, skąd je mam? – Zagaduje, jakbym była barmanką, którą można poderwać. – Co tydzień wysyłamy stąd kilkunastu więźniów. Tylko tych z grupą 0. Tylko tych, co byli wystawieni na chemikalia dłużej niż kilka godzin. Zgłasza się po nich kilku oficerów. Każą mi wydać tych najgorszych.

Zapala papierosa. Czuję to po dymie.

Kolana mam już zupełnie pozbawione czucia. Jakby były z zimnego metalu. Plecy bolą mnie nie do wytrzymania.

– Zabierają ich. Nie wiem dokąd. Żeby robić na nich jakieś eksperymenty.

Robi się coraz zimniej, ale to nie dlatego drzę.

– Chciałem tylko, żebyś o tym wiedziała. Może następnym razem dwa razy się zastanowisz, zanim znów ci strzeli do łba nie okazywać mi szacunku, popisywać się przed Sciettem i tą waszą bandą bachorów albo w ogóle jakkolwiek się wychylać.

Stoi nade mną i czuję jego paskudny oddech zmieszany z dymem papierosa.

– Zapamiętaj to sobie. Zawsze mogę cię wysłać gdzieś, gdzie jest jeszcze gorzej niż tu.

Nic nie mogę na to poradzić. Wybucham śmiechem.

Wymyka mi się:

– Jeszcze gorzej?

Ta myśl jest absurdalna.

Słyszę jakiś dźwięk nad sobą. Tak jakby śmiech.

Odważam się spojrzeć przez ramię. Tak, on też się śmieje.

Nie wiem, czemu uznaję to za znak, że mogę wstać. Że męczarnia skończona.

Prostuję plecy. Ocieram czoło.

– Co robisz? – pyta, wciąż chichocząc.

– Pomyślałam... pomyślałam, że już koniec.

– Nie – mówi. – Jeszcze nie. Potrzymam cię tu, aż wejdzie ostatnia grupa.

Będzie dla ciebie bezpieczniej, jak poczekamy tu aż do zamknięcia.

– Proszę – bąkam. – Mogę już iść?

Pochyliła się w moją stronę. Kiwa głową zadowolony z tego, co widzi. Że już jestem wykończona.

Otwiera paszczę i mówi:

– Jeszcze nie.

Słyszę, jak kolejna grupa idzie do Plazy 900.

Słyszę, jak wracają.

Teraz krwawią mi też kolana.

Jakimś cudem zaczynają cykać świerszcze. Jeszcze dla nich nie za zimno.

Wkrótce wymrą.

Łapie mnie skurcz w lewej ręce.

Na kolację idzie ostatnia grupa.

Czterdziestopięciominutowe zmiany.

Potem jeszcze trzydzieści minut, nim wszyscy zostaną zamknięci.

Moje biodra zacinają się boleśnie w stawach.

Łzy płyną mi po policzkach, ale to nie szkodzi, przynajmniej mam wodę do sprzątania. Kap, kap, kap. Małe, czarne ślady po łzach znikające pod ręcznikiem.

Nawet nie wiedziałam, że jeszcze potrafię płakać. W pierwszej chwili pomyślałam, że to deszcz.

Nie powinnam się była w to pakować.

– Sam umiem o sobie zadbać, na litość boską – gderał pan Mario tamtego dnia, gdy zasłoniłam go przed Vengerem pod bramą. Miałam niby dać mu roztrzaskać staruszkowi głowę jak melona.

Miałam siedzieć cicho i czekać, aż mnie ktoś wreszcie wypuści.

– Stary już jestem – mówił pan Mario. – Nie boję się śmierci. Ale ty jesteś moim wielkim projektem. Jesteś moim ostatnim dobrym uczynkiem na tej ziemi. Masz wyjść z tego żywa.

Cha, cha. Taka sztuczka.

Że niby mam dbać o siebie ze względu na niego.

Plamy już dawno nie ma, a ręcznik przetaił się tak, że zostały mi z niego tylko długie, postrzępione resztki między palcami.

Pytam Boga, czy to może jest już czas, żeby z tym skończyć.

Wystarczy przecież, że wstanę i zamachnę się na Vengera, a on mnie zabije.

Ma broń. Zawsze nosi ją tak, żebyśmy wszyscy widzieli skórzaną kaburę.

To nie jeden z tych karabinów do kontrolowania zamieszek, które zwykle noszą strażnicy. Tamte są wielkie, półautomatyczne, nabite usypiającymi strzałkami.

Pistolet Vengera jest na zwykłe kule.

Boże, modlę się. Daj znak, że mam z tym skończyć.

Ale znaku nie ma.

– Daj znak, jeśli nie mam z tym skończyć. – Chyba wymamrotałam to na głos.

– Co mówisz? – pyta Venger.

– Mówię, Boże, proszę, daj mi znak, jeśli nie mam z tym skończyć!

Prostuję plecy, kryję mokrą twarz w dłoniach.

Venger pochyła się, chwytając mnie za jeden z koczków. Podciąga mnie tak, że teraz klęczę. Boli mnie szyja.

– Strasznie się nad sobą użalasz – mówi. – Może wreszcie myślisz sobie: „Ten drań Venger nie żartuje. Jak MÓWI, to na SERIO. Może już nie będę go prowokować”.

Zaczynam się trząść. A biedny kretyń myśli, że to ze strachu.

Ale to budzi się moja krew i z trudem się powstrzymuję mimo całego zmęczenia, żeby go nie zabić.

Wykończona, zakrwawiona i tak chcę ponad wszystko chwycić go za szyję i ZACISNAĆ PALCE.

– Przepraszam bardzo, panie Venger – rozlega się głos i słyszę stukot obcasów na podwórzu. – Czy to naprawdę konieczne?

Venger puszcza moje włosy i upadam do przodu, próbując oprzeć się jakoś na zakrwawionych kłykciach.

– Zmusza pan tę dziewczynę do szorowania tego samego miejsca, odkąd wyszłam na obchód dwie godziny temu.

– Doktor Neman, witam. Może pani ta dziewczyna wydaje się nieszkodliwa, ale to prawdziwa bestia.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Tylko pogarszasz sprawę, paniusiu, chcę jej powiedzieć. Zostaw nas w spokoju.
Już prawie koniec.

– Josie już prawie skończyła. Prawda, Josie? – pyta Venger.

Kiwam głową.

Nie podnoszę wzroku.

Lekarka pochyla się. Schylam głowę jeszcze bardziej, żeby uniknąć jej pytającego spojrzenia.

– Przyjdź jutro do kliniki. Opatrzymy ci kłykcie – mówi.

Wzdycham, gdy jej obcasy stukają znów o cement. Znika.

Teraz już nie mogę sprowokować Vengera, żeby mnie zabił.

Bo ta lekarka była znakiem od Boga i nie mogę go zignorować.

ROZDZIAŁ 11

DEAN

DZIEŃ 32

– Co ci do łba strzeliło, że to ty powinienes jechać zamiast mnie?! – syknął Jake już w autobusie w drodze do obozu. – To ja jestem ojcem dziecka. Ja. Ty jesteś tylko jej chłopakiem. I to chwilowym.

– Przestańcie – poprosiła Astrid. – Kapitan powiedział, że zabierze całą naszą czwórkę. Po co więc te dyskusje?

Para staruszków siedząca na przedzie autobusu obejrzała się w naszą stronę.

– Przecież Jake jest pijany jak bela! – odparowałem, starając się nie podnosić głosu. – Będzie tylko ciężarem!

– Cisza! – ryknęła Astrid. Jej oczy miały pioruny, a policzki miała zarumienione z wściekłości. – Jeśli nie potraficie być dla siebie mili, to nie chcę żadnego z was na tej wyprawie. Mówię poważnie. Niko sam się mną zajmie, jeśli wy nie potraficie się dogadać.

Tym nas skutecznie uciszyła.

Przez cały ten czas Niko po prostu gapił się przez okno. Zupełnie jakby nas nie słyszał.

Uśmiechał się. Nie pamiętałem, żeby uśmiechnął się przy mnie choć raz od chwili, gdy wyjechali z Greenwaya.

Nasz plan był taki, że wrócimy teraz do namiotu, żeby Astrid mogła odpocząć po południu. Ona będzie spała, a my się spakujemy. Powinniśmy też zwołać zebranie z dziećmi, żeby im wyjaśnić, co się dzieje. I na pewno muszę pójść z Alekssem na spacer.

Na samą myśl o tym, że mam mu powiedzieć o wyjeździe, robiło mi się słabo.

Ale gdy już zbliżaliśmy się do Namiotu J, Niko nagle zawrócił i bez słowa nam pokazał, że mamy iść na pole.

Zaraz zobaczyłem dlaczego. Przed naszym namiotem stało dwóch strażników.

– Myślisz, że szukają Astrid? – spytałem.

– Pojęcia nie mam – odparł, oglądając się przez ramię. – Ale lepiej nie ryzykować.

Zamiast więc położyć się na swoim łóżku, Astrid próbowała odpocząć na przedziwnej konstrukcji z gałęzi, którą zbudowaliśmy zgodnie z instrukcjami Nika. Nie ma to jak łóżko w stylu skautowskim.

Dzieciaki wybrały naprawdę dobre miejsce na ten fort. Las był tu gęsty i między nim a polem golfowym znajdowało się niewielkie wzniesienie, co oznaczało, że właściwie nie było nas widać z Klubu.

Jednym z nielicznych plusów całej tej katastrofy było to, że wyobraźnia dzieci naprawdę się rozwinęła.

Pamiętałem je przecież z Greenwaya – znudzone zabawkami, gdy tylko skończył się pierwszy zachwyty tym przepychem.

A teraz, ponieważ nie miały właściwie nic – żadnych zabawek z wyjątkiem jednej piłki i szmacianej lalki, którą Chloe wyłudziła od jakiejś

młodszej dziewczynki – wciąż bawiły się na dworze. Ich zabawkami były liście, gałęzie, kawałki kory i mchu.

Zgodziliśmy się co do tego, że Jake, Astrid i ja powinniśmy zostać w ukryciu do zmierzchu. Niko zostawił więc nas w lesie, a sam poszedł się spakować.

Dzieci miały przyjść do nas o czwartej, a Niko po kolacji, przy czym obiecał, że postara się przeszmygłować tyle jedzenia, ile się da.

Zarządził, że dzieci nie mogą przyjść zobaczyć się z nami wcześniej. Nie chciał, żeby dużo osób chodziło wte i wewte w porze, gdy wszyscy inni stoją w kolejkach na czytanie list albo oglądają telewizję.

Był tylko jeden wyjątek. Alex. Poprosiłem Nika, żeby przysłał go do mnie jak najszybciej. Musiałem porozmawiać z nim na osobności.

Przybiegł, wymachując gazetą.

– Co o tym myślicie? – zapytał od razu. Ale potem zarejestrował, że Astrid leży na posłaniu z gałęzi, a Jake siedzi na ziemi i pisze pożegnalny list do ojca. – Co jest grane? Co wy kombinujecie?

Wziąłem go za ramię.

– Przejdźmy się – powiedziałem.

– Hej, Alex – odezwał się Jake. – Jak żyjesz?

– Widziałeś list? – spytał go mój brat i wyciągnął gazetę w jego stronę. – Jeszcze nikt nie dzwonił, ale w biurze jest taka miła pani, która obiecała dać nam znać, gdy tylko...

Jake wziął od niego gazetę.

– Odłot, chłopie.

– Przejdźmy się – powtórzyłem.

Astrid spała i nie chciałem, żeby się obudziła i nagadała Aleksowi, co myśli o tym całym liście.

Muszę mu przecież najpierw wyjaśnić sytuację.

Jego pierwsza reakcja była dokładnie taka, jak się spodziewałem:

– Co?!

Zacząłem znów tłumaczyć. Że jego list jednoznacznie mówi, że Astrid jest w ciąży, ma grupę 0 i wielokrotnie była wystawiona na działanie chemikaliów. Że ona się boi, że wbrew jej woli zabiorą ją na badania, i że kapitan McKinley w sumie potwierdził jej najgorsze podejrzenia.

Żal mi było patrzeć na jego minę. Jak u dziecka, które zrobiło mamie śniadanie na Dzień Matki, po czym się zorientowało, że przy okazji podpaliło cały dom.

– Ale co dokładnie powiedział kapitan McKinley? – dopytywał.

– Że powinna stąd wyjechać jeszcze dziś wieczorem.

– A co mówił o tych badaniach? Dlaczego zabierają kobiety?

– Myślę, że nie wie. Ale potwierdził, że je usypiają i wywożą nocą. To jej wystarczyło.

– Kurczę – wybąkał. – To naprawdę kiepsko. Gdzie ona się podzieje?

Mhm. No to teraz najtrudniejsza sprawa.

Przez chwilę słyhać było tylko szuranie naszych butów w liściach, gdy się zastanawiałem, jak mu to powiedzieć.

Ale chyba moje milczenie już za dużo mu powiedziało, bo wybuchnął nagle:

– Nie! – Chwycił mnie za ramię. – Nie możesz z nią jechać. Obiecaliśmy sobie przecież, że już się nie rozdzielimy. A teraz... zaraz znajdą nas tu rodzice, Dean. Dzięki temu listowi...

- Muszę jechać – szepnąłem. – Nie może pojechać sama.
- Nie będzie sama. Będzie z nią Niko.
- Ale Niko jedzie ratować Josie!
- Niech Jake jedzie. W końcu to on jest ojcem dziecka.
- Dziś rano przeszukaliśmy pół obozu, żeby go znaleźć. I wiesz, gdzie był? Grał w pokera i chlał! Była może dziesiąta rano! To skończony patałach. On nigdy nie zapewni jej bezpieczeństwa!
- Ale wystarczy, że ona się schowa w jakiejś bezpiecznej kryjówce! – emocjonował się Alex. – Niko może zostawić ją z Jakiem w jakimś motelu i po sprawie...
- Posłuchaj, jaki jest plan. Astrid, Jake, Niko i ja pojedziemy...
- To absurd!
- Pojedziemy z Nikiem do Mizzou, co jest po drodze do...
- To zupełnie beznadziejny plan!
- Jest po drodze do Pensylwanii. Tam spotkamy się wszyscy na farmie wuja Nika! A gdy już ludzie zaczną reagować na twój list i nawiążesz kontakt z rodzicami, powiesz im, gdzie jesteśmy.
- Uznałem, że ta część powinna mu się spodobać.
- Skazujesz się na status uciekiniera tylko dlatego, że kapitan McKinley ma jakieś nieuzasadnione obawy dotyczące naukowców?
- Nie będziemy uciekinierami. Po prostu opuszczamy obóz. Ludzie robią to każdego dnia.
- Ci ludzie mają odpowiednie papiery, Dean. Zezwolenia na powrót do domu.
- My wyjeżdżamy trochę wcześniej – powiedziałem. Alex przewrócił oczami. – Słuchaj, jedną kobietę w ciąży zabrali w środku nocy. Jej siostra nam o tym powiedziała. A teraz kapitan wpadł w panikę, że zabiorą Astrid. Dzieje się coś niedobrego i nie możemy ryzykować, że ją stracimy.

Alex zatrzymał się raptownie.

– Od kilku dni słyszę, jak mówisz Nikowi, że wyprawa po Josie nie ma sensu. A co ze wściekłymi wiatrami? Co, jeśli naprawdę istnieją? A teraz ty z nim jedziesz?

– Pomaga nam kapitan. Obiecał, że zawiezie nas tak blisko, jak tylko się da. Dzięki temu to nie jest aż tak niebezpieczne. Muszę jechać, żeby dbać o Astrid i zabrać ją na farmę. Nie ma żadnego ryzyka. Żadnego.

Na głowę Aleksa opadł liść klonu – czerwony jak płomień.

– Szlag mnie trafia, że muszę cię zostawić, Alex. Wiesz o tym.

Nie podniósł wzroku. Zdjąłem mu liść z włosów.

– Ale ją kocham. Muszę się nią opiekować.

– Ona wcale cię tak nie kocha! – odparował.

To zabolalo. Nie będę udawał, że nie. Ale wiedziałem, że powiedział to w złości.

– Alex, zrozum. Jake jest wiecznie pijany, a Niko myśli tylko o tym, jak uratować Josie. Astrid ma skurcze. Jest uparta i nie odpoczywa tyle, ile powinna. Potrzebuje kogoś, kto by się nią opiekował, i tym kimś jestem ja. To moje zadanie.

Alex był już na granicy łez.

– Nie chcę, żebyś jechał. Nie chcę znów być daleko od ciebie.

Przytuliłem go i rozplakał mi się w koszulę.

– Przepraszam – wyszeptalem. – Ale niedługo znów się zobaczymy. Spotkamy się w Pensylwanii. To zajmie tylko kilka dni. Zobaczysz. Na farmie już będziemy znów razem.

Jeszcze wczoraj uparcie szukałem dziur w tym jego wymarzonym planie, żeby wpadło do niego choć trochę realizmu.

Teraz posługiwałem się jego marzeniem, żeby go przekonać, by pozwolił mi jechać.

Gdy wróciliśmy, przy forcie zastaliśmy już Nika z dziećmiakami. Były zachwycone, że zainteresowaliśmy się ich szaląsem.

Henry siedział przy Astrid, która wciąż leżała na gałęziach. Ręce położył na jej brzuchu. Po drugiej stronie siedziała Chloe.

Przykładała ręce do brzucha Astrid i krzyczała:

– Hop! Hop! Dzidzia! Słyszysz mnie? KOPNIJ, JEŚLI SŁYSZYSZ!

– Dość już, Chloe – jęknęła Astrid. – Daj mi chwilę odpocząć.

– No – dodał Max. – Jeszcze przestraszysz dziecko i wyjdzie z tego jakiś nalbinos.

Scyzorykiem Jake’a strugał sobie właśnie włócznię z patyka.

– Nalbinos? – zdziwiła się Chloe.

– No, dziecko bez włosów i z różowymi oczami.

– My nie mieliśmy włosów, jak się urodziliśmy – oświadczyła Caroline.

– Jesteśmy nalbinosami?

– Dzieci, mówi się albinos – próbowała sprostować ich pomyłkę Astrid.

– Albinizm to mutacja genetyczna – wtrącił się Alex. – Nie ma żadnego związku z tym, czy się przestraszy kobietę w ciąży.

Choćby nie wiem jaki był na mnie wściekły i tak chciał, żeby dzieci miały jasność co do faktów naukowych.

Ścisnęło mnie w gardle. Docierało do mnie, że naprawdę ich opuszczamy.

– Alex ma rację – powiedziała Astrid. – Dzięki, Alex.

Próbowała pochwycić jego wzrok, ale unikał jej spojrzenia.

– Jestem ci winien przeprosiny za ten artykuł – powiedział dość sztywno.

– Nie, nie – przerwała mu Astrid. – To ja powinnam cię przeprosić.

Musisz być na mnie wściekły...

– O czym wy gadacie, do licha? – spytała Chloe. – Chodzi o list?

– Czy naprawdę będziemy selebrytami? – spytała Caroline. Jej mała rączka schowała się w mojej. – Bo ja bym wolała zostać sobą.

W końcu przysłała Sahalia. Niosła plecak z rzeczami Astrid, które widocznie kazał jej spakować Niko. Rzuciła go na ziemię tuż przy pozostałych trzech, które Niko spakował dla siebie, dla mnie i dla Jake'a.

– To co się tak właściwie dzieje? – spytała.

– Robimy sobie biwak? – ucieszyła się Caroline. – Będziemy tu spać?

– Niestety nie – odpowiedziałem. – Okazuje się, że jacyś naukowcy chcą zabrać Astrid na badania.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Astrid. Caroline przyłgnęła do niej w panice i wtuliła twarzyczkę w jej szyję.

– Nie! Nie damy cię! – wrzeszczały dzieciaki jedno przez drugie.

– Posłuchajcie! – zabrał głos Niko. – To ważne. Postanowiliśmy, że Jake, Dean i ja wyjedziemy z Astrid, żeby znaleźć jej bezpieczne schronienie i żeby uratować Josie.

Na twarzy Sahalii zobaczyłem kompletną rozpacz. Spojrzała z niepokojem na Aleksa.

Dzieciaki zaczęły jęczeć i protestować, ale Niko je uciszył.

– Mogliśmy nic wam nie mówić, ale chcieliśmy, żebyście znali prawdę, bo jesteśmy rodziną. Rozumiecie? Traktujemy was jak duże dzieci, więc musicie się tak zachowywać.

– Kiedy jedziecie? – spytał Ulysses.

– Dziś wieczorem.

Henry podszedł bliżej i wyciągnął coś z kieszeni sztruksów.

– Weźcie to – powiedział i podał mi pięć dolarów.

– Ale twój tata dał je tobie na urodziny! – oburzyła się Chloe. – To twoje specjalne urodzinowe pieniądze!

Wtedy za Henry'ego odpowiedziała Caroline. Często tak robiła.

– Mały Tatuś może potrzebować pieniędzy, Chloe. Serio.

Serce mi się ścisnęło. Wiedziałem, że Astrid jest według nich Małą Mamusią, ale nie miałem pojęcia, że to ja noszę tytuł Małego Tatusia.

– Dziękuję, Henry – powiedziałem. – Przydadzą nam się w drodze.

– Jak wy się tam w ogóle dostaniecie? – spytała Chloe. – Piechotą?

Niko podniósł rękę.

– Nie będziemy omawiać szczegółów, bo ludzie mogą wam potem zadawać mnóstwo pytań. Jeśli ktokolwiek będzie was dziś o cokolwiek pytać, mówcie, że nas nie widzieliście. Ale jutro już możecie powiedzieć prawdę. Że opuściliśmy obóz, bo obawialiśmy się o bezpieczeństwo Astrid.

– Wkrótce znów będziemy razem – dodałem. – Obiecuję.

– Pozdrowicie ode mnie Josie? – poprosił Max. – Jak już ją znajdziecie?

– Oczywiście – zapewnił Niko.

– I powiedzcie, że kaczuszką też pozdrawia – dorzuciła Chloe. – Już ona będzie wiedziała.

– I powiedzcie jej, że ja za nią tęsknię – odezwał się szczerbaty Ulysses.

Alex unikał mojego wzroku. Miał zaczerwienione oczy. Sahalia cierpliwie klepała go po dłoni, ale na nią też nie patrzył.

Caroline uściskała mnie, a potem spojrzała na mnie poważnie. Jej piegowata twarz była pełna niepokoju.

– Dbaj o Małą Mamusię – poleciła. – Mamusiom trzeba bardzo dużo pomagać.

Alex przyszedł później, już sam, z plastikową torbą pełną jedzenia, które każde z nich wyniosło dla nas cichaczem ze stołówki.

Dał mi też zwitek pieniędzy.

– A to co? – spytałem.

– Moje oszczędności i sto pięć dolarów od pani Dominguez. Powiedziała, że będzie się za was modlić.

Spojrzał na granatowe niebo.

W zwitku było co najmniej trzysta dolarów.

– Hej, nie musisz mi dawać wszystkiego, co udało ci się zarobić – zaprotestowałem. Ciężko pracował na te pieniądze, naprawiając ludziom różne drobne sprzęty elektroniczne.

– Weź to – syknął.

– Przecież nie mogę...

– Dean, dałbym ci każdego centa, jakiego zarobiłem w całym moim życiu, żebyś był bezpieczny. Może uda wam się za to kupić jedzenie, wodę lub paliwo. Kto wie, co wam będzie potrzebne!

– Przepraszam, Alex – wybąkałem chyba po raz setny.

– Masz dotrzeć na miejsce cały i zdrowy – powiedział. – Bo inaczej nigdy ci tego nie wybaczę. Mówię poważnie. Jeśli umrzesz albo nie dotrzesz na farmę, do końca życia będę opowiadał komu popadnie, że mój brat był skończonym palantem.

Próbował być twardy, ukryć ból. Zaczynałem się nienawidzić.

Potem uciekł trawnikiem w stronę miasta namiotów, które było teraz naszym domem.

Czekanie nie było łatwe.

Wciąż męczyło mnie pytanie, czy dobrze robimy.

Czy ucieczka nie jest przypadkiem głupotą? Co pomyślą o tym rodzice? Próbowałem analizować sytuację tak jak tata – zawsze był taki logiczny. Co

on by powiedział o mojej decyzji? Kiedy pomyślałem o mamie, serce mi się ścisnęło. Na pewno by chciała, żebym dbał o Astrid, prawda?

Stałem oparty o sosnę. W gałęziach szumiał wiatr. Pole golfowe było nocą jeszcze piękniejsze.

Zaraz przyjedzie po nas kapitan McKinley.

Podeszła Astrid. Oparła się o mnie. Jake spał na jej łóżku z gałęzi. Niko siedział przy drodze, wypatrując kapitana.

– Muszę cię przeprosić – powiedziała cicho. Miała na sobie moją starą zieloną czapkę i biały irlandzki sweter, który nie zakrywał już całego brzucha.

Gdy mówiła, jej oddech tworzył niewielkie chmurki.

– Chciałam znaleźć rano Jake’a, bo... – Wzięła mnie za rękę. – Bo chciałam go poprosić, żeby mnie zabrał do Teksasu.

Przyjąłem to jak cios w brzuch. Zamknąłem oczy i odruchowo zakryłem je ręką.

– Zupełnie spanikowałam, a ty nie traktowałeś mnie poważnie, więc nie wiedziałam, co robić – powiedziała szybko, jakby wyznawała mi coś strasznego. Głos miała smutny, zaniepokojony, przerażona tym, że wyrządziła mi przykrość.

– Ale gdy tylko go zobaczyłam, zrezygnowałam z tego planu – wyszeptała niemal błagalnie. – Przepraszam.

– Już czas! – zawołał Niko. – Chodźcie.

Serce miałem ściśnięte jak w imadle.

– Nie wściekaj się na mnie – błagała. – Kocham cię. Naprawdę. Bałabym się jechać bez ciebie.

Chwyciłem ją może trochę mocniej, niż zamierzałem, i pocałowałem w usta.

– Też cię kocham. I w życiu bym cię nie puścił samej – powiedziałem.

ROZDZIAŁ 12

JOSIE

DZIEŃ 32

– Zajęło ci to trochę, ale przynajmniej jest ładnie posprzątane – mówi Venger.

Że niby widzi cokolwiek po ciemku. Że niby plama sama by nie wyschła po dwóch godzinach.

Z kolacji wróciła ostatnia zmiana. Wydzwaniali właśnie dziewiątą wieczorem.

– Wracaj do swojego pokoju – rozkazuje mi. – Czas gasić światła.

Nie mogę wstać. Nie od razu. Stawy mi się zastały, zamarzły.

Podciąga mnie do pionu, ale nawet wtedy kolana nie bardzo mają siłę podtrzymywać mój ciężar.

Venger mnie puszcza, a ja zataczam się, ze wszystkich sił próbując nie upaść.

W jego szerniałym sercu zatliła się chyba iskierka litości, bo nagle jego wzrok zatrzymuje się na mnie na moment.

– Nie rozumiesz tego – mówi. – Ale wszyscy, którzy widzieli, jak sprzątasz, będą wiedzieli, że nie toleruję żadnego nieposłuszeństwa czy to u mężczyzny, czy u kobiety, czy u dziecka.

Co można powiedzieć człowiekowi, który jest tak głupi, że myśli, iż publiczne ukaranie piętnastolatki zyska mu szacunek ludzi?

Zresztą mam poważniejsze zmartwienia.

Jest już po dziewiątej, więc po zgaszeniu świateł. Wszyscy powinni być zamknięci w swoich pokojach. I zwykle tak jest. Ale po zamieszkach nie wszystkie

drzwi działają.

Jest ryzyko, że na korytarzu mężczyzn natknę się na jakieś bestie.

Venger uchyla drzwi wejściowe i trzyma je przede mną otwarte.

Zauważa moje wahanie.

– Idź już – ponagla. – Przecież wszyscy są zamknięci.

– Część zamków nie działa – szepczę.

– Na litość boską. – Chwyta mnie za rękę i wpycha do przedsionka.

W holu, gdzie kiedyś studenci sprawdzali, czy przyszły do nich listy, i oglądali wiadomości na bigtabach, kuca pod ścianą dwóch zmizerniałych facetów. Palą jednego papierosa na zmianę.

Venger wpycha mnie do środka i mówi:

– Wy dwaj macie zostawić dziewczynę w spokoju. Tylko przechodzi na piętro.

Patrzają na mnie. Jeden się uśmiecha.

– Tak, sir – odpowiada. Brakuje mu dwóch górnych zębów.

Ostrożnie idę w głąb korytarza, a Venger się obraca, żeby wyjść.

Jeśli są tu tylko ci dwaj, to zdołam im umknąć...

Odczekują, aż Venger sobie pójdzie.

Wtedy ten chudszy otwiera usta. Zaraz powie mi coś podłego. Jestem tego pewna.

Ale zamiast tego on wrzeszczy:

– KRÓLICZEK! Króliczek na korytarzu!

Serce zaczyna mi walić, skacze adrenalina. Stawy stają się sprawniejsze. Mięśnie szykują się do biegu. Przychodzi z pomocą moja krew O.

Dzięki ci, biologiczna broni – energio, którą mam w DNA już na zawsze.

Puszczam się pędem przez korytarz.

Dwaj mężczyźni za mną toczą się jak warczące umarlaki.

– Króliczek na korytarzu! – powtarza jeden z nich.

Większość drzwi jest zamknięta. Słyszę, jak w środku mężczyźni walą w zasuwę, próbują się wydostać.

Ale są też otwarte drzwi i widzę, jak z pokoiów przede mną wyłania się kilku mężczyzn.

Jeden z nich cały się poci, jest łysy, zaciera ręce, jakbym już w nich była.

– Spokojnie, dziewczyno – zagaduje.

– Zostaw ją w spokoju – mówi inny, wychodząc z następnego pokoju. – To tylko dziecko.

– Zamknij się, Patko – warczy któryś z mężczyzn za mną.

Ten o imieniu Patko chwyta mniejszego z dwóch stojących przede mną i to jest moja szansa.

Dwóch z tyłu, jeden z przodu i jeszcze jeden, który nadbiega korytarzem – wszyscy rzucają się na mnie.

Ten łysy. Łokieć w brzuch. Kopniak w piszczel.

Naćpany z wytrzeszczem z przedsionka. Pięść w nos. Leje się krew.

Chudzielec z gołą klatą wyciąga rękę i chwyta mnie za pasek w spodniach.

Przyciąga mnie do siebie, przyciska pachwinę do mojego tyłka.

Za nim już tłoczą się inni, ciągną mnie do tyłu.

Przesuwam biodro, chwytam genitalia chudzielca i ciągnę mocno.

Wrzeszczy z bólu i upada. Odwracam się, ale już mnie trzyma czyjaś dłoń.

Wyrывam się i przełazę po łysym olbrzymie leżącym na podłodze.

Wreszcie wolna pędzę w stronę schodów i prawie na nie docieram. Prawie.

Przede mną pojawia się Brett, nastolatek z Unii.

Boże, pomóż, stoi mi na drodze i już się spinam, żeby uderzyć w niego całym ciałem.

Uśmiecha się i odsuwa na bok.

– Biegnij, Josie, biegnij – mówi.

Mijam go pędem. Uderzam w drzwi prowadzące na klatkę schodową.

Są zamknięte, są zamknięte, zamknięte, oczywiście są zamknięte.

Teraz już umrę, byle szybko.

Ale nagle drzwi się otwierają.

To pan Mario i Lori. Wciągają mnie do środka i zatrząskują za mną drzwi.

W szparze zostają czyjeś ręka i noga, więc zatrząskują drzwi jeszcze raz, mocniej i kończyny się wycofują. Zamykają drzwi na klucz.

Lori przyciąga mnie do siebie, zapłakana, i osuwamy się na podłogę.

Pan Mario i Lori pomagają mi wejść po schodach.

Bez adrenaliny jestem jak szmaciana lalka.

– O Boże, o Boże, o Boże – powtarza bez końca Lori.

– Co za skur...czybyk – wścieka się pan Mario. – Rzucił cię na żer. Potwór.

– Nie wiem – bąkam.

Ktoś po drodze walnął mnie chyba w szczękę. Boli.

Idziemy do naszego pokoju. Dzieci czekają w drzwiach.

Na mój widok wybuchają płaczem.

– Przepraszam, Josie. Tak strasznie cię przepraszam – łka Aidan i rzuca się mnie uściskać.

Heather i Freddy też chcą się tulić.

– Przestańcie! Przestańcie! – warczę na nich. – Nie uzalajcie się nade mną.

Odczepcie się!

To za dużo. To przytulanie. Opada mnie strach – że je poduszę, że zrobię krzywdę tym dzieciakom.

Odpycham je.

– Nie przywiązujcie się do mnie, rozumiano? Nie chcę was, nie zależy mi na was! Na żadnym z was!

Nie patrzę nawet na ich głupie twarze, żeby zobaczyć, jak zareagują.

Nie żyję, czy oni tego nie rozumieją? Jestem już martwa, jestem tylko mięsem na przynętę, króliczkiem, którego rzuca się wilkom do zabawy.

Nie potrzebuję POMOCY. Od grupki DZIECIAKÓW?

Uciekam od nich. Nawet od kochanego, lojalnego pana Maria. Zamykam się w łazience.

Odkręcam kran nad wanną.

Czasami woda jest gorąca. Zwykle jest chociaż ciepła.

Dziś jest gorąca, a to oznacza parę. Alleluja.

Biorę nasz skrawek mydła. Użyję trochę. Dziś zużyję swój przydział mydła.

Dociera do mnie, że się trzęsę, i muszę usiąść na toalecie, żeby nie upaść.

– Hej! – Pukanie do drzwi.

– Zostawcie mnie w spokoju! – krzyczę.

Czuję gulę w gardle. Próbuję uspokoić oddech.

– Tak, tak, wiem, że jesteś twarda i nie chcesz niczyjej pomocy. Że nikomu nie wolno z tobą gadać ani nawet cię lubić – mówi pan Mario. – Ale muszę ci coś pokazać.

Uchylam odrobinę drzwi.

– Co?

Przez szparę podaje mi złożoną gazetę.

MONUMENT 14. Taki jest nagłówek. To list do redakcji.

Udało im się.

Dobrze, że już leje się woda, bo wybucham płaczem.

Tak się cieszę i tak za nimi tęsknię, i tak mi żal samej siebie, i jestem taka wściekła na siebie, że się nad sobą użalam.

„Najprawdopodobniej nie żyje”. Moje imię jest oddzielone od pozostałych. Odsunięte.

Oczywiście.

Wspominam nasze czasy w Greenwayu. Wszystkie te śmieszne rzeczy, które wyprawiały dzieciaki. Jak Chloe zawsze działała wszystkim na nerwy. Jakie kochane były bliźniaki. Szalone opowieści Maksa. Szcherbaty uśmiech Ulyssesa. I płaczę nad sobą, bo właśnie tęsknię za czasami, gdy utknęliśmy w hipermarkecie.

Nie miałam pojęcia, jak dobre było dla mnie życie, zanim znaleźliśmy się w Greenwayu. Ani jak dobre było, gdy już tam byliśmy.

Teraz całe moje życie, zanim zatrzasnęły się za mną bramy Cnot, wydaje się bajką.

Płaczę nad opowieścią Aleksa, nad tym, jak sprzedał naszą historię gazecie, jak postarał się, żeby redaktorzy ją kupili.

Dobrze wie, że taki list to najlepszy sposób, żeby znaleźć rodziców.

Tu w Mizzou nie mamy telewizji ani radia, więc gazety są jak pieniądze. Krążą z rąk do rąk, pożyczane jak najcenniejsze skarby. Pewnie tak jest we wszystkich obozach.

I czy już znaleźli swoich rodziców? To też oplakuję.

Czy wszyscy już odnaleźli swoich rodziców i tylko ja utknęłam w Mizzou?

Nie żyję. Najprawdopodobniej nie żyję. Tak myśli Alex.

Wyciągam rękę, sięgam na podłogę po brudne dzinsy.

Wkładam dłoń do kieszeni i wyciągam list od Nika.

Czytam go ostatni raz.

Potem rozdieram świstek na drobne confetti.

Wkładam dłonie do wody, rozchylam je i patrzę, jak skrawki papieru wypływają na powierzchnię.

Przepadłam, Niko. Zanurzam głowę pod wodę. Przepadłam na zawsze.

Papier pływa po powierzchni. Brudne confetti.

Kolana krwawią w szarej wodzie, a ja łkam jak głupia sierota, którą jestem.

ROZDZIAŁ 13

DEAN

DZIEŃ 32-33

Kapitan McKinley przyjechał po nas wielką wojskową ciężarówką do przewozu ludzi. Metalowe rusztowanie i płócienna buda. Trochę jak wóz pionierów amerykańskich. W środku ławki po obu stronach.

Wskoczyliśmy do środka.

– Hej! – zawołał przez tylne okienko kabiny kierowcy. – Mieliście jakieś problemy z wydostaniem się z obozu?

– Żadnych – uspokoił go Niko.

Ruszyliśmy w stronę bazy.

Zdawało mi się, że zaraz... no, nie wiem... strażnicy otworzą do nas ogień albo z ciemności wyskoczy wóz policyjny.

Ale wokół panowała cisza księżycowej nocy. Wiatr szeleścił w jesiennych liściach. Spokój.

Przed ostatnim zakrętem przed bazą McKinley zatrzymał samochód i wpisał coś na swoim minitabie.

Ktoś od razu mu odpowiedział.

– Przy bramie stoi mój znajomy – wyjaśnił nam.

Dopiero wtedy podjechał pod bazę i zamachał do człowieka stojącego na straży.

Żołnierz poklepał nasz samochód.

– Nie widziałem cię, chłopie – powiedział. – W ogóle cię dziś nie widziałem. Jedź.

– Dzięki.

I już byliśmy w bazie.

McKinley pojechał prosto na lotnisko, gdzie czekał na nas wielki helikopter.

Nie była to ta sama maszyna, która uratowała nas z Greenwaya. Tamta była lekka, zwinna, piękna. Ten helikopter był dość standardowy. Żadnych bajerów.

Kapitan zaparkował z piskiem opon.

– Posłuchajcie, otworzę teraz boczne drzwi. Macie się pochylić i od razu wbiec do środka. Mam tu dwóch zaufanych przyjaciół. Jednego widzieliście przy bramie. Drugi pracuje na wieży. Ale nie brakuje tu też takich typów, którzy nas powstrzymają, jeśli tylko was zobaczą. Są strażnicy i są oficerowie. Macie przebiec najszybciej jak się da.

Wyskoczył z kabiny kierowcy, podszedł do helikoptera i otworzył drzwi.

Podeszliśmy pod tył ciężarówki, szykując się do biegu.

– Teraz! – szepnął.

Wyskoczyliśmy skuleni na zalany księżycem asfalt i popędziliśmy do helikoptera.

Niko biegł pierwszy i jego buty bębniły o płytę lotniska jak gongi.

Obejrzałem się. Przecież na pewno już nas usłyszeli jacyś żołnierze. Ale nie.

Wciskaliśmy się po kolei do helikoptera. W środku nie było dużo miejsca.

– Jezu, no, posuńcie się – syknął Jake, wpychając się za mną.

Między podłogą a sufitem rozciągnięta była gęsta siatka z czarnego nylonu, a za nią jakieś skrzynki, które niemal zupełnie zajmowały wnętrze.

Były tylko dwa wolne składane siedzenia niezastawione skrzynkami. Zwrócone do siebie.

McKinley zamknął drzwi.

– Okej, jest dobrze. Nieźle nam idzie – powiedział, wsiadając. Obejrzał się przez ramię.

– Trochę wam tam pewnie ciasno? Jake, chodź może na przód.

Jake ostrożnie przepchał się między nami i przelazł nad wajchami w kabinie. Dostał najlepsze miejsce, choć nawet o nie nie prosił. Niektórzy to mają szczęście.

– Astrid może usiąść na jednym fotelu, jeden z was na drugim, a ostatni niech siada na podłodze – zarządził McKinley.

– Siadaj – powiedział do mnie Niko. – I tak mam krótsze nogi.

– Możemy się zmieniać – zaproponowałem.

Zapiąłem pas.

Astrid zabrała nogi na jedną stronę, ja na drugą i Niko jakimś cudem wcisnął się między nami.

Nawet oparł mi głowę na kolanach, że niby tak sobie odpocznie.

– Nie za wygodnie ci? – spytałem.

– Pełen luksus – mruknął.

Tymczasem w kabinie kapitan nawiązywał łączność z wieżą.

– Delta dziewięć brawo siedem gotowy do startu...

Zamilkł, z napięciem wsłuchując się w ciszę.

Nic.

– Powtarzam: Delta dziewięć brawo siedem gotowy do startu...

Potem jakiś trzask. Jakby ktoś chwycił ręką mikrofon.

– Co się tam, do diabła, dzieje, McKinley? Daliśmy ci pozwolenie na wylot o szesnastej!

W tle usłyszeliśmy głos:

– Spokojnie, Pete. Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

McKinley zaklął głośno i uderzył ręką w deskę rozdzielczą.

– Przepraszam, Pete – powiedział. – Miałem obsuwę i Valdez pozwolił mi wylecieć później.

– Jaki towar wiesz?

McKinley pokręcił głową, jakby się zastanawiał nad możliwymi odpowiedziami i żadna mu nie paskowała.

– Wszystko powinno być w papierach, Pete.

– Jaki masz towar, pytam, do licha ciężkiego!

Kapitan syknął ze złością.

– Chodź i sam obejrzyj – warknął.

– Żebyś wiedział, że przyjdę. Bez odbioru – odparował Pete.

– O Boże – wyrwało się Astrid. – Co teraz będzie?

– Nie wiem – westchnął McKinley. – Niektórzy piloci szmuglują czarnorynkowe towary. To dlatego.

Zerwał z głowy słuchawki i otworzył drzwi.

Astrid chwyciła mnie za rękę.

– Będzie dobrze – szepnąłem. Taką miałem nadzieję.

Po chwili do helikoptera podeszły dwie osoby. Słyszeliśmy, jak się kłóca.

– Mam już dość tego, że mi rozwozicie jakieś gówno na lewo i prawo.

– Ja tego nie robię, Pete. Dobrze o tym wiesz.

– No jasne – odezwał się drugi głos. – Przecież McKinley nie wchodzi w takie draństwo.

– Jaki masz towar, McKinley?

Nagle drzwi się otworzyły. Patrzyły na nas trzy twarze.

Nietrudno było się domyślić, który to Pete. Był młody, miał wyraziste brwi i małe, blisko osadzone oczy.

Kawałek dalej stał tęgi, przyjaźnie wyglądający facet z rękoma na biodrach.

– Widzisz tę dziewczynę? – szepnął kapitan. – Ma siedemnaście lat. Jest w ciąży. USAMRIID chce ją zabrać na badania.

– To... to oznacza poważne kłopoty, McKinley. – Facet aż się zapowietrzył ze zgrozy.

– Mają ją zabrać o drugiej rano. Na własne oczy widziałem nakaz – ciągnął kapitan. – Przyleci po nią blackhawk. Ta dziewczyna miała zostać porwana.

– Widocznie mają swoje powody – syknął Pete. – Masz świadomość, że to oznacza sąd wojskowy?!

– Wiesz dobrze, co się stało z McMahonem i Tolliverem, nie? – odezwał się ten grubszy. – Zginęli w akcji. Akurat jakoś dwa dni po tym, jak ich zabrali do USAMRIID.

Położył rękę na ramieniu Pete'a.

– Musimy tylko przymknąć oko – ciągnął. – W papierach McKinley wyleciał o szesnastej. Ze sprawdzonym towarem. I po sprawie.

– Błagam – odezwała się Astrid. Głos miała cienki, przerażony. – Kapitan tylko pomoże nam przekroczyć granicę.

Facet patrzył na Astrid nieznośnie długą chwilę.

Potem zatrzasnął nam drzwi przed nosem.

– Jestem twoim dłużnikiem, Pete – rzucił McKinley.

– Zamknij się. W ogóle cię tu nie ma – usłyszeliśmy głos Pete'a i jego oddalające się kroki.

Lot trwał ponad trzy godziny.

Nic nie widzieliśmy przez żadne okno. Było mi zimno i trudno mi było oddychać.

Ale przekroczyliśmy granicę.

I cały czas nie mogłem przestać myśleć o tym, co powiedział kapitan. Naprawdę widział nakaz usunięcia Astrid z obozu?

Czy przyszli dziś po nią, gdy nas już nie było?

Czy umknęliśmy w ostatniej chwili?

Po niecałych czterech godzinach lądowaliśmy w bazie lotniczej Lewis-McChord w stanie Waszyngton.

– Będzie miał pan przez nas kłopoty? – spytała Astrid, gdy tylko zgasł silnik. Przedtem było niesamowicie głośno i mowy nie było o rozmowach.

– Nie wiem – mruknął.

– Czy to prawda, że widział pan te dokumenty? – chciałem wiedzieć.

– Dzieciaki, nie pora teraz na pytania. Musimy się skupić na wydostaniu was z helikoptera. Przyjdzie po was mój kumpel Roufa. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Wyciągnął portfel.

– Dajcie mu to dla jego załogi. – Wyciągnął pięć czy sześć dwudziestodolarowych banknotów.

– Dziękujemy – zaprotestował Niko. – Ale mamy własne pieniądze, damy mu z naszych.

– Pewni jesteście? – spytał McKinley.

– Tak – odpowiedzieliśmy zgodnie.

– Już dość pan dla nas zrobił – dodałem.

– Dobra, niech będzie. Teraz tu siedźcie i ani drgnijcie.

Zdjął słuchawki i wyszedł z kabiny.

– Niezła jazda, co? – mruknął Jake z uśmiechem. – Wierzyć mi się nie chce, że się nam udało! Uciekliśmy!

– Bucior mi chyba przymarzył do podłogi – stwierdził Niko.

Było w tym coś śmiesznego, w jego tonie czy jakoś tak, że aż zachichotałem.

Zakryłem usta dłonią.

– Dean! – syknęła Astrid.

Ale nie mogłem się opanować.

– Ale on – wyjęczałem – powiedział „bucior”!

Astrid też zachichotała, Jake prychnął i już śmialiśmy się wszyscy troje.

– Zamknijcie się! – warknął Niko, ale się uśmiechał.

Nagle otworzyły się drzwi.

Stał w nich pilot. W pełnym umundurowaniu. Niesamowicie wysoki i z tak idealnie przystrzyżonym jeżem, że wyglądał, jakby miał krótką miotłę zamiast głowy.

– Monument 14? – spytał z ciężkim, chyba nowoorleańskim akcentem.

Zamrugaliśmy zaskoczeni. W końcu odpowiedziałem:

– Tak, proszę pana.

– Załóżcie to. Tylko głowy możecie mieć odkryte – polecił, rzucając nam żołnierski worek, który złapał Niko. – Zapukajcie, jak już będziecie wyglądać jak ludzie.

Zamknął drzwi i – Boże jedyny – o mało znów nie wybuchnąłem śmiechem.

– Opanuj się, Dean – syknął znowu Niko.

Zrobiłem kilka głębszych wdechów, żeby stłumić głupawkę.

Niko otworzył worek. W środku były cztery paczuszki w folii termokurczliwej.

Rozerwaliśmy folię i zobaczyliśmy, że to jakieś supercienkie mundury. Składały się z czterech części – kombinezonu, maski, rękawiczek i pasa z okrągłymi pojemnikami.

Niko przyjrzał się jednemu z pojemniczków.

– To filtr powietrza! – zdumiał się.

Kombinezony były w ciemnobrązowo-szarą panterkę. I tak lekkie, jakby uszyto je z jedwabiu.

Maska była naprawdę dziwaczna. Trochę wyglądała jak to coś, co zakładają pszczelarze z takim wielkim, przezroczystym wizjerem i lekkim materiałem wokół głowy. Ale w środku do wizjera doczepiony był ustnik, a przy nim otwór, w który należało wcisnąć filtr.

Całość zwijała się w rodzaj tuby, a w kombinezonie było specjalne miejsce, gdzie można było ją zaczepić.

Przy każdym zestawie była mała kartka, a na niej obrazek żołnierza wkładającego mundur i potem buty na nogawki. Do tego był długi opis po japońsku, a po angielsku tylko trzy słowa: „Buty na wierzchu”.

Po drugiej stronie instrukcji widniał żołnierz zmieniający filtr w masce.

Dumałem właśnie nad geniuszem projektantów japońskich, gdy Astrid spytała:

– Po co nam to? Myślicie, że to z powodu wiatru? Myślicie, że są tu wściekle wiatry?

– Może to rodzaj przebrania – wysunął hipotezę Jake.

– Kazał nam się nie martwić o maski – przypomniałem. – Więc pewnie Jake ma rację.

– Ja nie mogę – zakpił Jake. – On powiedział, że mam rację.

Nie było łatwo ubrać się w tak małym pomieszczeniu z trzema innymi osobami.

Gdy już byliśmy gotowi i – dla porządku dodam – wyglądaliśmy dość śmiesznie, Niko zastukał w drzwi.

Znów otworzył je ten wielki pilot.

– Trochę wam to zajęło – mruknął. – No, wychodźcie.

Niko musiał zrobić niepewną minę, bo żołnierz dodał:

– Wyprostujcie się. Dumni i pewni siebie. Macie pełne prawo tu być.

Pomógł Nikowi wyjść z helikoptera. Potem mnie.

– W każdym razie chcemy, żeby wszystkim tak się zdawało. Nazywam się Edward François Roufa. Ale możecie mi mówić Roufa. Wszyscy tak do mnie mówią.

Jake sam wyskoczył z kabiny.

Kiedy Roufa ujął dłoń Astrid, uśmiechnął się do niej.

– Miło mi panią poznać – przywitał się szarmancko. – Hank opowiadał mi o tobie i pozostałych – dodał.

Przyjrzał się jej w mundurze.

– Tak myślałem, że będzie wystarczająco obszerny – mruknął.

Kombinezony ochronne były rzeczywiście dość luźne, a przez to, że materiał był tak cienki, wydymały się na wszystkie strony. Pasek z filtrami był niezbędny, żeby materiał jako tako przylegał do ciała – inaczej miałyby się na sobie zwiewną chmurkę.

Mimo późnej pory na lotnisku było pełno ludzi.

– Przepraszam pana, zastanawialiśmy się... nad tymi kombinezonami...
– odważyła się Astrid.

– Protokół, mała. Każdy musi mieć na sobie kombinezon. Cały czas. Marnotrawstwo pieniędzy, jeśliby mnie kto pytał o zdanie.

Nocne załogi obsługiwały helikoptery wokół nas. Wszyscy mieli na sobie takie same kombinezony, ale większość tylko przewiązane w pasie, a nie całkowicie włożone.

– Tędy – powiedział Roufa, zaganiając nas do metalowego hangaru.

Właśnie gdy wchodziliśmy, pod naszą maszynę podjechał dżip z platformą. Wyskoczyło z niego dwóch ludzi, otworzyli helikopter i zaczęli spisywać przewożone towary.

– Hm, mało brakowało – stwierdził beztrósco Roufa.

– Może nam pan powiedzieć, dokąd idziemy? – spytał Niko. – Dokąd nas pan zabiera?

– Do bazy lotniczej Lackland. Wierzcie lub nie, ale to dla was przesunąłem lot na tę zabójczą godzinę. Muszę zawieźć do Lackland leki i mnóstwo tych odlotowych kimon, które właśnie wdzialiście.

Szliśmy dalej. Mijali nas żołnierze i pracownicy lotniska. Jedna czy dwie osoby spojrzały na nas uważniej, ale większość była zbyt zajęta, żeby w ogóle nas zauważyć.

Ilu żołnierzy i lotników już musiało nadstawić dla nas karku? Roufa był czwarty. Nie, właściwie piąty, jeśli liczyć Pete'a.

Miałem tylko nadzieję, że umiemą zacierać ślady.

– Lackland w San Antonio? – spytał Jake.

– Tak – potwierdził Roufa.

– San Antonio to ze trzy godziny drogi od domu mojej mamy w La Porte! – ucieszył się Jake.

– To się dobrze składa. Posłuchaj mojej rady i dotrzyj tam jak najszybciej, a potem znajdź dobrego lekarza i nie ruszaj się z miejsca, dopóki się da – powiedział Roufa. – Wszystkich wzruszyła wasza historia. McKinley mówił mi, co zrobiliście dla jego dzieciaków. Nawet napisali o was w gazecie. Dobrze by było wywieźć was gdzieś, gdzie by było miło i bezpiecznie.

– Zamierzamy dotrzeć do Pensylwanii – powiedziała z naciskiem Astrid. Posłała mi uśmiech.

Mógłbym ją z miejsca ucałować.

Jake przewrócił oczami. Wkurzony.

Roufa uniósł rękę.

– Nie mówcie mi o swoich planach. Lepiej, żebym nic nie wiedział.

Przemknęliśmy przez wielki, naprawdę gigantyczny hangar i podeszliśmy do rzędu zaparkowanych samochodów.

Roufa wskoczył do dzipa i dał nam znak ręką, żebyśmy wsiadali jak najszybciej.

– Hej! – krzyknął jakiś głos. – Zaczekajcie!

Był to kapitan McKinley. Podbiegł do wozu.

– Roufaman! – zawołał. Uśmiechał się szeroko. Uściskali się serdecznie.

– Nie wiem, jak ci dziękować.

– Zrobiłbyś dla mnie to samo – odpowiedział poważnie Roufa.

Poklepał McKinleya po ramieniu i uścisnął mu dłoń.

Byli bliskimi przyjaciółmi. To było widać.

– Nieźle mnie tam przepytają. Muszę wracać – powiedział tata bliźniaków. – Ed zabierze was do Teksasu. Dalej musicie sobie radzić sami.

Wszyscy mu podziękowaliśmy, pożegnaliśmy się, ale mnie wciąż dręczyło to pytanie.

Już odchodził, już do nas machał, gdy nie wytrzymałem i lekko podnosząc głos, zawołałem za nim:

– Kapitanie McKinley! Naprawdę widział pan nakaz usunięcia Astrid? Rzeczywiście mieli ją zabrać?

Kapitan wrócił do nas. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Tak, Dean. Mieli ją zabrać dziś w nocy. Gdybyście zostali, uśpiliby ją i już by była w drodze do USAMRIID.

– Och – wyrwało się Astrid. – Oj.

– No. I... po prostu nie mogłem pozwolić, żeby Mała Mamusia przepadła – dodał.

Był bardzo wzruszony.

Poklepał dżipa.

– Do widzenia, dzieciaki. Powodzenia!

W sumie, licząc oszczędności Aleksa, pieniądze od pani Dominguez, pokerową wygraną Jake'a i pięć dolarów od Henry'ego, mieliśmy czterysta osiemnaście dolarów.

– Ile? Jak myślicie? – spytał Niko, przeliczając banknoty.

– Dwieście? – zaproponowałem niepewnie.

– Sto pięćdziesiąt – odezwał się Jake. – Wierzcie mi, to wystarczy.

Wyjechaliśmy ze strefy dużych samolotów i wjechaliśmy na asfalt na granicy bazy.

Zatrzymaliśmy się przed dużym, beżowym samolotem towarowym.

– To dla załogi – powiedział Niko, wyciągając mały zwitek.

– Co? A, to bardzo miło z waszej strony. Na pewno to docenią.

Załogi tu akurat nie brakowało.

Dwóch pracowników sprawdzało właśnie silnik. Tył samolotu był otwarty i widać było ładownię w środku i prowadzącą do niej rampę.

Inny facet wjechał właśnie dżipem do środka maszyny. Do dżipa przyłączone było wielkie, przedziwne ustrojstwo. Dwa wielkie zbiorniki połączone z kompresorem. Po bokach zwisało mnóstwo rur i kabli pozwijanych w pętle. Większość prowadziła do wielkiego komina na górze maszyny.

Co to było, do licha?

– Biegnijcie na dziób. Wejście jest z tej strony. Pomoże wam druga pilotka. Nazywa się Leslie Fox. Jest bardzo miła.

Roufa ruszył z naszymi pieniędzmi w stronę załogi.

Wskoczyliśmy z dziopa i podeszliśmy do samolotu.

Kapitan Fox, szczupła, ładna blondynka pod czterdziestkę, wprowadziła nas do środka. Wyglądała okej. Prawie słowem się do nas nie odezwała, tylko od razu zapędziła nas do ładowni.

W środku były jeszcze cztery dziopy. To był wielki samolot.

Po obu stronach przy ścianach znajdowały się składane siedzenia. Większość oczywiście złożona, ale Fox kilka dla nas rozłożyła.

Jedyne, co powiedziała, to kilka słów do Astrid:

– Będziesz potrzebowała specjalnego pasa – a potem wymieniła część pasa Astrid, tak że teraz nie przechodził przez jej brzuch. – Spróbuj się przespać – dodała.

Rozdała nam wyciszające słuchawki.

I nawet jakimś cudem udało nam się zdrzemnąć. Przynajmniej mnie w każdym razie.

– Jesteśmy na miejscu – ryknął Roufa, żeby przekrzyczeć warkot silnika. Trącił nas butem. – Zaraz lądujemy, śpiochy.

Ślina mi pociekła podczas snu. Wielka plama na ramieniu. Wytarłem się.

Oczywiście Jake musiał to zauważyć.

– Obrzydliwość – syknął.

Odpowiedziałem mu cicho kilkoma niezbyt miłymi słowami.

Lądowanie nie przebiegało zbyt gładko. Zupełnie nie przypominało to lotu samolotem pasażerskim.

Dżipy podskakiwały mimo umocowania, a te dziwne ustrojstwa huśtały się we wszystkie strony.

– Kiedy wylądujemy, macie po prostu wysiąść i pójść prosto w krzaki. Będziecie wiedzieć, co mam na myśli. Kierujcie się przed siebie, a wyjdziecie na ulicę tuż przy budynkach rządowych. Wtedy zdejmijcie kombinezony. Idźcie dalej, aż dojdziecie do miasteczka.

Obrócił się, żeby wrócić do kabiny.

– Panie... kapitanie Roufa! – wydarłem się.

Odwrócił się.

– Dziękujemy! Dziękujemy, że nas pan zabrał.

Pozostali też mu podziękowali. Skinął głową.

– Ale nie wyrzucajcie kombinezonów – dodał lekko sarkastycznym tonem. – Krążą plotki o wiatrach.

Fox otworzyła drzwi i zamiast zwykłych schodów spuściła składaną drabinę.

Niebo było jasnoszare, upstrzone cienkimi brzoskwiniowymi chmurami.

Samolot stał dość daleko na pasie, silniki wciąż huczały.

Zrozumiałem, że Roufa zamierza dokołować do bazy. Ale póki co chciał nas wypuścić, żebyśmy zniknęli w żywopłocie.

Wziąłem Astrid za rękę.

Niko szedł przodem, za nim Jake, a potem my.

Zeszliśmy po drabinie i przebiegliśmy przez asfalt, by skryć się w wysokich chaszczach na granicy lotniska.

Fox wciągnęła z powrotem drabinę. Pomachała nam na pożegnanie. Drzwi się zamknęły i samolot potoczył się powoli do bazy.

Pod naszymi stopami szeleściła trawa i trzaskały patyki. Gałęzie szarpały kombinezony. Zarośla miały złoty kolor, były zupełnie suche. Nawet większe krzaki.

Wokół nas trawa rozświetliła się w promieniach wschodzącego słońca i dotarło do mnie, że to dziwne uczucie w sercu to radość. Radość z tego, że jestem wolny i żyję na tym pięknym, dzikim świecie.

Szliśmy po trawie dobry kilometr.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała Astrid, ściskając mnie za rękę.
– Udało nam się.

Bąłem się, czy wytrzyma takie tempo marszu, ale jakoś dawała radę.

Uśmiechała się i tak szczęśliwej dawno jej nie widziałem.

– Kapitan Roufa był niezły, nie? – odezwał się Jake.

– Roufaman! – zawołał Niko, przypominając nam, jak się zwracał do niego tata bliźniaków.

Uśmiechał się.

A nie należał do osób skorych do uśmiechu. Choć w Greenwayu czasem umiał się wyluzować i powyglupiać z nami.

Raz na przykład wymyślił historię o swojej byłej. Że niby miał starszą dziewczynę, już na studiach.

Teraz nawet o niej nie wspominał.

Ale z Josie było inaczej. Było dla mnie jasne, że ją naprawdę kocha. Był jej bardzo oddany, co do tego nie miałem wątpliwości. Był gotów ryzykować życie, żeby ją uratować.

– Nie jesteście głodni? – spytała Astrid. – Bo ja umieram z głodu.

– Mała Mamusia musi coś zjeść! – ogłosił Jake. – Boże, myślicie, że tu działają knajpy? Co ja bym dał za naleśniki z bekonem!

– Mniam – rozmarzyła się Astrid.

– Ja bym wolał gofry z truskawkami, ze świeżymi truskawkami i prawdziwym syropem klonowym! – powiedział Niko.

– Wiecie, co ja bym zjadł? – dodałem. – Tortillę!

– Tortillę?! – oburzył się Jake. – Możesz zamówić, co tylko chcesz, a ty wybierasz jakąś tortillę?

– Domyślałem się, że po prostu nigdy nie jadłeś tortilli – odparowałem.

– Błagam, nie mówcie mi o tortillach – jęknęła Astrid. – Na samą myśl o jajkach robi mi się niedobrze.

Widzieliśmy już samochody śmigające po drodze.

– Możemy wreszcie zdjąć kombinezony? – zastanawiał się Jake.

– No – mruknął Niko. – Wręcz powinniście. Ale ja na wszelki wypadek w nim zostanę.

To mi dało do myślenia. Niko jednak wierzył, że gdzieś tam czai się wściekły wiatr, skoro postanowił nie zdejmować kombinezonu ochronnego. Trudno mu się było dziwić. Gdyby znów został wystawiony na działanie chemikaliów, po kilku sekundach cały pokryłby się bąblami. Gdyby to trwało kilka minut, byłoby po nim.

Przebraliśmy się szybko. Kombinezony były tak wielgachne, że bardzo łatwo się je wkładało i zdejmowało. Gdy tylko zsunąłem swój z ramion, sam opadł do moich stóp.

Nie zajęły też na szczęście dużo miejsca w plecaku. Zapakowałem swój i Astrid do mojego plecaka, maski, które były najmniej poręczne, kładąc na samym wierzchu. Były tuż pod ręką, gdybyśmy ich potrzebowali.

Dotarliśmy do drogi. Kawalek dalej była restauracja Denny's.

– Denny's! – ryknął Jake radośnie. – Dotarliśmy do prawdziwego świata!

Ruszyliśmy w stronę wesołego znaku i jasnego, niskiego budynku restauracji.

– Jezu – szepnąłem. – Jak tam będzie?

– Co masz na myśli? – spytała Astrid.

Wsunęła swoją dłoń w moją rękę. Wzruszyłem ramionami.

– No wiesz, Denny's po końcu świata.

ROZDZIAŁ 14

JOSIE

DZIEŃ 33

Rano pan Mario cały czas chce rozmawiać o gazecie.

– Tylko pomyśl, co będzie, jak ci dziennikarze się dowiedzą, że tu jesteś – mówi.

Po raz pierwszy, odkąd tu trafiliśmy, widzę w jego oczach błysk nadziei.

Przypominają mi się te długie dni, które spędziliśmy w jego schronie. Wciąż wtedy planował, opowiadał, zacierał ręce, taki szczęśliwy na samą myśl o tym, jaką minę zrobi Niko, gdy mnie zobaczy. Albo jak dobrze będzie odnaleźć moich rodziców.

Czasami miałam wrażenie, że żyje tylko marzeniami o mojej przyszłości.

Teraz znów się zapala. Postanowił jakoś zwrócić na mnie uwagę dziennikarzy.

– Musimy ich tylko tu zwabić, a wtedy ty zaczniesz mówić. Powiesz im: „Jestem Josie Miller, z artykułu *Monument 14!*” – najgłośniejszym, jak potrafisz. A gdy tylko się o tym dowiedzą, zaraz cię stąd wyciągną. Zrobią z tego wydanie specjalne albo coś. Potęga prasy jest niezrównana! Przecież oni myślą, że ty nie żyjesz! Gazety uwielbiają takie historie.

Dzieciaki słuchają. Freddy skacze na łóżku, w którym śpi z Aidanem. Lori plecie warkoczyki na głowie Heather.

Czuję się tak, jakby mnie przejechała ciężarówka. Wszystko mnie boli. Kolana mam obdarte. Przylepiają mi się krwią do dzinsów. Kłykcie wyglądają okropnie. Już zaczęły ropicć na brzegach.

– A mną się nie przejmuj – ciągnie pan Mario. – Postaram się odwracać uwagę Vengera, póki nie pojawi się jakiś dziennikarz.

– Nie da pan rady – mówię.

– A niech mnie! Jasne, że dam! – upiera się. – Może nawet udałoby się nam coś wykombinować razem z dziećmiakami.

– Tak, tak – zgadzają się wszyscy natychmiast.

– Może upadnę i popchnę kogoś, i zacznę wrzeszczeć: „Jestem ranny! Pomocy!”
– wymyśla Aidan.

– Nie, nie! Mam lepszy pomysł! – wyrywa się Freddy. – Czy ktoś umie wymiotować na zawołanie?

– Zamknijcie się! – krzyczę. – Nikt nie będzie mi w niczym pomagał!

Pan Mario unosi ręce, żeby mnie uspokoić. Jest przygotowany na mój opór.

– To nie chodzi o to, że nie chcę waszej pomocy albo że jestem twardzielką – mówię, nim zdoła cokolwiek wtrącić. – Posłuchajcie, wczoraj wieczorem Venger mi groził.

Wystarczy, że wypowiadam to nazwisko, a żołądek ściska mi się w panice.

– Powiedział, że jeśli będę się wychylać, wyśle mnie na jakieś medyczne eksperymenty. Pojęcia nie mam, czemu mnie tak nienawidzi, ale takie są fakty.

Pan Mario na mnie patrzy. Usta zaciska ponuro.

– A jeśli mi pomożecie, zrobi z wami to samo. Was też może wysłać. Nie – ciągnę. – Będziemy starać się nie wychylać. Tak jak powiedział pan na początku: „Spuszczaj wzrok, udawaj głuchych”. Musimy być bardzo ostrożni. W żaden sposób nie prowokować Vengera. Jakoś nam się uda to razem przetrwać. A jeśli, tylko jeśli, uda mi się bezpiecznie z kimś porozmawiać, to tak zrobię. Dobra?

Patrzę na pana Maria.

Przygląda mi się, próbuje mnie rozgryźć.

Udaję zainteresowanie grupą. Udaję, że chcę chronić dzieci. Tak, udaję. Bo mowy nie ma, żebym pozwoliła panu Mariowi dać się zabić, gdy będzie próbował

porozmawiać w mojej sprawie z dziennikarzami.

– Wiecie co? – mówi pan Mario, drapiąc się po głowie. – Może najlepiej będzie, jak pogadam z którąś z pań ze stołówki. Lubią mnie.

– Może by im się udało wynieść list od nas! – zapala się Lori.

– Tak! – drze się Freddy.

Niech mu będzie, niech sobie planuje pogaduszki z kucharkami.

Może to zadziała.

W drodze na śniadanie musimy przejść przez korytarz mężczyzn i o mało nie zawracam.

Mężczyzn już nie ma, ale instynktownie panikuję.

Lori bierze mnie za rękę.

Nie chcę trzymać jej zimnej jak ryba łapy, ale trzymam.

Widzimy też Vengera, już na podwórzu. Rozmawia ze strażnikami.

Głowę trzymam spuszczoną nisko. Żadnego kontaktu wzrokowego.

Niech myśli, że spotulniałam.

Tak będzie lepiej. Lori ściska moją dłoń.

Staram się iść tak, jakbym nie rozpadała się w stawach.

Gdy wchodzimy do Plazy 900, przy moim boku pojawia się Brett.

Babcia mówiła o takich dzieciakach „astenicy”.

W każdym razie on jest jakiś dziwny.

I te małe, szczurze wąsiki na pewno nie poprawiają jego wyglądu.

– Hej – mówi.

– Hej – zmuszam się do odpowiedzi.

– Możemy chwilę porozmawiać?

Pan Mario obraca się natychmiast w moją stronę. Patrzy pytająco.

Wzruszam ramionami.

– Zaraz was dogonię – zapewniam.

Mój strażnik już czegoś chce? Carlo wysłał go z żadaniami?

Brett prowadzi mnie na stronę, bliżej łazienek, gdzie da się jako tako rozmawiać.

– Naprawdę wiesz, jak o siebie zadbać – mówi. Jabłko Adama mu skacze, kiedy przełyka ślinę. Czy on się denerwuje?

– Wczoraj wieczorem myślałem, że już po tobie.

Wzruszam ramionami.

– Czego chcesz? – pytam. Robi mi się sucho w ustach.

– Słuchaj, wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale powinnaś być ze mną. No wiesz, być moją dziewczyną.

Muszę mieć zdumioną minę, bo nagle strzela buraka.

– Mogę cię chronić. Ja i Unitarianie. To nie jest głupi pomysł.

– Nie, nie, nie w tym rzecz – bąkam, mój mózg rozpaczliwie próbuje ogarnąć tę absurdalną sytuację.

Absurdalne jest to, że ten dzieciak chyba mówi szczerze. Gładzi się po swoich żalonych wąsikach.

– Tylko, tylko... czy ty mi się w ogóle przyjrzałeś? – pytam. – Jestem chodzącym trupem.

Uśmiecha się.

– Moim zdaniem wyglądasz całkiem nieźle.

Kładzie mi rękę na ramieniu i przyciąga mnie do siebie.

Odruchowo go odpycham. Wbijam mu łokieć w żebra. Serce wali mi jak szalone.

– Nie bądź taka – mówi.

– Przepraszam – mamroczę. – Tylko... ja nie...

I wtedy słyszę, że do stołówki wchodzi inni Unitarianie.

– Uważaj, Brett. Ona gryzie. – Carlo rechocze.

– Zeżre cię na obiad, chłopie – kpi inny.

Brett robi się czerwony.

Czas zwalnia i próbuję mu powiedzieć wzrokiem: Przepraszam, zaczekaj. Oczywiście, że nie mogę być jego „dziewczyną”. Ale może... możemy być sojusznikami? Przyjaciółmi? Czy to szalone?

Ale światło w jego oczach już zgasło. Są teraz twarde i nieczułe jak zwykle.

– Twoja strata, Króliczku – syczy.

Opieram się bez sił o ścianę, a on dołącza do swojej bandy.

ROZDZIAŁ 15

DEAN

DZIEŃ 33

W przedsiönku stała jedna z tych czarnych zmywalnych tablic, po których można pisać neonowymi markerami.

Na niej grubaśnymi literami było napisane:

Witamy w Denny's!

Nie mamy warzyw ani owoców, poza tymi z puszki!

Nie mamy kawy bezkofeinowej :(Nie mamy coli! Ale mamy mleko!

I zrobimy, co w naszej mocy, żeby to był wspaniały dzień!

– Hm. Lubią tu wykrzykniki – stwierdziła z przekąsem Astrid.

Czułem w jej głosie niepokój.

– Nikt się nie będzie nas czepiał – szepnąłem. – Nie wyglądamy podejrzanie.

– Trochę wcześniej na wypad do knajpy, nie myślisz? – odparła.

– Przecież całą noc imprezowaliśmy – powiedział Jake, obejmując ją w pasie.

– Tak można to pewnie ująć – przyznała ze śmiechem.

Przewróciłem oczami i pchnąłem drugie drzwi.

W środku było pełno ludzi. Można było wręcz niemal, niemal zapomnieć, że ten kraj właśnie przechodzi poważny kryzys. Kelnerki

w uniformach roznosiły dzbanki z kawą (nie bezkofeinową) między zapchanymi stolikami.

Ale było kilka uderzających różnic.

Część ściany przy toaletach zapełniały szczelnie skrawki papieru przylepione taśmą albo przypięte pineskami.

Nad tym ktoś przywiesił trzy kartki wydrukowane z komputera, które razem składały się na napis:

PODWOŻENIE – OFERTY

Nad kasą widniał jeszcze inny wielki napis:

UWAGA: Ceny jak w wydrukowanym menu. Wszelkie rozbieżności prosimy zgłaszać na Infolinię ds. Zawyżania Cen.

I podany był numer 888.

– Dzień dobry – przywitała nas farbowana blondynka z bardzo dużymi odrostami. – Które z was dziś płaci?

Musieliśmy zrobić zdumione miny, bo kelnerka się roześmiała.

– Bez urazy, dzieciaki. Musimy po prostu zobaczyć, nim was posadzimy, że w ogóle macie gotówkę.

– Aha, jasne – wymamrotał Jake i wyciągnął trochę pieniędzy z kieszeni.

– Kawa dla wszystkich?

Astrid odparła ponuro, że chce mleko, ale my poprosiliśmy o kawę.

Tak naprawdę wolałbym kakao, ale wiedziałem, że Jake zaraz by palnął jakiś głupi dowcip.

Kiedy kelnerka wróciła, przedstawiła nam też krótkie menu. Powiedziała, że mamy do wyboru jajka, tosty francuskie i zwykłe, naleśniki albo owsiankę. To by było na tyle, jeśli chodzi o moją tortillę i gofry Nika.

Niko i ja zamówiliśmy tosty i jajka. Jake i Astrid zdecydowali się na tosty francuskie.

Kawa była wodnista i gorzka, ale gdy wsypałem do niej mnóstwo cukru i dolałem mleka, to dało się ją wypić.

Jake spojrzał na moją kawę i oczywiście prychnął z pogardą.

– Mój dziadek pił czarną, mój tata pije czarną i ja piję czarną.

Strach pomyśleć, co by powiedział, gdybym zamówił kakao.

– Czy mi się zdaje, czy teksański akcent Jake’a stał się tysiąc razy mocniejszy, gdy tylko wylądowaliśmy? – spytałem Nika i Astrid.

– Bardzo was proszę, zamknijcie się – syknęła.

– Przepraszam – mruknąłem i położyłem jej rękę na karku.

Odrzącała ją i przycisnęła sobie dłoń do brzucha.

– Dziecko właśnie robi fikołki – powiedziała.

– Ta mała uwielbia Denny’s, zupełnie jak jej tata – odparł na to Jake.

Czy już mówiłem, że Jake uważa, że to dziewczynka? A ja, że chłopiec. Żartuję oczywiście.

Zacisnąłem zęby i odwróciłem wzrok. Nie dam mu się sprowokować.

– Rzucę okiem na informacje o podwożeniu – powiedział Niko.

Wstał od stolika.

Astrid odchyliła się na kanapie i zamknęła oczy.

Siedzieliśmy z Jakiem w milczeniu i próbowaliśmy na siebie nie patrzeć.

Przed wszystkimi tymi katastrofami nieraz czułem się zupełnie wyłączony z towarzystwa. Patrzyłem wtedy na grupki najpopularniejszych dzieciaków z liceum, które siedziały razem na takich samych kanapach jak

ta, śmiejąc się, żartując z siebie nawzajem. Zawsze mi się zdawało, że tak dobrze się znają.

Teraz siedziałem przy stoliku z tymi samymi dzieciakami, które z taką zawiścią obserwowałem kiedyś, i znałem ich wszystkich tak dobrze, jak tylko to możliwe, ale wszystko było inaczej.

Na chwilę, bardzo krótką chwilę, dopadł mnie żal z powodu tej niesprawiedliwości. Powinniśmy siedzieć tu po całej nocy prawdziwego imprezowania. Jake powinien rzucić jakiś dowcip, na który ja powinienem mu odpowiedzieć bystro i zabawnie. Wszyscy by wybuchnęli śmiechem, a Astrid położyłaby mi głowę na ramieniu.

Ale świat, w którym to by się mogło stać, już nie istniał. Został wypalony, zmieciony z powierzchni ziemi.

Przyszła kelnerka z jedzeniem, a Niko wrócił do stolika.

– Kierowca ciężarówki ogłasza się, że jedzie do Kansas City – powiedział z przejęciem. – Stamtąd byłoby już blisko do Mizzou.

Zaczął pałaszować jajka. Chyba zupełnie mu nie przeszkadzało, że do tosta nie ma ani masła, ani dżemu.

Astrid i Jake mieli jeden mały pojemniczek z syropem klonowym do swoich tostów francuskich.

To nie było takie ważne. Jedliśmy i byliśmy szczęśliwi, że mamy co jeść.

– Chce za to gotówkę albo coś nas wymianę – ciągnął Niko. – To blisko, już naprawdę blisko.

– Tak w ogóle, chłopie, to jak planujesz wyciągnąć Josie z tego kicia? – spytał Jake.

– Pójdę do kierownika więzienia, pokażę mu list do redakcji i zobaczę, czy jest jakiś łatwy sposób, żeby ją stamtąd wydostać – odparł. – Ale jeśli mi jej nie wydadzą, to rozejrzę się wokół, zobaczę, czy da się jakoś włamać.

Jake oparł się wygodnie i słuchał. Na jego twarzy nie widać było specjalnego entuzjazmu, ale Niko tego nie zauważył.

– Zakładam, że muszą tam przecież mieć jakieś dostawy. Że przywożą im jedzenie i tak dalej. Tak jak w Quilchenie. Sami pomyślcie, nikomu przecież nie przyjdzie do głowy, że ktoś chce się włamać do więzienia, nie?

– A co będzie, jeśli utkniesz tam razem z nią? – spytała Astrid. – Jeśli nie dasz rady się stamtąd wydostać?

Niko upił łyk kawy.

– Wtedy będę z nią i zadbam o jej bezpieczeństwo, dopóki nas nie wypuszczą – powiedział.

Otarł usta serwetką.

– Wy dokończcie, a ja spróbuję znaleźć tego kierowcę.

– Zaczekaj – powstrzymał go Jake. – Chwila. Musimy przecież omówić ten plan.

Niko popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Wiem, że pewne aspekty są może niedopracowane, ale przede wszystkim nie oczekuję, że któreś z was pojedzie ze mną do Mizzou. Tego nie ma w żadnej wersji mojego planu.

– No, bez przesady – zdenerwowałem się. – To znaczy, jasne, że Astrid nie może jechać, ale ja mógłbym ci pomóc...

– Moim zdaniem w ogóle nie powinniśmy z tobą jechać – przerwał mi Jake.

Niko popatrzył na niego zaskoczony. Tak jak my wszyscy.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Posłuchajcie, jesteśmy mniej niż dwie godziny drogi od domu mojej mamy. Może i nie mieszka w pałacu, ale jest tam całkiem przyjemnie. – Odwrócił się do Astrid. – I bezpiecznie. Wiem, że zupełnie zwariuje ze szczęścia, jak się dowie, że ma wnuczkę. Na pewno będzie chciała,

żebyśmy zamieszkali razem z nią. Jej nowy mąż jest w porządku. Znajdą ci dobrego lekarza. Uważam, że powinna się tobą zająć rodzina.

Jake Simonsen. Zawsze kombinujący. Zawsze próbujący wykorzystać sytuację.

– No, ja na pewno będę tam mile widziany – zakpiłem. – Oto syn, którego nie widziałaś od wieków. Oto matka jego dziecka. A oto jej chłopak!

– Możesz pojechać z Nikiem, a potem wrócić po Astrid, jak już będzie bezpiecznie – odparł Jake.

– Kiedy do ciebie wreszcie dotrze, że Astrid i ja jesteśmy parą? – syknąłem.

– To raczej do ciebie coś nie dociera. Ja już nigdy nie będę miał dzieci. Tego, co zrobiły mi te chemikalia, nie da się odwrócić. To dziecko jest moje – wycedził Jake. Jego niebieskie oczy były bardzo poważne. Usta zacisnęła z wściekłości.

– To także moje dziecko, o ile dobrze pamiętam – odezwała się Astrid.

– Chcę tylko powiedzieć, że pragnę tego, co najlepsze, dla ciebie i dla małej, a tymczasem Dean chce cię zabrać na jakąś misję ratowniczą, która nie ma żadnych szans powodzenia.

Kelnerka znów naląła nam kawy.

– Bardzo mi przykro, Jake, że masz grupę B i że nigdy nie będziesz mógł mieć dzieci. Serio. Ale to jeszcze nie znaczy, że będziesz dobrym ojcem. To, że to była twoja jedyna szansa, nie oznacza jeszcze, że się nadajesz do tej roboty.

– Pieprz się, Grieder! – warknął Jake.

– Chłopaki, proszę was! – syknęła Astrid.

– Musimy wyjść – powiedział Niko. – Ludzie się na nas gapią.

Krew dudniła mi w uszach. Może to trzeba rozwiązać raz na zawsze.

– Gdybyś naprawdę ją kochał, wróciłbyś sam do mamy, a mi pozwolił bezpiecznie ją zawieźć na farmę!

– Miałbym ci zostawić Astrid? Po moim trupie! – ryknął.

– Wyjąłeś mi to z ust – odparowałem.

– CHŁOPAKI! Nie macie prawa się tak o mnie kłócić! Nie wy tu decydujecie, co zrobię i dokąd pójdę! To, że jestem w ciąży, nie znaczy, że jestem czyjąś własnością!

Mocno opalona kobieta w zbyt intensywnym makijażu uniosła kubek z kawą.

– Tak trzymać, ślicznotko!

– Jadę z Nikiem – syknęła Astrid. – A wy róbcie, co chcecie.

Poszedłem do łazienki i ochlapałem sobie twarz zimną wodą.

Spojrzałem na siebie w lustrze.

Wyglądałem jakoś doroslejš. Byłem wyższy, większy. Od gradobicia minęły mniej niż dwa miesiące, ale moje ciało i twarz bardzo się zmieniły.

– Czujesz się jakoś inaczej? – spytałem kiedyś Astrid na polu golfowym.

– Niby w jakim sensie? – odpowiedziała.

– Jakbyś była silniejsza i w ogóle?

– Bo ja wiem – mruknęła. – Moje ciało jest teraz takie dziwne, że trudno mi się w tym połapać.

Nie wiedziałem, jak opisać te zmiany w ciele. Moje mięśnie się rozrosły już podczas naszego pobytu w Greenwayu, jakbym wcinał jakiś nawóz czy co. Kark, ramiona, klata – wszystko, co przedtem było chude, patykowate, teraz napakowane było prawdziwymi mięśniami.

Nie byłem pewien, czy to skutek chemikaliów czy raczej demisterydów, na które namówił mnie Jake po tym, jak o mało mi nie zmasakrował gęby.

Ale sterydy brałem przecież bardzo krótko.

I było jeszcze coś. Mój wzrok.

Uleczony. Zupełnie. Kiedy pojawiłem się w Greenwayu, musiałem nosić okulary, byłem krótkowidzem. Miałem tak słaby wzrok, że rodzice już odkładali pieniądze, żebym na osiemnaste urodziny mógł sobie zrobić operację. Ale odkąd wpadłem w szal 0, widziałem świetnie. Mój wzrok był doskonały.

To musiało mieć jakiś związek z działaniem chemikaliów. Ciekawe, czy to właśnie takie zmiany interesowały naukowców z armii.

Zastanawiałem się też, co z dzieckiem Astrid. Pierwszy lekarz w Quilchenie od razu powiedział, że jest zbyt rozwinięte jak na cztery i pół miesiąca. Potem Kiyoko znów powiedziała, że jest za duże, a było to ledwie dwa tygodnie później. Czy to możliwe, że dziecko było silniejsze i większe w wyniku kontaktu Astrid z chemikaliami?

Pochyliłem się do lustra. Na nosie miałem nierówność po złamaniu przez Jake'a. Wyglądałem na twardziela. Może nawet przystojniaka. Kiedy spoglądałem w lustro, podświadomie oczekiwałem wychudzonego szesnastolatka o dziecinnej twarzy, którego dotąd tam widziałem. Moje nowe odbicie pokazywało znacznie silniejszą osobę. A jednak trudno było patrzeć na tego człowieka dłuższą chwilę.

Wyglądałem jak krętacz. Nawet we własnych oczach.

Może tak to jest, gdy się kogoś zabiło. Może już nie da się znieść swojego odbicia w lustrze.

Wszedł Jake.

– Niko znalazł tę ciężarówkę – powiedział. – Więc streszczaj się z tym makijażem.

Nie spodobał mi się kierowca. Przedstawił się jako Rocco Caputto. To było jego prawdziwe nazwisko. Trudno mi było sobie wyobrazić, że ktoś mógłby go lubić. Był średniego wzrostu, dość chudy, z upiornie luźnymi stawami. Udawał twardziela, co było dość żałosne, bo wyglądał równie groźnie jak Batiste. Miał grube wąsy i tak gangsterski akcent, że wypadło to komicznie.

– Miałbym was zawieźć do Kansas City? Sto dolców od głowy. Płatne z góry. Jemy, kiedy ja chcę. Zatrzymujemy się, kiedy ja chcę. A jeśli strzeli wam coś głupiego do głowy, mój mały pomocnik zaraz ukróci wszelkie fanaberie.

Odsunął kurtkę, żeby nam pokazać spory pistolet w kaburze pod pachą.

Broń była niemal za duża na takiego małego człowieczka.

– Nie będziemy sprawiać żadnych kłopotów – zapewnił go uspokajającym tonem Niko.

– Ale też nie mamy czterystu dolarów – dodał Jake.

– Nie? To wasza strata.

– Możemy dać ci sto...

Ale Jake wszedł Nikowi w słowo:

– Dwadzieścia pięć. Możemy dać ci sto dwadzieścia pięć za całą czwórkę.

Musiał widać uznać, że Niko nie nadaje się na negocjatora. I pewnie miał rację. Niko był z pewnością zbyt uczciwy na takiego typu jak Rocco.

– Sto dwadzieścia pięć za czworo? – jęknął kierowca. – Zwariowaliście?

– Nie ma problemu – odparł Jake. – Pojedziemy z kimś innym. Zresztą Kansas City i tak nie jest znowu aż tak blisko naszego celu.

Odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę restauracji. Podreptaliśmy za nim, jak wilki za przywódcą stada.

– Och, na miłość boską – zawołał za nami Rocco Caputto. – A macie jakieś punkty na paliwo?

– Pewnie tak – zdecydował się na blef Jake. – Nic w tym tygodniu nie zużyłem. A wy? – Odwrócił się w naszą stronę, a my pokręciliśmy głowami.

– Sto dwadzieścia pięć dolców i wszystkie wasze punkty na paliwo. Ruszajmy – powiedział Rocco.

– Zmieścimy się wszyscy? – spytałem. Nie wiem, ale w filmach to zawsze wyglądało jakoś tak, że jest miejsce dla kierowcy i może ze dwa obok. Nie miałem chęci jechać cztery godziny na pace z tym, co on tam przewoził.

– Czy się zmieścicie? – Wybuchnął śmiechem Rocco. – Znaczący nigdy nie jechaliście freightlinerem. To century class! Mam tu nawet łóżko piętrowe! Czy się zmieścimy? Też coś.

Miał rację. W kabinie był fotel dla kierowcy i dla pasażera, a za nią znajdowała się mała sypialnia z łóżkiem i drugim, składanym, nad nim.

– Zobaczcie – powiedział, pokazując nam to wszystko. – Tu trzymam ubrania, a tu mam worki, żeby wyłożyć kosz. Mam lodówkę, w której jest jedzenie, i budzik, i nawet małe biuro tutaj. Tylko żebyście mi nie szperali po szufladach. Szczególnie ty, paniusiu.

– Na pewno nie będę ci zaglądała do szuflad – zapewniła Astrid.

Zduśłem śmiech.

Puściła do mnie oko.

Jedno trzeba było mu przyznać. Miał tu bardzo czysto. Wszystko było uporządkowane i zadbane.

– I żebyście mi nie narobili bałaganu. Za sto dwadzieścia pięć doliców macie mi zostawić to miejsce dokładnie w takim stanie, w jakim żeście je zastali.

Usiadł za kierownicą i zaczął się przygotowywać do drogi.

– Rozłóżmy górne łóżko, żebyś mogła odpocząć, Astrid – zaproponował Niko.

To był dobry pomysł. Wyglądała na zmęczoną. Niebieskie cienie pod oczami były widoczne jeszcze bardziej niż zwykle.

– Okej – zgodziła się.

– Jeden z was może usiąść tu ze mną – powiedział Rocco. – A dwaj pozostali na dolnym łóżku.

Zgłosiłem się na ochotnika do przodu, bo za nic nie chciałem siedzieć na łóżku z Jakiem.

Ciężarówka sunęła autostradą.

Siedziałem wygodnie w fotelu pasażera. Naprawdę był miękki, przytulny. Aż się bałem, że zasnę.

– Jazda do Kansas City zajmuje około jedenastu godzin – powiedział Rocco. – Zatrzymuję się na tankowanie i śmigam do Chicago.

– Co przewozisz? – zagadnąłem, próbując jakoś podtrzymać rozmowę.

– Puszki. Z warzywami i takimi tam – odparł. – Od czasu wielkiej fali żarcie jedzie na wschód. Na pewno nie na zachód, to jasne. Wożę żarcie, pocztę, ludzi, wszystko.

– Jak tam teraz jest?

Przez chwilę milczał, potem powiedział:

– Bajzel. Jeden wielki bajzel, Sam.

Podaliśmy mu zmyślone imiona. Niko to wymyślił. Ja byłem Sam. Astrid – Anne. Niko nadał sobie zupełnie niepasujące do niego imię Phillip, a Jake był Buddym (to akurat pasowało idealnie).

Czy Niko w głębi duszy chciał być Phillipem? Czy chciałby zamienić poważnego, zawsze konkretnego siebie na kogoś, kto nosi spodnie w szkocką kratkę, jada pasztety i – nie wiem – grywa w badmintona?

Odkąd poznałem Nika, opowiedział może ze cztery dowcipy. Żaden nie był śmieszny. Nie był Phillipem, choćby nie wiem co.

– Mama mi umarła – zwierzył się Rocco. – Zginęła w powodzi. Choć już miała pod osiemdziesiątkę, to nie wiem...

To dziwne wyznanie wzbudziło we mnie współczucie dla naszego kierowcy.

– Przykro mi – powiedziałem. Może w sumie niesłusznie go tak negatywnie oceniłem.

Oparł się wygodnie w fotelu i spojrzał w boczne lusterko.

Jechaliśmy sto dwadzieścia na godzinę. Co najmniej.

– Wożę dużo ludzi. Wielu chce się wydostać ze Wschodniego Wybrzeża, jechać na zachód. Dokądkolwiek, byle był tam prąd i bieżąca woda. Ludzie już nawet przestali szukać swoich. Porzucają domy. I tak połowa z nich pogniła albo ma piwnice zalane ściekami. Wszyscy chcą już tylko się stąd wydostać. Gdzie spluniesz, uchodźcy i wszyscy chcą być gdzie indziej, niż są.

Dotąd nie zastanawiałem się nad tym, jak wygląda życie w Pensylwanii. Może wujek Nika w ogóle nie będzie chciał nas przyjąć. Może ta stara farma jest już zajęta przez uchodźców.

Moje myśli przerwał Rocco.

– Wiesz, czym mi czasem płacą?

– Czym? – spytałem.

– Pipkami! – pochwalił się.

Minęła dobra sekunda, nim zrozumiałem, co ma na myśli.

– No. Dziewczyn i kobiet ma się tu w bród. Każda chce dokądś tam dojechać, więc co mają robić?

Nie. Nie dało się lubić Rocca Caputta.

Mniej więcej po godzinie zamieniłem się z Jakiem.

Niko opierał się o ścianę kabiny. Prawie już spał. Astrid drzemała na górnym łóżku plecami do nas.

– Może położymy się jakoś na waleta? – zaproponowałem Nikowi. – Może uda nam się choć chwilę zdrzemnąć.

Trochę głupio było tak leżeć z Nikiem w ciasnym łóżku. I wzdrygałem się na myśl, że w ogóle leżę w łóżku, w którym ten kierowca wykorzystywał te biedne kobiety, ale byłem zbyt zmęczony, żeby się nie położyć.

Z przodu Jake i Rocco świetnie się dogadywali, co w ogóle mnie nie dziwiło.

W północy usłyszałem jeszcze, jak Jake pyta Rocca o wściekle wiatry.

– Ja ci powiem, o co w tym chodzi. O czystki. Przychodzi FEMA czy jacyś inni spryciarze i czyszczą wszystko po kolei z tego syfu, a wszyscy zaraz wpadają w panikę. Byłem w każdym zakątku tego rejonu i nie widziałem żadnego wiatru – odparł Rocco. – Mówię ci, te obozy dla uchodźców to świetne pieniądze. Pewna kasa dla tych, co nimi zarządzają. To przecież oni nie chcą, żeby ludzie tak po prostu poszli do domów, nie? No sam pomyśl.

– No tak, ale armia? Znaczy, no wiesz, wszyscy noszą te kombinezony ochronne. Nawet zdobyliśmy taki dla naszego przyjaciela... – ułamek

sekundy na przypomnienie sobie zmyślonego imienia Nika – ...Phillipa. Sam widziałeś.

– Naciągnęli was, chłopie – zarechotał kierowca. – To tylko taka ściema. Zresztą tylko na nie popatrz. Są cienkie jak papier. Gównie warte.

– Myślisz? – spytał Jake.

W to akurat nie chciało mi się wierzyć. Dlaczego armia miałaby się decydować na tak duży wydatek?

– Może rzeczywiście daliśmy się naciągnąć – mruknął.

– Każdemu się może zdarzyć – pocieszył go Rocco.

– Hej, a tak w ogóle to czemu to się nazywa Kansas City, jak to jest Missouri? – spytał Jake.

– Dobre pytanie – odparł Rocco. – W końcu to Środkowy Zachód. Sami debile.

Tak, świetnie się dogadywali.

ROZDZIAŁ 16

JOSIE

DZIEŃ 33

Jesteśmy w naszym pokoju. Dzieciaki grają w Rock-chuck, grę, którą wymyślił Freddy. Potrzeba do niej tylko kilku małych kamieni, które dzieciaki zabierają chyłkiem z podwórza.

Rock-chuck polega na tym, żeby ustawić kilka przeszkód na podłodze i potem rzucać w nie kamieniami, tak żeby je poprzewracać. Taka żalosna wersja Angry Birds – gry, w którą grałam, gdy byłam w ich wieku.

Pan Mario gra z nimi. Mnie też prosili, ale odmówiłam.

Pan Mario chce, żebym poszła do kliniki.

Głupie kłykcie rzeczywiście nie wyglądają dobrze. Opuchnięte, czerwone. Pod ranami zbiera się biała ropa.

– Ale obiecuje pan, że będzie tu cały czas? – pytam.

– Teraz moja kolej! – krzyczy do dzieciaków. – No jasne, że tu będę. Niby gdzie miałbym się podziać? Przecież nie polecę na Marsa.

Na co dzieci wybuchają śmiechem.

Przewracam oczami.

– Wie pan, o czym mówię.

Nie chcę, żeby wykorzystał okazję i pod moją nieobecność podreptał pod płot szukać dziennikarzy. Już i tak zdradził tajemnicę mojej tożsamości jednej ze swoich pulchnych lubych z Plazy 900. Pozostaje nam czekać na skutki.

Pan Mario wygania mnie z pokoju, więc idę do kliniki.

Przychodnia mieści się w budynku Rollins, w północnej części obozu dla grupy O.

Żeby się dostać do lekarza, trzeba całym godzinami czekać w okropnej kolejce.

Lekarka kazała mi przyjść, ale to jeszcze nie znaczy, że mogę ominąć kolejkę.

Klinika składa się z czterech pokoi – obmyślonych na potrzeby przeziębień, grypy i alkoholowych zatruc studentów mieszkających w Cnotach.

Teraz nawiedzają ją niedożywione ofiary zagłady cierpiące na najgorsze choroby i urazy.

Z tego, co rozumiem, kilku więźniów ma doświadczenie medyczne – to zera, które na coś się mogą przydać. Pracują na zmianę z kilkoma lekarzami i pielęgniarkami, którzy zgłosili się na ochotnika do tej pracy i są opłacani przez stan.

Staję w ogonku za kobietą o pomarszczonej twarzy i jasnych włosach. Ma pasemka, których zrobienie zajmuje u fryzjera całe godziny.

Ale teraz ma oczywiście pięciocentymetrowe odrosty, włosy są tłuste i związane czymś, co mi wygląda na kawałek mopa.

Obraca się i patrzy na mnie przez ramię.

Wbijam wzrok w poorane kłykcie, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego.

– Byłaś tam – mówi. – Od razu to wiem.

Cuchnie jej z ust.

Mnie pewnie też.

– Ja też byłam. – Próbuje się uśmiechnąć. – Mieszkaliśmy w Castle Rock. Kiedy uderzyła fala chemikaliów, mój mąż po prostu się rozpułnął w kałuży krwi. Mieliśmy własną firmę. Sprzedawaliśmy ubezpieczenia. Wszelkiego rodzaju. Zdrowotne, samochodowe, domu, na życie.

Patrzę w sufit.

– Myślę o tych wszystkich ubezpieczonych biedakach. Pewnie dzwonią teraz do nas dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale co ja mogę zrobić? Dave się

rozpłynął. Zostały po nim tylko kości, mięso, krew. A mi całkiem odbiło. Naprawdę, zupełnie mi odbiło.

Wolałabym, żeby zamilkła.

Teraz już nawet na mnie nie patrzy. Zupełnie jakby mówiła do siebie.

Wącham kłykcie. Śmierdzą jakoś tak kwaskowato.

– Był ubezpieczony na życie. Pięćset tysięcy dolarów. Ale czy je kiedyś dostanę? Nie mam przecież świadectwa zgonu. Niby jak to dostać? Została tylko kałuża krwi. Mówię ci. Tylko krew i kości. Krew syczała, jakby wrzała.

Błagam, niech ona przestanie mówić. Zatykam sobie uszy palcami, ale i tak ją słyszę.

– Nie czuję się dobrze. Wciąż. Czuję, że z moją głową nie jest dobrze – ciągnie, jakby musiała mi koniecznie wyjaśnić, dlaczego stoi w kolejce do lekarza. – Z twoją też nie. Z nikim tu nie jest dobrze. I pewnie już nigdy nie będzie. Nie wiem.

Patrzy mi w oczy i wiem, że nie da mi spokoju, dopóki nie odpowiem.

Próbuję się trochę odsunąć, żeby jej nie dotykać.

– No – szepczę. – Wszyscy jesteśmy zupełnie złamani.

– Wiem. – Kiwa głową. – Taka jest prawda.

Przesuwamy się powoli.

Zaczyna mi burczeć w brzuchu.

A potem przybiega Aidan. Cały zapłakany.

I wiem, że pan Mario poszedł pod bramę.

Biegnę. Tuż za mną Aidan.

– Chciał im powiedzieć o tym artykule – krzyczy w biegu.

Znów jest jak wtedy. Tłum więźniów pod bramą. Krzyczą jeden przez drugiego do kilku dziennikarzy po tamtej stronie. Dziennikarze rzucają jakieś pytania, wszystko nagrywają.

Widzę, że Venger i kilku innych już tu są z bronią na strzałki.

– Gdzie reszta? Biegnij po resztę! – wołam do Aidana.

W pierwszej chwili w ogóle nie widzę pana Maria. Potem widzę, że już leży. Że ktoś go przydeptał.

– Panie Mario! – drę się i rzucam w tę plataninę ciał, niektóre już uśpione strzałkami, inne jeszcze się przepychają, walczą, krzyczą do dziennikarzy.

– Zabijają nas tu! – wrzeszczy jeden z mężczyzn. – Głodzą na śmierć!

Docieram do pana Maria. Jest nieprzytomny. Próbuję go sobą osłonić, żeby go nie zgnięli. Ludzie padają jeden po drugim.

Zalewa mnie wściekłość. Przeszywa dreszcz adrenaliny, wola walki. Chcę krzywdzić ludzi, chcę się na nich rzucić, niech mi zapłacą za to, że skrzywdzili pana Maria. Ale wrzeszczę na siebie w głowie.

OCHRANIAJ GO! Miej się na baczności. I tylko go ochraniaj.

Już zaledwie kilku więźniów jest przytomnych. Widzę, że żołnierze odganiają dziennikarzy od płotu.

Kucam przy panu Mariu.

– Słyszysz mnie pan? – szepczę.

Jego głowa opada do tyłu, gdy próbuję go unieść. Nogi utknęły pod ciałem jakiejś grubej kobiety. Widzę krew na jego głowie, ale przecież nie musi być jego.

Nie wiem, czy to coś poważnego, czy tylko jest uśpiony.

Opieram się na obolałych kłykciach i wyciągam go ostrożnie spod plataniny ciał. Chwytam pod ramiona i ciągnę po innych ciałach.

– Panie Mario! To ja! – próbuję przekrzyczeć hałas.

Jego ręka zwisa dziwnie. Dłoń jest wygięta w taki sposób, w jaki na pewno nie da się wygiąć ręki, jeśli kości są całe.

Ciągnę go najdelikatniej jak się da, ale wciąż potykam się o ciała na ziemi. Staję na czyichś nogach, rękach, włosach. To tylko kilka siniaków więcej. Jak się obudzą, będzie im wszystko jedno.

Przeciągam go po innych więźniach i w końcu kładę na ziemi. Z ręką jest coś nie tak. Coś bardzo nie tak.

Strażnicy kładą ciała w jednym rzędzie.

Lori i reszta dzieciaków rzucają się na pana Maria, całują go, ryczą.

– Niech się pan obudzi! – chlipie Heather.

– Odsuńcie się! Nie dotykajcie go! – krzyczę. – Ma złamaną rękę!

– Co my zrobimy? – jęczy Lori. – O Boże! Panie Mario!

I wtedy słyszę, że ma trudności z oddychaniem. Jakby próbował łapać powietrze.

Pochylam się i nasłuchuję przy jego ustach.

– Zamknijcie się! – warczę na dzieci.

Nasłuchuję. Charczenie? Świszczenie?

Może ma jakiś uraz płuc czy coś.

– Musimy go natychmiast zabrać do kliniki. Teraz! – krzyczę. – Lori, pomóż mi. Podniosę go, a ty trzymaj ramię. Staraj się, żeby nie zwisało swobodnie i nie wyginało się w złą stronę.

– Jak to w złą stronę?

– Nieważne. Niech się nie wygina w żadną! Uwaga, liczę do trzech.

Podnosimy go.

Ciała nieprzytomnych ludzi są ciężkie. Ale nie tak ciężkie jak trupy.

ROZDZIAŁ 17

DEAN

DZIEŃ 33

Obudził mnie pisk hamulców i głos Rocca:

– Pit stop numer dwa. Vinita, Oklahoma. Pobudka. Spadamy stąd za piętnaście minut.

Pit stop numer jeden był trzy godziny wcześniej w Durancie, też w Oklahomie.

Wydaliśmy tam dwadzieścia pięć dolarów na cztery kanapki z szynką i pół litra ciepłego soku pomarańczowego. Pieniądze dosłownie się rozplývają.

Jak zapłacimy Caputtowi, zostaną nam już tylko dziewięćdziesiąt dwa dolary.

– Idę się odlać. Widzimy się w środku – rzucił Jake i wysiadł.

My dopiero się budziliśmy.

Astrid jęknęła zaspana.

– Daleko jeszcze? – spytała półżartem.

Przeciagnałem się między fotelami, gdzie było trochę więcej miejsca.

Dystrybutory paliwa dla dużych samochodów znajdowały się kawałek od głównej stacji i sklepiku.

Patrzyłem, jak Jake gada z kierowcą w drodze do sklepu. Wiedziałem, że tak naprawdę nie podziela jego opinii o świecie. Dogadywał się z nim tak

dobrze tylko po to, żeby łatwiej nam było podróżować, żeby Rocco nam ufał. Jake potrafił się dogadać dosłownie z każdym. W Greenwayu, gdy do sklepu wdarli się kadeci, ta cecha jego charakteru uratowała nam życie. Więc naprawdę nie powinienem mu mieć tego za złe.

Ale miałem. W głębi duszy nie chciałem, żeby Jake cokolwiek robił dobrze. Chciałem, żeby wszystko zawsze pieprzył, żeby do Astrid w końcu dotarło, że to on jest niedorajdą. Niegodnym zaufania macho i głupim bufonem.

Czy to bardzo podłe z mojej strony? (W sumie już wtedy wiedziałem, że tak).

– Pomóc ci zejść? – spytałem Astrid.

Siedziała na łóżku u góry, nogi miała spuszczone i tarła rękoma twarz.

– Czuję się, jakbym mogła spać cały rok – mruknęła i ziewnęła.

– Masz jeszcze skurcze?

Pokręciła głową.

– Mam bardzo mocno napięty brzuch. Ale skurczów już nie.

– Chcesz, żebym poszedł po coś do jedzenia? Mogłabyś dalej spać.

– E, nie, i tak muszę siusiu.

Przede mną Niko szperał w plecaku.

Wyciągnął trochę pieniędzy.

– Kupmy sobie jedną dużą butelkę wody na spółkę. Tak będzie taniej – powiedział.

Podszedłem, żeby pomóc Astrid zejść po stopniach ciężarówki.

– Wiesz, że znów jestem głodna? – powiedziała. – I to jak.

– Stać nas jeszcze na coś do przegryzienia dla Astrid, nie, Niko? – spytałem, ale w tym momencie on jęknął:

– Dean! Astrid!

Nagle powietrze przeszył wysoki, cienki gwizd. Dochodził jakby z wnętrza kabiny.

A Niko się darł:

– DEAN! ASTRID!

Skoczyliśmy do okna ciężarówki.

Światło zrobiło się dziwne. Jak przed burzą. I wtedy to zobaczyłem.

Czarna masa sunąca tuż nad ziemią. Potem wyżej wijąca się, tańcząca. Jak stado szpaków. W górę i w dół, zbijająca się, rozpływająca, znów zbijająca.

Żyjąca, czarna chmura. Wielkości boiska.

Niko już zapinał kombinezon. Bogu dzięki, miał go na sobie, tylko przewiązał rękawy w pasie.

– Wasze kombinezony! Kombinezony! – wyjąkał.

– Czy okna są zamknięte? – spytała Astrid.

Gdzie mój plecak? Używałem go przed chwilą jako poduszki.

– Skąd mam wiedzieć? – ryknął Niko.

– Najpierw maski! – zawołałem.

Maski z wbudowanymi filtrami powietrza leżały na samym wierzchu plecaka.

Podąłem jedną Astrid i założyłem drugą. Dziwnie było czuć gumowy ustnik, ale zacisnąłem na nim wargi i zrobiłem wdech.

Dla mnie i Astrid najważniejsze było, żeby nie oddychać nieprzefiltrowanym powietrzem. Ale Niko musiał zapiąć cały kombinezon, żeby się nie pokryć bąblami.

Pośpiesznie wciągaliśmy kombinezony. Dotarło do mnie, że ten gwizd dochodził właśnie z nich. W klapach miały małe plastikowe światełka wielkości dziesięciocentówki, które piszczały i paliły się teraz na czerwono.

Wiatr już szalał za stacją, wijąc się i coraz bardziej zbliżając do nas.

Niko zapiął maskę. Był bezpieczny.

Światelko na jego kombinezonie zmieniło się w zielone, gwizdanie ucichło.

Astrid już miała na sobie kombinezon, wkładała stopy w buty. Przypiąłem jej maskę do munduru.

– Nie ruszaj się! – powiedziałem. Jej światelko zmieniło się na zielone. Teraz ja.

– Musimy iść po Jake’a! – zawołała. Nie włożyła jeszcze ustnika.

– Mowy nie ma – syknął Niko. – Nic mu nie będzie. Jest w sklepie!

Czarna chmura już pochłaniała sklep. Będzie przy nas za kilka sekund.

Zapiąłem kombinezon. Astrid przypięła mi maskę.

Zielone.

Przez boczne okno zobaczyłem, że Jake i Rocco biegną w naszą stronę. Za nimi gonila czarna, wijąca się maź.

Na moich oczach ze sklepu wyskoczył mężczyzna z pistoletem.

BUM!

Celował w Jake’a i Rocca! Na pewno miał grupę AB i zupełnie zwariował.

Wiatr uderzył w szybę z przerażającym, zgrzytliwym dźwiękiem.

Zobaczyłem, że Rocco się potyka. Trafił go?

Wyciągnąłem ustnik, żeby zawołać:

– Biegnę im pomóc! Nie ruszajcie się stąd!

Nim Niko zdążył mnie powstrzymać, otworzyłem drzwi i popędziłem do Jake’a.

Rocco nie padł od strzału.

Był cały w bąblach.

Może jeśli uda nam się zaciągnąć go do ciężarówki... Jake zatrzymał się i cofnął po niego.

BUM! Facet z bronią strzelił w bok. Kula zaiskrzyła o tablicę z ceną za paliwo do diesla.

Jake pochylał się nad ciałem Rocca. Widać było krew. Mnóstwo krwi. Musimy go ukryć w ciężarówce, szybko.

– Pomogę ci! – krzyknąłem, ale moje słowa stłumił ustnik.

Jake wcale nie pomagał kierowcy. Wyciągał z jego kabury pistolet.

Chwycił go i strzelił do faceta ze sklepu.

BUM! Z tak bliskiej odległości strzał był upiornie głośny.

– Pomóż mi go zaciągnąć do samochodu! – zawołałem.

– Za późno! – odpowiedział i zobaczyłem, że ma rację.

Rocco już nie żył. Jego ciało zaczynało bulgotać.

Poczułem kulę w gardle. Już byli przy nas Astrid i Niko.

– Mówiłem wam, żebyście zostali w środku! – ryknąłem.

BUM! Sklepiarz strzelił w naszą stronę, a Jake odpowiedział tym samym.

– Szybko! – krzyknął Jake.

BUM! Sklepiarz znów strzelił i błysnęło niesamowite światło. Dystrybutor tuż przy naszej ciężarówce stanął w płomieniach, a potem syk SSSSSSS i BUCH! Wybuchły podziemne zbiorniki z paliwem.

Gdy tylko udało nam się wstać, popędziliśmy przed siebie.

ROZDZIAŁ 18

JOSIE

DZIEŃ 33

Pielęgniarka każe nam czekać w kolejce.

– To starszy człowiek – błagam, ręce mi się trzęsą. – Ma złamaną rękę i z trudem oddycha. Może ma przebite płuco.

Pielęgniarka szuka pulsu.

– Słuchaj... – mówi. – To staruszek...

Co ona chce przez to powiedzieć. Że jest za stary na leczenie? Nie warto go ratować?

– Znam doktor Neman – bąkam. – Pani doktor jest moją znajomą.

– Doktor Neman nie ma dziś w klinice – ucina pielęgniarka. – Musicie zaczekać...

– Niech mnie pani wysłucha – mówię. – Byłam zgubiona. Zdziczała. Jadłam ze śmietników. Zabiłam ludzi i byłam stracona dla świata. On mnie uratował. Dał mi kubek gorącej czekolady i wyciągnął do mnie rękę. Mogłam go przecież zabić. Ale wierzył we mnie. Czy pani to rozumie?

– Z pewnością... – Już sięga po słuchawkę. Pewnie chce zadzwonić po ochronę.

– Powiedział: „Włóż tę maskę, a dostaniesz czekoladę” i rzucił mi maskę. Wiedziałam od razu, że daje mi szansę na powrót do społeczeństwa. Jakaś część mojego umysłu potwora czuła, że to moja szansa, moja ostatnia szansa.

Teraz już płaczę i Lori, która stoi obok, też. Reszta dzieci też pewnie ryczy.

Pielęgniarka chce, żebyśmy się ruszyli z progu, ale ani drgnę. Charczący oddech pana Maria wyznacza rytm opowieści, więc opowiadam:

– Założyłam maskę. I gdy trochę się uspokoiłam, gdy zaczęłam znów myśleć, podał mi ten list. Bo moi przyjaciele mnie zostawili. Nie mieli wyjścia. Mój... mój chłopak musiał zabrać resztę, pięcioro dzieci, w bezpieczne miejsce. Więc musiał mnie zostawić. Ale napisał list i pan Mario mi go przekazał. Przeczytałam go.

– Przykro mi! – krzyczy pielęgniarka. – Nie mamy funduszy na takie przypadki...

– Dał mi schronienie – łkam, a ręce tak strasznie mi się trzęsą. – Nakarmił mnie, przenocował, dał nowe ubrania. A gdy spadły bomby, myśleliśmy, że już po nas. Modliliśmy się całą noc, żeby Bóg dał nam szansę przeżyć.

– Nie mam prawa... – twierdzi pielęgniarka.

– Błagał Boga, żeby dał mi dożyć chwili, gdy odnajdę przyjaciół – chlipię. – Czy pani to rozumie? To dobry człowiek. Mam już tylko jego.

– Ech! – pielęgniarka warczy z frustracji. – Dobra! Niech ci będzie. Tędy.

Robię krok naprzód. Ręce tak nieznośnie bołą.

– Ale twoi przyjaciele muszą zniknąć – syczy.

Wrywa mi się jęk ulgi. Lori zabiera dzieciaki.

– Tu go połów. – Pielęgniarka wskazuje mi zakrwawione łóżko między dwoma innymi, na których leżą przysadzisty mężczyzna z bandażem w talii i śpiąca kobieta z głową owiniętą gazą, z jakimiś żółtymi plamami na oczach.

– Co tu się dzieje? – pyta Latynos w T-shircie i džinsach. Na szyi dynda mu stetoskop.

– Doktorze Quarropas, bardzo przepraszam, ale dziewczyna nalegała...

– I miała prawo. Ten staruszek jest pewnie po osiemdziesiątce!

– Wiem – rzuca ze złością pielęgniarka. – Ale nie jest to najbardziej uleczalny przypadek...

– Pani pozwoli – syczy na nią Latynos. – Ja tu jestem lekarzem. I mam dość słuchania tych bzdur o uleczalności. Ani słowa więcej.

– Przecież nie ja to wymyśliłam... – broni się pielęgniarka, ale on nawet jej nie słucha. Pochyliła się i sprawdza oddech staruszka, potem ostrożnie otwiera mu usta i w nie zagląda.

– To nie wygląda dobrze – mruczy. – Jak to się stało?

Podnosi powiekę i świeci mu w oko latareczką.

– Przepychanki pod bramą – mówię. – Stratowali go. Może też dostał strzałkę, nie wiem.

– Tak, prawdopodobnie go uśpili. Jak się nazywa? – pyta lekarz.

– Mario Scietto.

– Panie Mario! Mario! – woła. – Słyszysz mnie pan? Mario Scietto!

Pan Mario leży jak przetrącony ptak. Wydaje się taki mały między tamtymi pacjentami.

Lekarz wyciąga minitaba.

– Nowy plik – mówi do maszyny.

A zatem minitaby działają. W każdym razie dla tych, którzy się liczą.

To pierwszy, jaki widzę od zagłady.

– Mario Scietto. Siedemdziesiąt parę lat lub osiemdziesiąt, znak zapytania. Uśpiony strzałką z etorfiną. Stratowany w tłumie.

Ośluchuje go stetoskopem. Kręci głową.

– Złamanie poprzeczne lewego przedramienia lub złamanie złożone, radius. Złamane żebra, znak zapytania.

Wyrywa mi się jęk. Doktor Quarropas podnosi wzrok. Dopiero teraz chyba w ogóle tak naprawdę mnie zauważa.

– Musisz stąd iść – mówi.

– Wyjdzie z tego? – pytam.

I nagle widzę gwiazdy. Cały pokój rozmywa mi się przed oczami.

Lekarz łapie mnie za rękę. Tę poobijaną po wczorajszym nocnym przejściu przez męski korytarz. Wzdrygam się, ale ból sprawia, że znów łapię ostrość.

– Nic ci nie jest? – pyta.

– Nic, nic.

Nie wiem, czemu chowam ręce za plecy. Nie chcę, żeby teraz skupił się na moich głupich kłykciach, skoro pan Mario jest w niebezpieczeństwie.

– Nie karmią was najlepiej. Wyglądasz, jakby mógł cię zdmuchnąć wiatr. I co ci się stało w ręce?

– Nic – bąkam.

Patrzy na mnie wyczekująco.

Pokazuję mu kłykcie. Teraz na brzegach widać już jakąś zieloną wydzielinę.

– Co ci się stało?

– Musiałam coś wyszorować – wyjaśniam. – Zdarłam sobie skórę.

– Rhonda! – woła. – Gdzie jest lignina w rolkach?

– Skończyła się! – odkrzykuje pielęgniarka.

– A gaza w kawałkach? Przyczepię ją taśmą.

– Taśma też się skończyła.

– Chryste!

– Czy pan Mario z tego wyjdzie? – pytam znowu.

– Myślę, że tak.

Lekarz podchodzi do małej umywalki i daje mi znak, żebym się zbliżyła. Nalewa ciepłej wody i pokazuje mi, że mam umyć ręce mydłem przeciwbakteryjnym, ale cały czas mówi o panu Mariu.

– Będzie spał dłuższy czas, więc nastawię mu rękę. Przy okazji zbadam klatkę piersiową. Zrobimy, co w naszej mocy.

Wyciera mi kłykcie papierowym ręcznikiem, a potem bierze do ręki sprej.

– Kaszl – szepcze.

– Co?

Kasze głośno, więc też zaczynam. Gdy tak kaszlemy, psika mi czymś na kłykcie, które pokrywają się pianą. Niemal natychmiast zmienia się ona w rodzaj gumowej

warstwy ochronnej.

W drzwiach staje Rhonda.

– O Boże – jęczy. – Niech pan doktor powie, że nie zużywa na nią dermaknitu. To przecież nasza ostatnia butelka!

Lekarz puszcza do mnie oko.

– Była o krok od paskudnego zakażenia. Nie było wyjścia.

Jestem pewna, że gapię się na niego z rozdziawioną gębą niczym zombi, ale naprawdę odwykłam od tego, żeby ktoś mnie traktował tak, jakbym była ważna. Jakbym miała prawo być traktowana po ludzku. I do tego, żeby ze mną żartowano. Jakby na tym świecie byli jeszcze ludzie, którzy żartują, są weseli, robią psikusy i kaszlą, żeby zagłuszyć odgłos psikania cennym sprejem.

Lekarz jest miły i zabawny. Patrzę na niego, jakby się urwał z księżycy.

– Twojemu przyjacielowi nic nie będzie – zapewnia mnie, ale uśmiech powoli znika z jego twarzy. – Przyjdź jutro go odwiedzić.

– No już, słyszałaś – wygania mnie pielęgniarka.

– Hej! – awanturuje się jakiś facet w kolejce. – A kiedy moja kolej?

– Zaraz będę potrzebował pomocy przy nastawianiu złamania – mówi doktor Quarropas do pielęgniarki. – Ale może niech już pani wprowadzi następnego pacjenta, żeby się tam nie gorączkowali.

Pielęgniarka kładzie mi rękę na plecach i pcha mnie do drzwi.

– No, dostałaś przecież to, po co przyszłaś – syczy. – A teraz wynocha!

ROZDZIAŁ 19

DEAN

DZIEŃ 33

Nasze plecaki przepadły. Zostały w ciężarówce. Jake nie miał więc kombinezonu, ale przy jego grupie krwi nie miało to większego znaczenia.

Reszta przynajmniej miała kombinezony.

Oddychanie przez ustniki było dziwne, ale się sprawdzało, nawet w biegu. A przez to, że właściwie trzymało się ustnik zębami, maska nie skakała aż tak bardzo. Była zaskakująco stabilna. Nawet jak się pędziło sprintem. Japoński design.

Jake biegł pierwszy. Prowadził nas przez pole brązowej trawy w stronę jakichś domów.

Biegłem za Astrid, bo pomyślałem, że jeśli facet znów strzeli, to może uda mi się ją zasłonić. Pewnie głupi pomysł, ale tak sobie kombinowałem.

Po obu stronach ulicy stały małe, ładne domki.

Jake schował się za jakiś minivan i odczekał, aż zrobimy to samo.

– Wszyscy cali? – spytał.

Pokiwaliśmy głowami, zasapani.

Z tymi ustnikami trudno było mówić.

– Wszystko w porządku, Astrid? – spytał.

Pokiwała głową, ale trzymała się za brzuch.

Pochyliła się i przestraszyłem się, że będzie wymiotować, ale zobaczyłem, że ma tylko rozwiązane sznurówki w trampkach. Włożyła je na kombinezon, ale nie zdążyła zawiązać. Bogu dzięki, że się nie potknęła.

– Za mną – powiedział Jake. – Teraz po prostu... yyy... znajdziemy samochód.

Zaczął iść ostrożnie skrajem ulicy.

W jednym z domów rozległ się krzyk. Okropny, szarpiący nerwy wrzask.

Spojrzałem na Nika. Czy powinniśmy pomóc?

Pokręcił głową i szedł za Jakiem.

Potem na ulicę wybiegła młoda kobieta.

Za nią stał mały, biały domek między dwoma większymi ceglanymi.

Coś do siebie mrucała i taszczyła jakieś graty do stojącej przy krawężniku mazdy z włączonym silnikiem. Miała na sobie sportowe ciuchy, a brązowe włosy wymykały się jej z kucyka i wpadały do ust.

Za nią na ziemi walały się różne przedmioty – ramka na fotografię. Tubka z majonezem. Słomkowy kapelusz. Poduszka.

Wrzuciła wszystko, co trzymała, do samochodu, a potem popędziła zebrać zgubione skarby i też wcisnęła je do samochodu. Wtedy nas zauważyła.

– Odczepcie się! – wrzasnęła. W jej dłoni błysnął wielki nóż.

Kuchenny.

Miała go cały czas w ręku, nawet kiedy nosiła rzeczy. To dlatego tak jej wszystko leciało z rąk.

Nie ulegało wątpliwości, że ma grupę AB i rozwiniętą paranoję.

Byliśmy jakieś pięć metrów od niej.

– Nie! Nie! – darła się, odsuwając od nas – od nas! – i wtedy zobaczyliśmy za nią mężczyznę.

Poruszał się szybko.

Wyplułem ustnik i wrzasnąłem:

– UWAGA!

Rzuciłem się w jej stronę, żeby – nie wiem – jakoś ją ratować.

Ale facet był szybszy.

Szeroki w barach, łysy, z wielkim brzuchem i miał grupę 0.

Zaszedł ją od tyłu. Ramiona i białą koszulę miał obryzgane krwią. Głowę opuścił, oczy mu lśniły, widać w nich było żądę krwi.

0, 0, 0 – wszystko to znałem.

– Zastrzel go! – wrzasnęła Astrid do Jake’a.

Ale facet już trzymał ręce na szyi kobiety, już wyciskał z niej życie. Już łamał jej kark.

Oczy wyszły jej na wierzch. To było straszne, straszne, straszne.

Ryknąłem z wściekłości i chciałem się z nim bić, ale Niko mnie odciągał.

Mężczyzna chwycił nóż ofiary i dźgnął ją w pierś.

I jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, jak dziecko pochłonięte zabawą.

Niko ciągnął mnie z dala od niego, Jake mu pomagał i razem wpychali mnie do mazdy.

Mężczyzna podniósł wzrok. Spojrzał na mnie. Uśmiechał się jak szaleniec, oblizywał brodę mokrą od krwi.

Astrid zwiększyła obroty silnika, Jake wepchnął mnie w końcu do samochodu, a Niko wskoczył z przodu na miejsce pasażera.

Astrid ruszyła i odjechaliśmy.

Jake szamotał się z zamknięciem drzwi.

Siedzieliśmy na gratach zabitej kobiety. Ściśnięci na stosie najróżniejszych przedmiotów.

Spojrzałem przez tylne okno i zobaczyłem, że mężczyzna wrócił do dźgania zmarłej kuchennym nożem.

Zawylem z rozpaczy.

ROZDZIAŁ 20

JOSIE

DZIEŃ 33

Wychodzę oszołomiona na korytarz pełen chorych.

Rana na twarzy. Kobieta trzyma się za wykręcone ramię.

Ludzkie istoty potrzebujące pomocy. Brudne, przerażone, załamane.

Zamknięte tu z powodu swojej grupy krwi.

Pan Mario z tego wyjdzie. To dobrze. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie przeżył.

Jakie ma szanse? Alex by mi powiedział. Alex by to obliczył, gdyby tu ze mną był.

Przechodzę przez podwórze, chcę wrócić do pokoju.

Pod bramą leży ze trzydzieści ciał. Odsypiają. O płot opiera się samotny strażnik. Pilnuje, żeby nikt nie okradł uspiomych więźniów.

Obudzą się za trzy, cztery godziny. Z suchymi, czerwonymi oczami, walącymi sercami.

Będą pić mnóstwo wody i czuć się bardzo dziwnie przez resztę dnia.

Wieczorem zasną i będą mieli dzikie, wyraziste sny. Przez całą noc będziemy słyszeć ich jęki.

Kiedy mnie trafili strzałką – tamtego dnia, gdy zasłoniłam pana Maria przed Vengerem, pan Mario i dzieciaki zaciągnęli mnie do środka. Pilnowali mnie w świetlicy, aż się obudziłam.

Tamtej nocy śniło mi się, że czekam na dworcu na rodziców.

Wysoki sufit, marmurowa posadzka – klasyczny dworzec. Ukrywałam się, podkradałam bliżej sklepików pod ścianą, w których sprzedawcy wystawili butelki z wodą na tacach pełnych lodu i najróżniejsze smakołyki: ciastka, jajecznicę, jogurty.

W tamtym śnie udało mi się ukraść bułkę z bekonem, jajkiem i serem i jadłam ją schowana za śmietnikiem. Słysząc było głośnie gwizdy pociągu i nagle na peronie zrobił się straszny tłok.

Zobaczyłam rodziców ubranych w podróżne stroje jak z jakiegoś czarno-białego filmu. Mama miała na sobie długi płaszcz z aksamitnymi guzikami, a tata garnitur i fedorę.

Chciałam ich zawołać.

Ale byłam taka brudna i właśnie ukradłam jedzenie – było mi wstyd.

I była z nimi babcia. Przepychała się przez tłum najszybciej jak się dało. Szła zupełnie jak pan Mario. Mama i tata byli bardziej cierpliwi, jak to oni, ale widziałam, że też się śpieszą.

Nie mogłam do nich podbiec. Wiedziałam, że już mnie nie chcą.

Wchodzę na korytarz na parterze Doskonałości. Wiem, że dzieci czekają w pokoju na wieści z kliniki.

Biegnę przez korytarz.

Byle tylko nie natknąć się na kogoś z tych, którzy atakowali mnie wczoraj w nocy.

Udaje mi się.

Pcham drzwi na końcu korytarza prowadzące na schody. W dzień nie są zamykane na klucz.

Już w progu słyszę jakiś ruch. Szelest ubrań, szybki oddech.

Czasami natykam się na ludzi obmacujących się po kątach, to tu normalne.
Ale przystaję.

Bo na schodach prowadzących do piwnicy widzę coś znajomego – sweter.

To sweter pana Maria, to Lori.

Zamieram.

– Ładne – mówi czyjś głos. Brett. – Taka jesteś ładna. Nie bój się.

Lori ma uniesione ręce, ale on je opuszcza, całuje ją. Zamyka jej usta pocałunkiem.

– Hej! – wołam.

Już jestem w połowie schodów.

– Wszystko w porządku, Josie – mówi szybko Lori. – Wszystko okej.

Widzę łzy na jej policzkach. W porządku?!

Koszulę ma całą poszarpaną, włosy potargane i płacze.

Brett nie jest sam. Jest z nim jeszcze jeden facet z Unii.

To wszystko mnie tak rozwściecza, że aż tracę oddech. WRRRRRRRR budzi się moja krew.

– Miałaś swoją szansę, Josie – mówi Brett. – Lori jest o wiele rozsądniejsza niż ty.

Krew dudni mi w uszach. Aż trudno mi słuchać. Trudno myśleć.

– Będą nas chronić. Nas wszystkich – mówi Lori. – Jest okej.

– NIE JEST OKEJ! – drę się.

Przysadzisty nastolatek z twarzą jak u mopsa odpycha mnie.

– Spadaj, Króliczku – drwi. – To impreza zamknięta.

Boże, pomóż, nie jestem w stanie się opanować.

Walę go pięścią w nos.

Tryska krew, a dzieciak piszczy.

– Jezu Chryste! – krzyczy Brett, ale chwytam go za włosy i ciskam nim o cementową ścianę.

Łąduje na ziemi, a ja kopię go z całych sił.

– Przestań! – drze się Lori. – Przestań, Josie!

Jestem 0. Boże, pomóż. Zupełne zero i zabiję ich. Atakować czternastolatkę?
Molestować dziewczynkę? Małą Lori? Zabiję ich.

– PRZESTAŃ! – Lori strzela mnie po gębie.

Odwracam się w jej stronę.

– Oddychaj, Josie – błaga.

Zarzuca mi ręce na szyję.

– Ciiiiii – szepcze.

Mops pojękuje.

Lori mnie tuli i ciągnie w górę po schodach, z dala od Unitarian. Stopień po stopniu.

Brett klnie dziko.

– Dorwiemy cię, Josie Miller! – woła z podłogi. – Już po tobie!

ROZDZIAŁ 21

DEAN

DZIEŃ 33

Wiatr się zmienił i teraz smagał przednią szybę.

Astrid włączyła wycieraczki.

Czarny brud pokrywał szybę szczelnie jak folia, potem wycieraczki go zdzierały. Znow zakrył szybę, znow wycieraczki go zdarły i tak w kółko.

Spojrzałem na cząsteczki, które wiatr nawiał na boczną szybę. Były maleńkie. Małe jak kurz, ale każda była idealnym kwadratem. O wiele mniejszym niż ziarnko piasku. Nie małe sześciiany, ale płaskie kwadraty. Płaska, czarna śmierć.

Za oknem widzieliśmy kolejne ulice Vinity. Pożary, ludzi wybiegających z wrzaskiem z domów. W czarnej, wirującej burzy piaskowej ludzie umierali i próbowali ratować się nawzajem. Na każdej ulicy to samo.

– Musisz zawrócić – powiedział Jake. – Wrócić na autostradę.

Astrid zahamowała raptownie, zaparkowała na chodniku.

– Nie mogę oddychać – powiedziała, słowa z trudem przeciskały się przez ustnik. – Niedobrze mi.

Wyciągnęła ustnik, chciała zdjąć maskę.

– To nie jest dobry pomysł, Astrid! – powiedział ostro zaniepokojony Niko.

– Będę rzygać! – jęknęła i zaczęła rozpinać kombinezon.

Pochyliłem się do niej, chwyciłem jej rękę.

– Astrid! – zawołałem. – Spójrz na mnie.

Jej ciało i twarz były zupełnie skryte w kombinezonie. Spojrzała na mnie zza wizjera maski, z paniką patrzyła mi w oczy.

– Oddychaj – powiedziałem. – Wszystko będzie dobrze. W kombinezonie masz dość powietrza. Oddychaj.

– Nie pozwól jej zdjąć kombinezonu! – denerwował się Jake.

– Nic jej nie będzie – odpowiedziałem mu, nie odrywając wzroku od Astrid. Starłem się mówić równym, uspokajającym tonem. – Po prostu oddychaj.

Może to głupio zabrzmieć, ale ta chwila między nami, ten moment zrozumienia był bardzo ważny w naszym związku. Ona wiedziała, że może na mnie liczyć. Tak, byłem zupełnym nerdem, który kompletnie się w niej zabujał. Tak, nie byliśmy zbyt dobraną parą. Ale ona wiedziała, że może na mnie liczyć, i tylko to było ważne.

Co takiego mówiliśmy, gdy patrzyliśmy sobie w oczy przez plastik?

Ona: Boję się.

Ja: Wiem.

Ja: Kocham cię.

Ona: Wiem.

Ja: Będzie dobrze.

Astrid włożyła ustnik z powrotem do ust, wyprostowała się na swoim miejscu. Próbowwała otrzeć łzy rękawiczką, ale się jej nie bardzo udało.

– Przygniatasz mi nogę, chłopie – zaczął marudzić Jake, więc przesunąłem się z powrotem na swoje miejsce.

– Ktoś inny powinien usiąść za kierownicą – powiedziała Astrid i zamienili się z Nikiem miejscami, przechodząc jedno nad drugim.

Baliśmy się otworzyć drzwi, bo wiatr wciąż smagał samochód.

Niko wydostał się na autostradę i skierował na północ.

Gdy powietrze stało się czystsze, uznaliśmy, że możemy już bezpiecznie zdjąć maski.

Astrid schowała twarz w dłoniach. Nie musiałem nawet widzieć, jak jej drżą ramiona, żeby wiedzieć, że płacze.

Siedziała przede mną, więc położyłem jej rękę na plecach i poklepałem.

– To było straszne – powiedziałem.

– Biedna kobieta – łkała Astrid.

– Dlaczego nie ma żadnych ostrzeżeń! – Jake z trudem nad sobą panował. – Wszyscy myślą, że to tylko plotki, a wściekły wiatr naprawdę istnieje!

– To pewnie wojsko – mruknąłem. – To oni uznali, że lepiej ukrywać tę informację. Ale dlaczego?

– Żeby nie wywoływać paniki – odparł Niko, nie odrywając oczu od drogi. – Żeby powstrzymać ludzi od ewakuacji.

– Niby dlaczego mieliby to robić? – zdumiał się Jake.

– Nie wiem – powiedział Niko. – Może już nigdzie nie ma miejsca dla uchodźców.

Musieliśmy trochę uporządkować samochód z tyłu, żeby w ogóle dało się tam w miarę wygodnie siedzieć.

– Ta biedaczka była szurnięta – stwierdził Jake.

Miał rację. Do samochodu wrzuciła przedziwną kolekcję przedmiotów.
Były tam:

wiatrak elektryczny,
wielkie pudło krakersów w kształcie rybek, które Jake natychmiast zaczął chrupać,
cztery olbrzymie albumy ze zdjęciami z lat 2019–2023,
zestaw przewodów rozruchowych i, kurczę, ona naprawdę myślała przyszłościowo – łańcuchy na opony,
spory zestaw do makijażu,
sześciopak koktajli proteinowych i rozmaite przekąski,
dwie nieotwarte puszki z piłkami tenisowymi,
doniczka z kwiatkiem,
pudło z naczyniami, które się potłukły, gdy wrzuciła je do samochodu.

– Patrzcie, państwo! – ucieszył się Jake. – Mamuśka miała jednak głowę na karku!

Wyciągnął spomiędzy gratów do połowy opróżnioną butelkę whisky.
Odkręcił i pociągnął łyk.

– Jezu, Jake – jęknąłem.

– Czy to dobry pomysł? – odezwał się Niko.

– Właśnie widzieliśmy, jak umiera Rocco Caputto. Omal nas nie zastrzelił tamten typ i mało nie wybuchliśmy razem z ciężarówką. Na naszych oczach zamordowano jakąś biedną wariatkę. Widzieliśmy, jak facet porąbał jej ciało na kawałki kuchennym nożem. Uważam, że w tych okolicznościach schlanie się to GENIALNY pomysł. Naprawdę.

I znów pociągnął z butelki. Czystą whisky. Brrr.

– Starczy – mruknąłem. – Dawaj tę butelkę.

– Chcesz trochę? – spytał.

– Nie, odłożę ją.

– Nie jesteś moją cholerną nianią, Geraldine! – wydarł się.

– Cisza! – krzyknęła Astrid.

– Słyszałeś! – zawołałem i próbowałem wyrwać mu butelkę.

– Zamknijcie się obaj! – ryknęła na nas. – Coś SŁYSZĘ!

W samochodzie zapadła cisza.

Słyszałem tylko warkot silnika i bicie mojego serca.

– Nieważne, pewnie mi się zdawało – mruknęła i oparła się wygodniej w swoim fotelu.

Jake znów pociągnął łyka i zagryzł whisky krakersami.

– W ogóle cię nie obchodzi, że Jake się schleje? – spytałem Astrid.

– Sama bym się najchętniej upiła – szepnęła żałośnie.

– Zastanawiam się, czy starczy nam paliwa do Missouri – odezwał się Niko. – Mamy trzy czwarte baku.

Patrzyłem za okno.

Niekończące się wyschnięte pola.

– Szkoda, że nie udało nam się uratować tamtej kobiety – powiedziała Astrid.

– Wiem – mruknałem.

Wyciągnęła rękę i włączyła radio. Pasma FM i XM nie działały, ale była przynajmniej jakaś śmieszna, trochę szumiąca stacja na AM. Nic nie wspominali o wietrze.

– Hej, Astrid – odezwał się Niko. – Wiem, że to pewnie nic nie da, ale może zobaczyłabyś, czy działa GPS?

Poprawiłem się w fotelu, żeby znaleźć wygodniejszą pozycję.

Na kolanach trzymałem coś, co mi wyglądało na puste akwarium. Mata pod nogami była mokra i coś wilgotnego chyba dotykało mojej nogi, choć

kombinezon ochronny był wodoszczelny.

Może gdzieś tam leżała zdechła ryba.

Patrzyłem tępo przez okno i po kilku minutach dotarło do mnie, że wciąż mi się trzęsą ręce.

– Myślisz, że powinniśmy spróbować jakoś ostrzec ludzi? – spytała cicho Astrid Nika.

Jake pociągnął kolejny łyk whisky.

Byłem prawie pewien, że ma zaczerwienione oczy. Byłem prawie pewien, że płacze, gapiąc się przez okno.

– Nikogo nam się nie uda w ten sposób uratować – stwierdził Niko. – Ale możemy dotrzeć do Mizzou i przy odrobinie szczęścia wyciągnąć Josie z więzienia.

Wiedziałem, że powinienem się przespać, ale nie mogłem.

Jechaliśmy przez kilka godzin, coraz dalej od Vinity w Oklahomie. Drogi były puste, żadnego ruchu.

Zrolowaliśmy kombinezony i przewiązaliśmy je sobie w pasie, tak jak robili to żołnierze.

Załapaliśmy się w radiu na część cotygodniowej przemowy prezydenta Bookera:

Współobywatele! Amerykanie! Historia oceni, jak poradziliśmy sobie z tą serią kryzysów. Ci z was, którzy są w stanie pomagać innym, muszą zadać sobie pytanie: Czy robię dość? Czy mogę wyciągnąć dłoń do jeszcze jednego uchodźcy? Czy mogę przetrwać, jedząc mniej, by ci, którzy głodują, zdołali przeżyć? A tym, którzy znaleźli się bez domu, bez przyjaciół i rodziny, mówię dziś: rząd o was nie zapomniał. Pomoc medyczna. Jedzenie. Woda. Dach nad głową. Robimy, co w naszej mocy, by wam to zapewnić. A gdy tylko sytuacja będzie stabilna, zaczniemy odbudowę. Domy. Przemysł. Cel. Przewyciężymy to nieszczęście, pracując

razem, poświęcając wiele i nigdy nie zapominając o tym, że Ameryka jest dziś mocniejsza niż kiedykolwiek, zjednoczona jak zawsze. Czy zagłada nas podzieli? Nigdy!

A potem hymn państwowy.

Nic o wietrze.

Czy on nie wie? Czy to możliwe, żeby nic nie wiedział?

Gdyby działała Sieć, wszyscy by wiedzieli.

Na całym świecie dostępne byłyby zdjęcia, filmiki i ostrzeżenia.

Ale teraz tylko rząd miał dostęp do Sieci.

Ta myśl była przerażająca. Co jeszcze przed nami ukrywali?

– Postawią Bookera w stan oskarżenia – prychnął Jake. – Za wściekły wiatr. Za tę drakę z NORAD-em. Za to, jak sobie nie poradził.

– Na pewno nie – syknąłem. – Kto ci naopowiadał takich bzdur?

– Rocco.

– Żartujesz sobie? To był jakiś prawicowy idiota...

– Hej! – oburzył się Jake i przycisnął mi palec do piersi. – Nie mów źle o zmarłych!

Przez chwilę wytrzymał mój wzrok, ale jakoś tak przy tym kiwał głową, aż w końcu wyrzucił ręce w powietrze i zarechotał, próbując obrócić to wszystko w żart.

– Przecież jaja sobie robię – powiedział. – Naprawdę czasami mi się zdaje, że jesteś opóźniony, Dean. I tak przynudzasz, że szkoda gadać...

– O Boże, Jake, zamknij się – warknęła na niego Astrid.

– Dajcie mi skończyć, dajcie mi skończyć – wymamrotał Jake. – Rzecz w tym, że czasem widzę, że nie jesteś znowu takim idiotą. No. Widzicie? Powiedziałem mu coś miłego.

Parsknąłem śmiechem. To ci dopiero komplement.

Nie odpowiedziałem mu. Może zresztą już spał. Na pewno był pijany. Kurczę, żeby tylko nie wypadł z samochodu.

– Chce ktoś krakersa? – spytałem. – Jest też pudełko golden grahams i taki mus jabłkowy w saszetkach dla dzieci do wyciskania.

Podaliśmy im też kilka soków ze słomką.

Jedliśmy. Jechaliśmy. Niko powiedział, że do Mizzou mamy jeszcze ze cztery godziny, ale przedtem będziemy potrzebowali paliwa.

Wciąż nie zużyliśmy naszych punktów paliwowych, jakkolwiek to działało. Uświadomiłem sobie, że nadal mamy też pieniądze, bo przecież nie zapłaciliśmy Roccowi.

Niko kazał nam spać.

Chyba przysnąłem, bo obudziły mnie słowa Astrid:

– Znowu! Znowu to słyszałam! Nie słyszałeś?

– Nic nie słyszałem – powiedział Niko i wyłączył radio.

– Zatrzymaj samochód – nakazała mu Astrid.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Zatrzymaj się, Niko! W tej chwili.

Niko zjechał na pobocze i wyłączył silnik.

Czekaliśmy. Jake chrapał. Zacząłem wypytywać Astrid o ten tajemniczy dźwięk, ale uciszyła mnie ruchem dłoni.

Nasłuchiwała czujnie.

I wtedy też to usłyszałem.

Ciche, stłumione uderzenie. Zza mnie.

I łkanie:

– Mamusiu!

ROZDZIAŁ 22

JOSIE

DZIEŃ 33

Siedzimy w pokoju aż do kolacji.

Lori upiera się, żeby nikt nie wychodził.

– Słuchajcie – mówi. – Idziemy prosto do Plazy. Jemy i wracamy.

– Dlaczego? – chce wiedzieć Aidan. – Co się stało?

– Kiedy wróci pan Mario? – dopytuje Heather. – Już dawno powinien tu być.

Powinien być z nami.

– Słyszeliście, co powiedziała Josie. Lekarze robią, co mogą, a my możemy jutro pójść go odwiedzić.

Leżę na łóżku. Patrzę na sprężyny i poplamiony materac nade mną.

To było głupie. To, co zrobiłam.

Teraz to widzę.

Ta część mojego mózgu, która jeszcze ma resztki oleju i jako tako działa, mówi: Czy to była próba samobójstwa? Czy dlatego zaatakowałam tamtych dwóch?

Już po mnie.

A może jestem już tylko głupim zwierzęciem, zdanym na instynkty, broniącym Lori, bo należy do mojego stada?

Przez to, co zrobiłam, ona też już właściwie nie żyje.

Pewnie zupełnie przekreśliłam jej szansę na przetrwanie.

A potem ten mroczny głos szepcze mi, że już i tak po nas i że to nie moja wina.

I dobrze to słyszeć, nawet jeśli jest w tym coś bardzo złego. W końcu taka jest przecież prawda.

Szczekaczki nadają sygnał na kolację.

Jeden dzwonek – czas na pierwszą grupę. To my.

Żadnych rozmów, nawet szeptów.

Dzieciaki są zbyt przerażone tym, że mamy pójść na kolację bez pana Maria. Mimo że nie mają pojęcia, na jakie niebezpieczeństwo je naraziłam.

Trzymamy się za ręce. W prawej trzymam zimną jak lód dłoń Aidana. W lewej równie zimną rączkę Heather.

Gdy wchodzimy do stołówki, wydaje mi się, że wszyscy milkną.

Nie widać nigdzie ani Carla, ani Unitarian.

Idziemy stanąć w kolejce.

Lori mówi, że musimy cały czas trzymać się razem.

Może wydaje jej się, że obecność maluchów odgoni od nas Unitarian.

Stajemy więc w kolejce i bierzemy tace.

Ludzie naprawdę milkną, gdy podchodzimy.

Wszystko jest jakieś nierealne.

Obcy mężczyzna jakby mi salutuje. Kobieta siłą zniża mu dłoń i odciąga go od nas.

Dostajemy jedzenie.

– Gdzie wasz opiekun? – pyta jedna z pań ze stołówki.

– W klinice – odpowiadam.

– Oj – mówi. Potem pochyla się i szeptem wyjaśnia: – Słuchaj, poprosił mnie o coś. Ale nie wiem... Możesz mu przekazać, że jeszcze się zastanawiam?

– Dobrze, proszę pani – mówię, odwracając wzrok.

Wciska mi w dłoń dodatkową bułkę.

– Powiedz mu, że to od Cheryl.

– Dobrze.

Cheryl daje dzieciakom trochę więcej spaghetti i – co ważniejsze – po dodatkowym klopsiku.

Podbiega do nas mały chłopiec, który ma na imię Jonas.

– Macie przekichane! – obwieszcza radośnie. – Tata mówi, że Unitarianie dorwą was, zanim się zorientujecie!

– Nieprawda – odpowiada urażony Aidan. – To jakaś bzdura. Wczoraj oddaliśmy im owsiankę i WSZYSTKIE cukry. Są teraz po naszej stronie!

Marzenie świętej głowy.

Idziemy razem do stolika. Ludzie wrócili już do jedzenia i rozmów, ale wciąż na nas popatrują.

Jedzenie smakuje jak miazga drzewna w sosie pomidorowym, ale chłopcy zajadają swoje wielkie porcje z apetytem.

Czyli rozeszła się wieść, że Unitarianie chcą nas dorwać. To wyjaśnia tę śmiertelną ciszę, jaką wywołało nasze wejście do stołówki.

– Nie wracam z wami – mówię cicho do Lori. – Zabierz dzieci, wracaj do pokoju i zamknijcie drzwi na klucz.

Lori patrzy na mnie zaczerwienionymi oczami. Jej cienkie, brązowe włosy zwisają żałośnie wokół bladej twarzy.

– A ty co zrobisz? Ukryjesz się gdzieś?

W jej głosie słychać sarkazm i chyba po raz pierwszy patrzę na nią uważniej.

Nie jest aż taka bezwolna, jak mi się zawsze zdawało. Nie traci ducha. Może uda jej się przetrwać.

– Będę z nimi walczyć – odpowiadam.

Kręci głową. Usta ma zaciśnięte w ponurą, zdeterminowaną kreskę.

Łapię ją za rękę, żeby naprawdę na mnie spojrzała.

– Rzecz w tym, że już od dawna jestem gotowa na śmierć, Lori – mówię cicho, choć słowa więzną mi w gardle, a oczy stają się trochę mokre.

Ale taka jest prawda.

– Nie – szepcze. – Uda nam się dotrzeć do pokoju. Uda nam się przeżyć jeszcze jedną noc.

– A potem co?

Ściska mocno moją dłoń.

– Przeżyjesz tę noc, żeby rano móc zobaczyć pana Maria, a potem porozmawiać z dziennikarzami i się stąd wydostać, Josie Miller.

Patrzę na nią sekundę dłużej.

Może ona naprawdę jakoś przetrwa.

Dzieciaki już skończyły jeść, już się wiercą.

– Brzuch mnie boli – mówi Heather.

Pewnie przez ten dodatkowy klopsik.

– Chodźmy – zarządza Lori.

Wstajemy i nagle wstaje też taka chuda kobieta, matka, z naszego budynku, która siedziała przy nas przy stole. Traća łokciem swoje dziecko – nastolatkę, którą nieraz widziałam. Obie wstają od stołu, a z nimi jeszcze trzy osoby ze stolika za nimi.

– Idziecie do pokoju? – pyta kobieta.

Jej głos jest cichy i drżący.

To pierwsze słowa, jakie kiedykolwiek od niej usłyszałam, choć mieszkamy na tym samym korytarzu.

– Bo my też już idziemy.

Gdy zaczynamy iść w stronę drzwi, ludzie pośpiesznie wpychają sobie do ust makaron plastikowymi widelcami, dopijają mleko.

Już po chwili idziemy w tłumie pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu osób, które eskortują nas do budynku. Poznaje jednego z mężczyzn – to ten, który stanął w mojej obronie, gdy utknęłam w nocy na korytarzu mężczyzn. Patko.

Gdy tak idziemy, ktoś szepcze:

– Pomożemy wam, jak tylko zdołamy.

I:

– Nie bójcie się, dzieci. Będzie dobrze.

Chuda kobieta chwyta mnie za rękę i ściska mocno.

– Modlimy się za was – mówi.

ROZDZIAŁ 23

DEAN

DZIEŃ 33

– W bagażniku jest dziecko! – wyszeptała Astrid, pośpiesznie odpięła pas i otworzyła drzwi.

Mało nie wypadłem z samochodu.

Niko rozpaczliwie szukał przycisku do otworzenia bagażnika.

Znalazł jakąś wajchę, pociągnął, kłapa się podniosła, pobiegłem za samochód i ją zobaczyłem. Kilkuletnią dziewczynkę z czarnymi włoskami mokrymi od potu. Skórę miała karmelową, a oczy wielkie i brązowe. Była w sukieneczce i małych, białych butach.

Na widok mnie i Astrid wybuchnęła płaczem.

Astrid podeszła do niej i wzięła ją na ręce.

Spojrzała na mnie.

– Kartonik z sokiem. Natychmiast.

Chwyciłem sok, a Niko podszedł do bagażnika.

– Kurczę – jęknął.

– No – mruknąłem, wkładając słomkę do kartonika i podając go Astrid.

Szalona (a teraz już martwa) matka dziewczynki umościła jej niezłe posłanie w bagażniku sedana.

Były koce i dwa czy trzy kubeczki niekapki.

Z boku leżała nawet wielka paczka pieluch.

– Utknęliśmy w korku czy jak? – wymamrotał Jake, zataczając się w naszą stronę. Dopiero wtedy ją zauważył. – Hej, a kto tu wpakował to dziecko?

Poklepał małą po plecach. Drgnęła pod jego dotykiem i rozplakała się jeszcze bardziej.

– Jej mama – powiedziałem, wskazując mu głową bagażnik, żeby zobaczył posłanie.

– Aha. To... to...

– Smutne? Przerażające? Tragiczne? – podpowiedziała mu Astrid, usiłując jakoś utulić małą.

– To fuks, że ją znaleźliśmy w porę – dokończył Jake.

– Okej, okej – rzucił Niko. – Musimy się zastanowić. Zjechać z drogi i się zastanowić.

– Najpierw to muszę ją przewinąć – stwierdziła Astrid.

Powąchałem dzieciaka. Tak, najpierw trzeba by ją przewinąć.

Astrid trzymała dziewczynkę na kolanach i tak dojechaliśmy do pierwszego zajazdu dla ciężarówek, dwadzieścia kilometrów dalej.

– Jak masz na imię, kochanie? – spytała Astrid dziewczynkę, ale odpowiedziało jej milczenie. Może mała w ogóle jeszcze nie mówiła. Trudno było powiedzieć, ile ma lat. Może dwa, może mniej.

Na tylnym siedzeniu wziąłem jeden z albumów, które przedtem wrzuciliśmy za oparcia.

Zaczynał się od zdjęcia mamy, którą widzieliśmy. Była w zaawansowanej ciąży i przytulała się do męża. Potem kilka tych lekko rozbieranych zdjęć brzucha z męskimi dłońmi ułożonymi w nabożnym skupieniu na wielkiej kuli.

Potem fotografie poczekalni w szpitalu. Grupki rodziców. Dwie rodziny, jedna czarna, jedna biała, czekające z przejęciem. Starsze dzieci bawiące się cygarami z gumy do żucia.

Tata z szerokim uśmiechem przekazujący im dobre wieści.

Matka trzymająca małe, wijące się, rozwrzeszczane dziecko.

Mnóstwo zdjęć starszego chłopca trzymającego noworodka na rękach.

Kuzyn? Brat?

Kilka dość żenujących jak dla mnie zdjęć karmienia piersią.

A potem wśród rozlicznych fotografii małej dziewczynki ubranej w przesłodkie ciuszki, opaski na głowę, kaptury z uszami zwierzątek znalazłem wreszcie to, czego szukałem:

Nasza córcia jest już z nami!

Rinée Lea Manning

Urodzona 14 maja 2022 o 23.56

3,4 kilograma • 50 centymetrów

– Mam – powiedziałem. – Ma na imię... Rin-ee?

– Rin-ee? Jak to się pisze? – spytała Astrid.

Przeliterowałem jej imię razem z akcentem.

– Założę się, że to się czyta „Renée”. Czy twoje imię wymawia się Renée, kochanie? – spytała dziewczynkę.

Mała pokiwała głową i bardzo cicho powiedziała:

– Łinée.

Było to pierwsze słowo, jakie udało nam się z niej wydobyć.

Niko wjechał na parking przy stacji. Była to jedna z tych naprawdę dużych z kilkoma fastfoodowymi restauracjami. Na parkingu było pełno samochodów. Kto wie, ile jedzenia jest jeszcze w tym budynku.

Zaparkował na skraju parkingu – z dala od pozostałych samochodów, blisko końca asfaltu, za którym zaczynał się mały lasek.

Wysiedliśmy wszyscy.

Miło było znów być na zewnątrz. Popołudnie było złociste. Niedługo czas na kolację, jeśli w ogóle nas na jakąś stać.

Astrid oparła się o samochód. Dziewczynka się jej wrywała. Widać było, że chce na ziemię.

– Dobrze, dobrze – wysapała Astrid.

Dziewczynka pomaszerowała prosto w stronę kałuży kilka metrów dalej.

– Będę miał na nią oko – obiecałem.

Astrid wyglądała na wykończoną.

Rinée spojrzała na mnie podejrzliwie. Kiedy podałem jej rękę, odeszła w drugą stronę, jeszcze bliżej kałuży.

– Co robimy? – spytała Astrid Nika.

Rinée wskoczyła w kałużę i cała się zachlapała.

– Faj! – powiedziałem z uśmiechem.

– Faj! – powtórzyła.

– Nie możemy jechać z nią – powiedział Niko. – Dziecko musi wrócić.

– Nie możemy przecież wrócić do Vinity – zaprotestował Jake. – Zapomnieliście o wietrze czy co?

– Może już się przesunął gdzieś indziej – powiedziała bez przekonania Astrid.

– Faj! – krzyczała Rinée, chlapiąc z zapamiętaniem.

Kucnęła i zaczęła chlupać rączkami w wodzie. Tego już nie zdzierzyłem.

Pochyliłem się i chciałem ją podnieść.

Wykrzywiła się, jakby się miała rozplakać, więc podrzuciłem ją w górę.

Roześmiała się.

– Jecie! – zawołała.

– Jecie?

– Jecie do góry!

Jeszcze do góry. Okej. Znaczą się Rinée umie jednak werbalnie wyrażać swoje pragnienia. Dobrze wiedzieć.

Znów ją podrzuciłem, a ona wybuchnęła śmiechem – radosnym jak dzwoneczek.

To był słodki dźwięk.

Roześmiałem się razem z nią.

– Musimy ją zabrać z powrotem, Jake. Ona ma tatę. Który na pewno szaleje z niepokoju.

– Który z pewnością nie żyje! – ryknął Jake. – Taka jest prawda!

Zrobił się cały czerwony na gębie i wybuchnął płaczem.

– Jak jej matka. Która by żyła... – łkał. – Która by żyła, gdybym był szybszy, sprytniejszy, nie wiem, LEPSZY. Gdybym zastrzelił tamtego faceta, ona by żyła!

Astrid podeszła do niego i go przytuliła.

Łkał jej w szyję.

Dam radę, pomyślałem. Są przyjaciółmi. Od tego się ma przyjaciół, żeby się pocieszać w takiej sytuacji.

Ale on ujął w dłonie jej głowę, jej piękne jasne włosy, które tak źle obciąłem, i pocałował ją.

– Na dół! – zażądała Rinée.

Pozwoliłem jej zsunąć się na ziemię, gdzie znów zaczęła tańczyć w kałuży.

Astrid odepchnęła Jake'a, najpierw delikatnie, a potem mocniej. Zatoczył się.

– Odbiło ci? – zawołała.

Ale czy nie odepchnęła go o moment za późno?

Przecież przez chwilę dała mu się całować.

Zacisnąłem dłonie w pięści. Ruszyłem między drzewa.

– Dean?! – krzyknęła Astrid. – Dean!

Chrzanić ją. Chrzanić ich oboje.

Nie było nawet żadnego pnia, na którym można by usiąść i sobie wszystko przemyśleć. Tylko gąszcz krzaków i trochę śmieci walających się w trawie.

Brnąłem w las, póki nie straciłem z oczu parkingu i moich „przyjaciół”.

Nawet w końcu znalazłem drzewo na tyle grube, żeby się dało na nim przysiąść.

Myślałem o Aleksie. Zostawiłem brata, którego tak kochałem, żeby zadbać o Astrid. Podjąłem to ryzyko – to duże ryzyko – po co? Na co? Przecież ona może w każdej chwili wrócić do Jake’a. Ma prawo. Nie jesteśmy przecież małżeństwem.

Zostawiłem brata zupełnie bez powodu.

Długo siedziałem tam i przeklinałem własną głupotę.

Potem przyszedł Niko. Miał przy sobie pistolet, który Jake zabrał kierowcy.

– Hej – powiedział.

Wskazałem głową broń.

– Wybierasz się na polowanie?

– Nie... Słuchaj, myślę, że najlepiej będzie, jak dalej pojedę sam. Wejdę do budynku stacji i zobaczę, może ktoś mnie podwiezie.

– Dobra – wybąkałem.

– Jeśli nie uda mi się złapać stopa, to może ukradnę samochód – ciągnął, mówiąc bardziej do siebie niż do mnie. – A jeśli nie, to ostatecznie mogę

ić na piechotę.

– Mogę iść z tobą – wymamrotałem.

Niko spojrział na mnie zdumiony. Odgarnął z oczu długie, proste, brązowe włosy.

– Skoro Astrid chce być z Jakiem, to powinienem ich zostawić w świętym spokoju. Tylko im przeszkadzam. A tobie może się przydać pomoc.

– Dean – odezwał się Niko. – To najgłupsza rzecz, jaką w życiu od ciebie słyszałem. Serio.

Z oddali słychać było radosne piski Rinée. Jake pewnie podrzucał ją teraz w górę.

– Kochasz Astrid. Wiem, że tak jest. Dlaczego miałbyś ją zostawiać z Jakiem?

– Bo... bo ona mnie kocha tylko trochę. Kocha mnie tak odrobinę. Nie tak całkiem jak ja ją. I niby wiem, że ona potrzebuje czasu i że dużo przeszła, ale tak sobie myślę, że może nigdy nie pokochać mnie tak, jak ja kocham ją! – Otarłem oczy wierzchem dłoni. – To naprawdę żalosne. Zostawiłem biednego Aleksa, bo ubzdurało mi się, że muszę ją chronić. A co, jeśli ona w ogóle nie będzie chciała ze mną być? Nigdy nie okazuje uczuć. Przez większość czasu w ogóle nie zachowuje się tak, jakby była moją dziewczyną.

– Dean, czy ty wiesz, czym jest miłość? – spytał Niko.

Spojrzałem na niego.

To było dość głupie pytanie. Takie, za jakie normalnie ma się przechlapane, ale znałem już Nika. Wiedziałem, że czasem mówi dziwne rzeczy.

– Miłość nie polega na tym, jak się czujesz przy danej osobie, ani na tym, co ona robi dla ciebie. Miłość polega na tym, co ty czujesz do niej –

powiedział.

Stał tam podświetlony promieniami zachodzącego słońca.

Wtedy mnie olśniło.

– Miłość jest tym, co ty czujesz do kogoś. Reszta to szczegóły – powiedział.

Oparłem głowę o mizerne drzewko za plecami.

– To kochasz ją czy nie?

Pokiwałem głową.

– W takim razie przestań się przejmować Jakiem i tym, czy Astrid kocha cię tak samo jak ty ją, tylko po prostu rób swoje.

– Masz na myśli to, że mam ją po prostu kochać, tak?

– No i zadbać o jej bezpieczeństwo.

– Zachowałem się jak idiota – stwierdziłem odkrywczco.

– No, tak by to trzeba określić.

Wstałem. Niko podał mi pistolet.

– Weź to. Tamten facet wciąż może być w okolicy. Powinieneś mieć broń, żeby móc bronić Astrid.

– A tobie się nie przyda?

Pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że jeśli nie mam przy sobie broni, to stanowią mniejsze zagrożenie – mruknął.

Stał teraz do mnie bokiem. Nad czymś się zasepił.

Niko Mills. Znow mi ratuje tyłek.

– Powodzenia – powiedziałem i wyciągnąłem do niego rękę.

– Nawzajem – odparł. – Widzimy się na Red Hill Road, w New Holland, w Pensylwanii.

– Red Hill Road, New Holland, Pensylwania.

Wróciliśmy razem do samochodu.

Astrid sortowała graty z tylnego siedzenia.

Wystawiła na parking wiatrak, pudło z naczyniami, doniczkę i kilka innych rupieci, które uznała za zupełnie nieprzydatne.

Rinée była zajęta kopaniem łyżeczką w doniczce. Ostrożnie wysypywała ziemię na asfalt i przyklepywała wierzchem łyżki.

– Dean – powiedział Jake, wstając. – Zachowałem się jak kretyn. Jestem skończonym dupkiem. Przepraszam.

– Spoko – odparłem. – Rozumiem. Zapomnijmy o sprawie.

Podszedłem do Astrid.

– Już okej? Na pewno? – spytała mnie szeptem. – Jestem na niego taka wściekła.

– Wiesz co? To ja się zachowałem jak zazdrosny idiota. Przepraszam. Już mi lepiej.

Astrid spojrzała na mnie z ulgą. Może nawet z uznaniem.

Klasnąłem w dłonie.

– No to czas odwieźć dziecko do ojca.

Rinée zadarła główkę i też zaczęła klaskać.

Astrid przytuliła mocno Nika na pożegnanie.

Jake uściskał mu dłoń.

Ja też mocno go przytuliłem.

Obiecaliśmy sobie, że wkrótce się zobaczymy. Boże, jaką miałem nadzieję, że tak będzie.

Potem prowadziłem, a Jake jechał na miejscu pasażera.

Astrid i mała spały razem na tylnym siedzeniu, gdzie zrobiło się znacznie więcej miejsca, gdy już Astrid wyrzuciła większość rzeczy.

Na kolację wypiliśmy po koktajlu proteinowym.

Mieliśmy dokładnie 217 dolarów. Podzieliliśmy to na pół – połowa dla Nika, połowa dla nas. Wydawało mi się, że właściwie Niko powinien dostać więcej, bo my braliśmy przecież samochód, ale on się uparł, że nie chce.

Zamierzaliśmy korzystać z naszych 108 dolarów jak najoszczędniej się da.

Musieliśmy jednak zatankować. Było to dość dziwne przeżycie.

Facet na stacji zadzwonił pod numer 800. Kazał mi podać mój numer ubezpieczenia jakiejś babie, która poinformowała go następnie, że moje punkty paliwowe na ten tydzień zostały już wykorzystane.

Facet spojrzał na mnie, jakbym był kryminalistą.

Ktoś zhakował moje konto i zużył wszystkie punkty, a facet patrzy na mnie, jakby nie wiem co.

Konto Jake'a było jednak nietknięte. Ten to zawsze ma szczęście.

Facet dał nam cały przydział Jake'a. Okazało się, że to tylko pół baku.

Powinniśmy dojechać na tym do Vinity i może jeszcze kawałek.

– Hej – zagadnął Jake w samochodzie. – Pamiętasz, jak się naćpaliśmy?

Wtedy w sklepie?

– No – mruknąłem. – To było niezłe.

– Chłopie, co ja bym teraz dał za kilka tabletek obezine'u, co nie?

– No, może.

– Gdybyśmy mogli sobie na to pozwolić oczywiście. No, wiesz – dodał pośpiesznie Jake.

– Wiem.

I wiedziałem, że tak naprawdę marzy o tej butelce whisky, którą Astrid schowała w bagażniku. Widziałem, jak ją tam kładła, i patrzyłem, jak Jake odprowadza butelkę wzrokiem.

Ale zamiast myśleć, jaki z niego pijak i ćpun, zamiast się nakręcać, po prostu pomyślałem sobie, że Jake już taki jest.

Słońce całkiem zaszło i zrobiło się ciemno.

Po chwili Jake zasnął.

Jechałem może godzinę, nim coś sobie uświadomiłem.

Obudziłem Astrid.

– Wiesz co, jeśli przyjedziemy tak w środku nocy, nie będziemy nawet widzieli, kto jest w domu. A ten facet z grupą 0 może nadal tam grasować.

– To co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? – spytała.

– Może znaleźć jakieś bezpieczne miejsce i zdrzemnąć się w samochodzie.

– Okej – zgodziła się, ziewając.

Zjechałem z autostrady na najbliższym zjeździe i wylądowaliśmy na drodze prowadzącej przez pola kukurydzy, po której zostały tylko kikuty sięgające do kolan. Wszędzie było płasko – naprawdę płasko.

Rozglądałem się za jakąś kryjówką dla naszego samochodu. Kilka wysokich drzew otaczało małe gospodarstwo kawałek dalej, ale nie chciałem podejźdzać za blisko żadnego domu, żeby nie zaniepokoić jego mieszkańców.

Nie bardzo wiedziałem, gdzie się schować.

Wszyscy w samochodzie spali.

Przejechałem jeszcze kawałek. W końcu zobaczyłem gospodarstwo, a potem, zaraz za farmą była polna droga, która wyglądała na dojazdową.

Wokół rosło kilka drzew.

Skręciłem w nią i zaparkowałem na trawie między dwiema sosnami.

Nikt się nie obudził.

Wszyscy byli wykończeni – jedno z przepicia, drugie z powodu ciąży, a trzecie od siedzenia w bagażniku przez dobre cztery godziny. Bogu dzięki, że Astrid w ogóle usłyszała to dziecko.

Wysiadłem z samochodu.

Powietrze było zupełnie nieruchome.

Wziąłem kombinezon i maskę, tak na wszelki wypadek. Zakładałem, że w razie czego gwizdek ostrzegawczy da mi dość czasu, żeby się ubrać.

Słychać było pohukiwanie sowy, a w chłodnym powietrzu nocy zapach sosen był naprawdę intensywny.

Czasami zmysły mogą przez chwilę oszukać umysł. Do tego stopnia, że można zapomnieć na moment o wszystkich katastrofach i po prostu wdychać rześkie, wiejskie powietrze.

Usiadłem na jednym z większych drzew.

Kilka minut później przyszła Astrid.

– Myślisz, że powietrze jest bezpieczne? – spytała.

Pokazałem jej maskę.

– Wziąłem tak na wszelki wypadek.

Wyciągnęła swoją maskę z samochodu i siadła przy mnie.

– Rinée nic nie jest...? – zacząłem, ale uciszyła mnie pocałunkiem.

Księżyc świecił jasno, a jej dłonie dotykały mojej twarzy. Pocałowała mnie delikatnie. Pocałunek na przeprosiny.

Spijałem widok jej wielkich oczu, różowych ust, zagłębienia obojczyków.

– Świetnie się nią dziś zajmowałeś – powiedziała.

– A jak ty się czujesz? – spytałem. – Masz jeszcze skurcze?

Pokręciła głową.

– Jestem tylko trochę zmęczona, to wszystko.

Wtuliła się we mnie i zapatrzyliśmy się w nocne niebo.

– Pamiętasz, jak byliśmy na usg i powiedziałeś, że to prawdziwe dziecko?

– No.

– Cały czas mam to uczucie. Nie mogę uwierzyć, że rośnie we mnie prawdziwe dziecko. Tuż pod skórą! Mały człowieczek! I że wyjdzie i będę wtedy prawdziwą matką. To jakieś surrealistyczne.

– Będiesz świetną mamą – powiedziałem, choć wypadło to banalnie.

– Hm, to się okaże – roześmiała się. – Ale ty na pewno będziesz świetnym tatą.

Przymknąłem oczy.

Myślała o nas jako o rodzinie. Naprawdę.

Muszę sobie to zapamiętać. Muszę pamiętać o tym, gdy Jake znów będzie próbował doprowadzić mnie do szału.

– Masz jakieś nowe pomysły na imię?

Astrid nie chciała nikomu zdradzić swojej listy imion dla dziecka.

– Ferdinand, jeśli to chłopiec – powiedziała z poważną miną. – Albo może Algernon.

– Ładne. W skrócie Alga.

Wybuchnęliśmy śmiechem pod gałęziami sosny. Nad nami migotały gwiazdy.

ROZDZIAŁ 24

JOSIE

DZIEŃ 33

Próbuję namówić maluchy, żeby poszły do pokoju tamtej matki, ale się zaparły.

– Umiemy walczyć – mówi Freddy, podskakując na palcach. – Jesteśmy zerami, tak jak ty.

– Nie jesteście takimi zerami jak ja – syczę przez zęby. – I mam nadzieję, że nigdy nie będziecie.

– W każdym razie jesteś jedną z nas i będziemy cię bronić – upiera się. – Trzymamy się razem.

– No, tak, chyba tak – poddaję się i targam mu włosy.

Zaczynamy zastawiać drzwi meblami.

Najpierw przesuwamy wielkie łóżko. Jest z drewna i przez to cięższe niż nasze piętrowe z metalu. Na nie stawiamy komody.

Jak we wszystkich „apartamentach” i w naszym stoją dwie komody. Identyczne, zrobione ze sklejki z brzoźową okleiną. Obie prawie całkiem puste, bo przecież nikt z nas nie ma dodatkowych ubrań.

W dolnej szufladzie jednej obija się para starych męskich butów. Pan Mario trzyma je na czarną godzinę, żeby móc je wymienić na jedzenie.

Poza tym mamy w nich jeszcze kilkanaście paczuszek cukru i jedną solniczkę, którą pan Mario zwinął z Plazy 900 pierwszego dnia. To też na wymianę.

Siadam na brzegu łóżka. Moje ciało może trochę dociążyć naszą żalną barykadę.

Wiemy, że jest dziewiąta, gdy słyszymy sygnał przez szczekaczki i gasną światła.

Lori próbuje zagonić maluchy do drugiego pokoju, żeby poszły do łóżka.

– No naprawdę – denerwuje się. – Co by wam kazał zrobić pan Mario? Kazałby wam iść spać i dobrze o tym wiecie.

– Nie jestem zmęczona! – upiera się Heather.

– Mamy spać? No nie! – protestuje Freddy.

Lori próbuje położyć mu rękę na ramieniu, ale się jej wymyka.

– Powinniście się położyć – próbuję jakoś jej pomóc.

– Zostaję, żeby walczyć! – odparowuje Freddy.

– Ja też – dołącza Aidan. – Jestem ci to winny po tym, jak przeze mnie miałaś kłopoty z Vengerem.

– Nic mi nie jesteś winny – zapewniam. – Venger chciał mnie dorwać od samego początku. Tylko czekał na pretekst.

– Tak czy siak nie idę spać i kropka! – krzyczy.

– Właśnie! Nie idziemy do łóżka! Mowy nie ma.

– Dobra – syczy Lori. – Nie chcecie spać, to nie! Nic mnie to nie obchodzi!

Podchodzi do okna i wpatruje się w lekko fluorescencyjne niebo nad naszym obozem.

Drapię się po głowie.

– Mówiłam wam kiedyś o pani Wooly? – pytam.

Aidan patrzy na mnie podejrzliwie, jakby to był jakiś podstęp.

– Kim jest pani Wooly?

– Co za głupie nazwisko – dodaje Freddy, wciąż podskakując na palcach.

– Wiecie co? – mówię. – Pójdziecie do łóżka...

Chórek „nie” i „mowy nie ma”.

– Pójdziecie do łóżka i opowiem wam historyjkę.

Trzy pary skrzyżowanych ramion i twardych spojrzeń.

– Słuchajcie, walki i tak raczej się nie da przespać – przekonuję ich. – Jeśli przyjdą Unitarianie, na pewno się obudzicie. A tu jest tak zimno. Zobaczcie, Heather już się trzęsie.

To prawda.

Zima zbliża się wielkimi krokami, a po zachodzie słońca robi się naprawdę chłodno. Postanawiam sobie w duchu, że jeśli przeżyjemy tę noc, to spróbuję za buty zdobyć jakieś koce.

Wielu więźniów nosi swoje koce w ciągu dnia niczym grube szale. Chłopcy jak na razie się upierają, że to nie w ich stylu, ale ta duma pewnie zniknie bez śladu, gdy temperatura naprawdę spadnie.

– Idźcie do łóżek. Tam przynajmniej będzie wam cieplej.

Idą.

Aidan i Freddy pakują się na górne. Heather leży na dolnym. Lori nie zamierza spać, widać to od razu, ale kładzie się z Heather, żeby ją ogrzać.

– Co to za głupie nazwisko „Wooly”? – pyta znów Freddy.

– Zabierasz mi koc – marudzi Aidan.

Opatulam ich starannie.

Cztery pary wielkich, przerażonych oczu.

Siadam na podłodze przy ich łóżku.

– Dzień przed trzęsieniem ziemi i wyciekami chemikaliów jechałam szkolnym autobusem. Siedziałam obok mojej przyjaciółki Trish i rozmawiałyśmy o... Pamiętam, że rozmawiałyśmy o szczegółach kiermaszu wypieków, który organizowałyśmy, żeby zebrać pieniądze na reformę imigracyjną. Zaczęło się gradobicie, ale nie był to zwykły grad. Był ogromny, naprawdę gigantyczny. Niektóre bryły lodu miały wielkość piłki do kosza! Jakby ktoś strzelał do nas z armat. Nasz

kierowca, pan Green, przyspieszył i stracił panowanie nad autobusem. Rozbiliśmy się.

Przypomina mi się zapach lodu w powietrzu, smród krwi.

– Nasz autobus rozbił się na parkingu marketu Greenway.

– Też mamy Greenwaya w Castle Rock – mówi Aidan.

Kiwam głową.

– I tu zaczyna się opowieść o pani Wooly. Otóż pani Wooly siedziała za kierownicą innego autobusu, który jechał tuż za nami. Były w nim dzieci z podstawówki i gimnazjum. W jej autobusie jechały naprawdę małe dzieciaczki, nawet pięciolatki. Pani Wooly uwielbia dzieci. Nie widać tego na pierwszy rzut oka, bo jest dość oschła, ale tak naprawdę jest gotowa zrobić wszystko, żeby ratować maluchy.

Heather wyciąga kciuk z buzi i mówi:

– Jak wujek Mario.

Czy ona zawsze ssała kciuk? Bo jakoś dotąd tego nie zauważyłam.

– Tak, jest trochę jak pan Mario, tylko dużo młodsza. W każdym razie grad porzbił już okna autobusu, więc pani Wooly bała się o bezpieczeństwo dzieci. Wtedy zrobiła coś zupełnie szalonego.

W łóżku panuje zupełne milczenie, więc już wiem, że je mam.

– Wjechała autobusem wprost przez szklane drzwi Greenwaya! Ale, jak pewnie pamiętacie, ja wciąż byłam w naszym autobusie, który na zewnątrz leżał przewrócony na boku. Kule lodu wpadały przez okna prosto na nas. Jedna uderzyła mnie w głowę, stąd mam tę bliznę. – Dotknęłam palcami ciemnego znaku, wciąż czułam w tym miejscu spore wgłębienie. – Pani Wooly kazała dzieciakom wysiąść z autobusu i czekać w sklepie, bo tam było bezpiecznie. Tymczasem silnik naszego wozu zaczął się palić. Od wybuchu dzieliły nas już tylko minuty. Wszyscy byśmy zginęli.

Ciche okrzyki przerażenia w łóżku. Wiercenie się przejętych dzieciaków.

– A potem pani Wooly wycofała autobus z powrotem na parking. Siekierą rozrąbała wyjście awaryjne i pomogła nam się wydostać.

Urywam – nie dla efektu, tylko dlatego, że nagle przypomniałam sobie, jak Niko ciągnął mnie uparcie do wyjścia.

A potem Astrid trzymała mnie na kolanach w autobusie. Trzymała mnie, jakbym była niemowlakiem.

Chyba nigdy jej nawet nie podziękowałam za te chwile w autobusie, a teraz jest już oczywiście za późno. O wiele za późno.

– I co potem? – pyta Heather.

– Czy ten drugi autobus wybuchł?

– Tak – mówię i potrząsam głową, żeby się skupić na opowiadaniu. – Pani Wooly wjechała do sklepu, a nasz stary autobus eksplodował, nim dotarliśmy do środka. Uratowała nam życie, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

– Ojej! – szepcze Heather.

– Byliśmy tam bezpieczni – ciągnę opowieść. – Mieliśmy mnóstwo jedzenia, a nawet światło i ogrzewanie. I wszystkie ubrania, o jakich mogliśmy zamarzyć. Wyobrażacie sobie?

– Och jej! – wzdycha Lori. – Byłabym gotowa zabić za czystą bieliznę.

– A zabawki? Mieliście też zabawki? – pyta Aidan.

– Całe regały pełne zabawek – mówię. – I cukierków!

Nie męczą mnie już więcej pytaniami. Widzę, że cała czwórka rozmarzyła się na myśl o bezpiecznym miejscu pełnym zabawek i słodyczy.

W Greenwayu snułam fantastyczne opowieści o pani Wooly, która nas uratuje jakimś odjechanym minivanem, a dzieci marzyły o powrocie do normalnego życia i rodziców.

W Cnotach relacjonuję tylko prawdziwe dokonania pani Wooly i dzieci marzą o życiu w Greenwayu.

Przedziwne.

Ukojone moją prawdziwą baśnią dzieci usypiają spokojnie.

Siadam na łóżku pod drzwiami.

Jakieś pół godziny później przychodzi Lori i siada obok.

– Myślisz, że pan Mario z tego wyjdzie? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Jest twardy – odpowiadam. – Ale stary.

– Jak myślisz, co z nami będzie? – pyta.

– Proszę cię, nie zaczynaj.

– Nie zaczynaj czego? Mam nie zaczynać rozmowy? Nie próbować być twoją przyjaciółką? Boże, co z tobą nie tak?

Uciszam ją. Jeszcze pobudzi dzieci.

– Wydaje ci się, że jesteś w o wiele gorszej sytuacji niż my, co? – narzeka. – Jesteś taka zadufana w sobie.

Parskam śmiechem.

Tak bardzo się myli.

– Nawet mi nie odpowiesz?

– Powinnaś się zdrzemnąć.

– Wiesz dobrze, że gdybyś tylko pozwoliła mi zrobić to, co powinnam zrobić z tymi chłopakami, nie byłibyśmy teraz w takich opałach.

– Chciałaś uprawiać z nimi seks? – pytam.

Nie patrzy mi w oczy.

Staje przy oknie. Ręce ma skrzyżowane na piersi, bo tak jej zimno. W nieziemskim blasku księżyca widzę jej gęsią skórę na niebiesko.

– Nie chciałam – mówi. – Ale mogłabym. Żeby nas chronić. To przecież nie byłby koniec świata.

– Hmm, tego nie wiesz. To mógłby być koniec twojego świata. Czasami nie da się poświęcić aż tak wiele...

– Można robić rzeczy, których się nie chce zrobić, jeśli prowadzą do czegoś dobrego.

– Nie. Czasami nie da się poświęcić aż tak wiele – powtarzam. – Po prostu się nie da.

Wciąż na mnie nie patrzy.

– Zrobiłabym wszystko, żeby chronić dzieci.

– Zabiłam, żeby chronić moje – mówię.

I na ścianie naszego nędznego pokoju niczym na ekranie w kinie znów widzę Robbiego, pistolet wycelowany w Nika, mrok między regałami.

Widzę oszalałego żołnierza w lesie, widzę, jak pędzi za Makssem.

Och, jaką poczułam radość, gdy zerwałam maskę z twarzy i wzięłam wdech, wypełniając płuca wściekłością i żądzą mordy. Jaka byłam silna, gdy rąbnęłam jego głową o kamień.

I ojca tamtego chłopca.

Który zastawił pułapkę i złapał w nią moich przyjaciół.

Widzę moje ukochane maluchy, mojego wiernego Nika, moją starą-nową rodzinę uwieczoną na dnie dziury i tego faceta świecącego im po oczach latarką, dumającego, czy darować im życie czy nie.

Wbiłam mu zęby w szyję jak wampir, oderwałam kawał mięsa i pozwoliłam się wykrwawić, gdy miał wzrok utkwiony w bezgwiezdne, błotniste niebo.

Cieszyło mnie to.

Lori podchodzi bliżej, staje przy mnie, kładzie mi rękę na ramieniu.

Czy zdradziłam się z moją rozpaczą?

Może widziała w moich oczach odbicie tych wszystkich scen?

Przychodzą około północy.

Najpierw zgrzyt naciskanej klamki.

Jakbyśmy mogli przypadkiem zapomnieć zamknąć drzwi na klucz.

Potem palce gmerają przy zamku.

Patrzemy po sobie z Lori.

Jeśli mają jakiś sposób na rozpracowanie zamka, to już po nas.

Stuk-puk, zgrzyt. Nie.

Nie mają.

– Hop! Hop! – słyszymy śpiewny głos. – Jest ktoś w domu?

I śmiech. Urwany nagle, może szturchańcem w brzuch.

Stuk-puk.

– Chcemy się zobaczyć z Josie – mówi głos. To chyba Carlo.

A potem ŁUP, próbują wybić drzwi kopniakiem.

– Zostawcie nas w spokoju! – krzyczy Lori.

Dzieci już się obudziły, już patrzą z progu drugiego pokoju.

ŁUP, ŁUP! Znow walenie w drzwi.

Drży łóżko, grzechoczą komody.

– Chcemy tylko z tobą porozmawiać, Jojo – mówi Carlo znow tym śpiewnym tonem. – Bardzo brzydko się zachowałeś względem Bretta i Juaniego.

– Idźcie stąd! – krzyczę. – Nie wyjdę do was!

– Nieźle ich obijaś! – odzywa się inny mężczyzna.

– Zostawcie te dzieciaki w spokoju! – słyszę jakiś piskliwy głos. Może to ta chuda kobieta. – Wszyscy wiemy, że tu jesteście! Doniesiemy na was!

– „Doniesiemy na was” – przedrzeźnia ją ktoś. – A niby komu? Vengerowi? Przecież to on nas tu wpuścił!

– Właśnie! Każdy, kto pomaga Josie, jest na jego czarnej liście. Lepiej, żebyście o tym wiedzieli! – ryczy ktoś inny.

Słyszymy, jak walą w inne drzwi na korytarzu.

– Zostawcie tę dziewczynę w spokoju! – krzyczy jakiś głos.

– Pokój trzysta cztery. Zapisz to, Ray – mówi Carlo tak głośno, żeby wszyscy na pewno usłyszeli.

Potem ŁUP, ŁUP, ŁUP – uderzają czymś w drzwi. Może to łańcuch. Metal przy zamku zaczyna się lekko odginać. Pcham łóżko z całych sił.

Całe się trzęsie przy każdym walnięciu w drzwi, ale zamek trzyma.

Lori i dzieciaki rzucają mi się na pomoc.

Unitarianie nie mogą dostać się do pokoju.

Przestają się dobijać i w uszach mi huczy od nagłej ciszy.

Potem nagle uprzejme pukanie do drzwi.

– Och, Josie! – woła Carlo.

– Czego? – pytam.

– Drzwi są zamknięte. Więc widzimy się jutro!

ROZDZIAŁ 25

DEAN

DZIEŃ 34

Noc spędziliśmy w samochodzie.

Astrid przytuliła się do Rinée na tylnym siedzeniu, a ja spałem na miejscu kierowcy.

Jake siedział rozwalony w fotelu pasażera, głowę oparł o szybę i chrapał jak niedźwiedź. Gdybym nie był taki zmęczony, tobym pewnie nie zasnął w tym hałasie.

Obudził nas płacz Rinée.

– Ciii – mrucała Astrid. – Wszystko jest dobrze.

Ale dziecka nie dało się uspokoić.

– Skończyły nam się soczki – stwierdziłem i zacząłem szukać czegoś do jedzenia dla dziewczynki albo w ogóle czegokolwiek, co by ją uspokoiło. Czuję, że nerwy mam w strzępach, i bałem się, że ten płacz, który właśnie przeszedł w ryk, zaraz mnie wykończy.

– A może koktajl proteinowy? – zasugerował Jake.

Ale tego akurat Rinée za nic nie chciała pić.

– Chodź, kochanie, przejdziemy się – powiedziała Astrid.

Otworzyła drzwi i dziewczynka zawyła jeszcze głośniej, wrywając się jej z rąk. Astrid postawiła ją na ziemi i dziecko pobiegło przed siebie.

– Chcesz, żebym z nią poszedł? – spytałem Astrid.

Pokiwała głową. Cienie pod jej oczami zaczynały mnie coraz bardziej niepokoić. Były dobitnym dowodem na to, że nie wyspała się raczej za wszystkie czasy ściśnięta na tylnym siedzeniu mazdy z prawie dwuletnim dzieckiem.

Ruszyłem za Rinée. Było chłodno, właściwie to całkiem zimno.

– Wróćmy po koc, Rinée – powiedziałem. – Chodź. Żebyś nam się nie przeziębila.

Podszedłem, żeby wziąć ją na ręce, ale roześmiała się i zaczęła uciekać.

Dobrze, możemy się tak bawić. Byle tylko nie ryczała.

Czułem, że przydałaby mi się kawa, mimo że wcale nie lubiłem jej smaku. Ale potrzebowałem czegoś, co by uruchomiło mój mózg.

W końcu pozwoliła mi się wziąć na ręce. Dmuchałem jej w kark, aż zachichotała. I wtedy się zorientowałem, że ma mokro – bardzo mokro w pieluszce.

Gdy obróciliśmy się w stronę samochodu, bagażnik był otwarty.

Zza klapy wyłoniła się twarz Jake'a, ale na mój widok zniknęła.

Gdy podszedłem bliżej, zamknął bagażnik.

– Patrz, co znalazłem – powiedział, podnosząc torebkę z herbatnikowymi zwierzątkami w lukrze. – Pomyślałem, że poszukam, czy nie mamy czegoś, co by zjadła...

Ale za plecami jakby chował koktajl proteinowy.

Zauważył, że to zarejestrowałem.

– Śniadanie. Smakuje trochę jak wczorajsza kolacja – zażartował.

Uśmiechnąłem się. Pokiwałem głową. To, co wyprawia Jake, nie jest moim problemem. Chce przemycać whisky w butelce po koktajlu, jego sprawa. Nie musiałem mu tego wypominać. Nawet nie musiałem mu mieć tego za złe.

– Gdzie Astrid? – spytałem.

– Poszła się wysikać.

Wróciła Astrid i przewinęła Rinée (muszę się nauczyć tej sztuki. I to szybko. Fuuuuj). Ruszyliśmy w dalszą drogę.

Ja prowadziłem, Astrid próbowała jakoś się zająć Rinée, a Jake sączył whisky z butelki po koktajlu.

To było dość dziwne uczucie, że ktoś się w twojej obecności z czymś kryje. Takie wielkie kłamstwo tuż obok, ale żadne z nas nic nie powiedziało.

Jestem pewien, że Astrid też czuła smród alkoholu. Ja na pewno czułem.

Jake opowiadał nam o swoim życiu w Teksasie, nim przeprowadził się do Monumentu. O mistrzostwach futbolu i o grillach, które sponsorzy urządzali dla drużyny.

Na śniadanie zjedliśmy kanapki ze stacji benzynowej. Czterdzieści dwa dolary. Pieniądze dosłownie się rozplływały.

Przemknęło mi przez myśl, że może tata Rinée da nam jakąś nagrodę za jej odnalezienie. Choć z drugiej strony, co będzie, jeśli pomyśli, że ją porwaliśmy? Czy nam uwierzy, gdy powiemy, że znaleźliśmy ją w bagażniku?

Jake nawijał bez przerwy. Astrid śmiała się z jego egocentrycznego monologu. Mnie tam nie było do śmiechu.

Myślałem o Vinicie. O tym, czego możemy się tam spodziewać.

Dom Rinée znalazłem w ten sposób, że najpierw pojechałem na stację, a potem odtworzyłem drogę.

Zwęglone resztki stacji jeszcze dymiły. Dwadzieścia cztery godziny później. Gdybym się zatrzymał, może zobaczylibyśmy krwawe resztki po naszym kierowcy, wbite w asfalt kości. Ale nie śmiałem się zatrzymywać.

Za to nie widziałem żadnych znaków wiatru. Nic w powietrzu, nic wirującego nad ziemią.

Przypomniał mi się opis świadka wściekłego wiatru, który czytałem jeszcze w Quilchenie w rozpadającym się egzemplarzu „National Enquirer”.

Dokładnie pasował do tego, co widzieliśmy poprzedniego dnia. Oczywiście kiedy to czytałem, trudno mi było traktować to poważnie – szczególnie że tuż obok był cały artykuł o tym, jak megatsunami zostało wywołane przez kosmitów za pomocą łodzi podwodnej, która potrafiła topić skały.

Artykuł o wściekłych wiatrach przedstawiał teorię, że składają się one z magnetycznej chmury zaciemnieniowej i chemikaliów oddziałujących na grupy krwi. Że termobaryczne bomby, którymi wojsko próbowało zniszczyć chemikalia i chmurę, tak naprawdę stopiły tylko jej składniki w jedno.

„Ziarna”, które widziałem, miały kształt kwadratów. Aleks uważał, że chmura zaciemnieniowa składa się z miniaturowych magnesików. Coś musiało trzymać je razem. W przeciwnym razie przecież by się rozproszyły. Wszystko to miało sens.

Żałowałem, że nie mogę omówić tego z Alekssem.

Nastrój w samochodzie stał się dość ponury, gdy skręciliśmy w uliczkę Rinée. Dziewczynka była zupełnie nieświadoma powagi sytuacji. Astrid już wcześniej znalazła za siedzeniem smoczek. Mimo że wydawał się okropnie mały (czy smoczki mają rozmiary?), Rinée była nim zachwycona, natychmiast wpakowała go sobie do ust i usnęła.

Część domów wyglądała zwyczajnie. Inne – jakby przeszło właśnie tornado. Powybijane szyby, na trawnikach ubrania i śmieci. Między chodnikiem a ulicą stał samochód ze zgniecionym bagażnikiem.

– To nie w porządku – wybełkotał zupełnie pijany Jake. – Rząd. Że nie ostrzega ludzi. To nie w porządku.

– Tak, tak, wiemy – mruknęła Astrid. Wiedziała już o whisky. Na pewno wiedziała.

Zatrzymałem samochód przed samym domem.

– Jeśli jest w środku, oddamy mu dziewczynkę i pojedziemy dalej. To proste – stwierdziła Astrid.

– A jeśli go nie ma? – spytałem.

– To nie wiem.

Staliśmy przed domem, który prawie na pewno był domem Rinée.

Ciała nie było.

Była krew na podjeździe i trawniku.

Ale ciała nie było.

Tylko ślad po nim.

Wyrwał mi się ten dźwięk – coś między jękiem a odgłosem zwierzęcego strachu czy rozpaczą.

Astrid położyła mi rękę na ramieniu.

– Nie musisz iść sam – powiedziała.

– Jasne, że nie – poparł ją Jake. Chciał złapać klamkę, ale nie trafił. – Jesteśmy drużyną. Ja i Booker.

Booker. Moje stare przezwisko. Że niby jestem takim nerdem, ale też trochę chyba liberałem jak prezydent Booker.

Tylko że Jake był tak pijany, że nie udało mu się nawet otworzyć drzwi.

– W porządku – powiedziałem, klepiąc go po ramieniu. – Sam to załatwię.

Włożyłem kombinezon i maskę. Astrid się pochyliła, żeby mi ją zapiąć. Sama też włożyła ustnik na wszelki wypadek.

Powietrze wydawało się rześkie, czyste i spokojne.

Jake schował twarz w dłoniach.

– Przepraszam – wymamrotał. – Coś mi siadło na żołądku.

– Hej, w porządku. Naprawdę – zapewniłem.

I mówiłem szczerze. Już nie czułem potrzeby oceniania go.

Przedtem schowałem pistolet pod fotelem, ale teraz go wyciągnąłem, choć trzęsła mi się ręka.

Rinée zaczęła płakać. Może przstraszyły ją maski. A może wyczuła napiętą atmosferę.

Otworzyłem drzwi.

Żadnego pisku czujnika w kombinezonie. Żadnego czerwonego światełka.

– Uf – mruknąłem.

Zdjąłem maskę i wrzuciłem ją do wozu.

Ruszyłem ścieżką – po krwi matki Rinée. Ślad ciągniętego ciała prowadził do domu obok. Ktoś ją tam widocznie zabrał.

Zapukałem. Żadnej odpowiedzi. Drzwi były otwarte.

– Dzień dobry! – zawołałem. – Mam na imię Dean. I... yyy...
zaopiekowaliśmy się pana córeczką. Przywieźliśmy ją z powrotem.

Cisza.

Stałem chwilę, mrugając. Będę musiał przeszukać dom. Przeszukać go, żeby się upewnić, że tata Rinée się gdzieś nie chowa albo że nie leży tu jego trup.

W korytarzu panował chaos odzwierciedlający stan umysłu matki dziewczynki. Wszędzie wałały się rzeczy, w tym – o Boże – plastikowa torebka pełna jedno- i pięciodolarowych banknotów i monet.

Podniosłem ją. Bez wahania. Pieniądze były nam potrzebne.

Sprawdziłem w każdym pokoju. Nawet w piwnicy. W szafach. Nikogo.

Wróciłem do samochodu i pokręciłem głową.

– Cholera – syknęła Astrid.

– Jedźmy do Teksasu – odezwał się Jake. – Zostawmy tu list, podajmy im adres mojej mamy.

– Nie. Powinniśmy zostać – zdecydowałem. – Powietrze jest czyste. A tata Rinée może przecież wrócić w każdej chwili. Teraz go nie ma, ale możemy tu poczekać.

Astrid pokiwała głową, zamknęła oczy, ręce położyła na brzuchu. Wyglądała na wykończoną. Dzień lub dwa odpoczynku dobrze by jej zrobiły.

– Jest tylko jedna rzecz, którą muszę sprawdzić – powiedziałem. – Muszę jeszcze pójść po tym śladzie. Upewnić się, że jesteśmy bezpieczni.

ROZDZIAŁ 26

JOSIE

DZIEŃ 34

Gdy już jesteśmy pewne, że sobie poszli, Lori wraca do drugiego pokoju, by położyć się spać z Heather.

Przesuwam jedną komodę i zwijam się na łóżku. Ale nie śpię ani dobrze, ani długo. Wiem, że mogą w każdej chwili wrócić.

Budzę się, gdy niebo jest koloru mułu, a słońce próbuje tchnąć odrobinę złota i ciepła w ten ponury świat.

Zamiast zdejmować komodę z łóżka, co wszystkich by pobudziło, ostrożnie podnoszę jeden koniec łóżka i przesuwam je na bok.

Żałuję, że nie mam ołówka, którym mogłabym nabazgrać choć kilka pożegnalnych słów na ścianie, albo czegoś, co mogłabym zostawić Lori, żeby ją przeprosić – jakiegoś podarunku, dzięki któremu by zrozumiała, że mi na nich zależy i że to właśnie dlatego muszę ich opuścić.

Beze mnie mają szansę.

Pan Mario wyzdrowieje i wróci, żeby się nimi opiekować. O to się modłę.

A nawet jeśli nie, ta dobra kobieta i inni ludzie, którzy rzucili się nam na pomoc w Plazie 900, zapewnią dzieciom bezpieczeństwo.

Lori jest twarda, da radę.

Nawet jeśli będzie musiała oddać swoje ciało za względny spokój, poradzą sobie.

A prawda jest taka, że dopóki jestem z nimi, ściągają na nich niebezpieczeństwo.
Więc ucieknę. Albo zginę podczas próby ucieczki.

Boże drogi, czyż wtedy wszystkim po prostu nie ulży?

Bo mnie na pewno tak.

Udzielam sobie prawa do jednego ostatniego życzenia – chcę się pożegnać z panem Mariem.

Drzwi na schody są otwarte. Oczywiście, że są – Unitarianie przekupili Vengera.

Przemykam po stopniach. Słyszę tylko stukot moich znoszonych ortopedycznych butów.

Bogu dzięki, świętej pamięci żona pana Maria nosiła ten sam rozmiar co ja.

Żeby dotrzeć do wyjścia, muszę przejść przez męski korytarz.

Śmierdzi tu stęchlizną. Większość drzwi jest zamknięta, a przez kilkoro uchylonych widać ciężkie ciała śpiące na podłodze i łóżkach.

Tylko w jednym ktoś czuwa.

Na podłodze siedzi mężczyzna o jasnej skórze i układa pasjansa.

Gdy go mijam, zaskoczony podnosi wzrok.

Potem mnie poznaje.

– Powodzenia – szepcze i macha na mnie, żebym szła szybciej.

Przemykam się pod ścianami budynków, żeby przejść jakoś przez podwórze.

Nie wolno nam wychodzić z pokoi aż do szóstej, kiedy jest pora na śniadanie.

Muszę minąć Gilletta i Plażę 900, żeby dotrzeć do Rollinsa i kliniki.

Widzę strażnika opartego o mur. Ma termos z czymś ciepłym, parującym. Nie zauważa mnie.

Wchodzę do Rollinsa i idę długim korytarzem kliniki. Dziwnie się czuję, gdy nie ma tu chorych i rannych. Co jakiś czas widzę na podłodze plamy, ale nie zatrzymuję się, by sprawdzić po czym.

Drzwi są oczywiście zamknięte, ale przecież ktoś tam musi być, żeby zajmować się pacjentami.

Pukam w szybę.

Po chwili do drzwi podchodzi doktor Neman.

– Otwieramy o dziewiątej – mówi, ale przygląda mi się chwilę przez szybę. – Otwiera drzwi. – Ty jesteś tą dziewczyną, którą ukarał Venger, prawda? – upewnia się.

Kiwam głową.

Odruchowo poprawia sobie włosy. Pewnie myśli, że przyszedłam w sprawie tych głupich kłykci.

– Wejdz – mówi.

W klinice jest cieplej niż w pozostałej części budynku.

– Czy oni was w ogóle karmią? Jesteś chuda jak patyk. Siadaj, zaraz spojrzę na twoje ręce. Czy to nie jest zbyt ryzykowne wychodzić tak wcześnie przed dzwonkiem? Wyobrażam sobie, że lepiej by było, żebyś się już nie narażała Vengerowi, co?

– Kłykcie już nie bolą. Doktor Quarropas obejrzał je wczoraj.

– Skoro tak, to co, do diabła... – Wygląda na zmęczoną i wkurzoną.

– Przyszedłam, bo leży tu mój przyjaciel – mówię. – Przyszedłam zobaczyć się z panem Scietto.

Doktor Neman zaciska zęby z wściekłości.

– Przyszłaś na wizytę?

– Proszę. – Unitarianie się na mnie uwzięli, więc jeśli mam jeszcze choć raz zobaczyć pana Maria, muszę to zrobić teraz, zanim mnie dopadną...

Robi zniecierpliwiony ruch dłonią. Ma mnie dość.

Podnosi tablet, który rozświecła się pod jej dotykiem.

– Nie ma go tu – mówi, czytając coś na monitorze.

– Jak to?

– Mario Scietto? Został wypisany ze szpitala wczoraj wieczorem – mówi.

– Ale...

Przepycham się obok niej, biegnę. Może pomyliła osoby.

– Nie ma go tu! – woła za mną.

Zaglądam do pokoju, gdzie leżał pan Mario.

Ona ma rację.

Nie ma go tu.

Na jego łóżku leży Unitarianin o gębie mopsa. Ten, którego pobiłam.

Twarz ma czarno-niebieską. Opuchniętą. Oczy zamknięte, zaropiałe. Na rozbitym nosie ma opatrunek ze złożonego kawałka papierowego ręcznika i taśmy klejącej.

Spuszczam wzrok i wycofuję się z pokoju.

– Ale dlaczego go wypuściliście? Przecież było podejrzenie, że ma złamane żebra. Dlaczego go wypisaliście?

– Przykro mi, że twojego przyjaciela tu nie ma – mówi oschle. – Ale jestem zajęta.

– Czy może pani jeszcze raz sprawdzić jego kartę?

Coraz bardziej zirytowana sprawdza kartę pacjenta na ekranie.

– Wypuścił go doktor Quarropas. Jest notatka. – Przesuwa palec po tablecie, otwiera plik. – „Pan Venger przyprowadził ранnego chłopca i nalegał, byśmy wypisali pana Scietta”.

Odskakuję od niej.

– Nie ma za co – syczy.

Odwracam się jeszcze.

– O której został wypuszczony?

– Na litość boską!

– Nie wrócił do pokoju. To znaczy, że spędził noc gdzieś w obozie! – krzyczę. –

Wypisując go, skazaliście go na śmierć. Zabiliście go!

– Został wypuszczony o dwudziestej dziesiątej.

Czyli podczas kolacji trzeciej grupy.

Doktor Neman patrzy na mnie, usta ma zaciśnięte, wzrok rozgorączony.

– Nie zabijamy ludzi – mówi rozzłoszczona zimnym głosem. – Próbujemy was ratować, ale robicie wszystko, żeby nam to UNIEMOŻLIWIĆ!

Cofam się.

Oczywiście ma rację.

ROZDZIAŁ 27

DEAN

DZIEŃ 34

Szedłem po smudze krwi. Co było łatwe i okropne zarazem.

Podążałem za czerwonobrazowym pasem po żwirze podjazdu u sąsiadów. Stałem na ganku. Krew była na kłamce i na futrynie.

Pchnąłem drzwi. Jakoś uznałem, że lepiej nie pukać. Wszedłem z pistoletem w wyciągniętej ręce niczym gliniarz w filmie. Serce waliło mi jak oszalałe i widziałem, że pistolet się trzęsie.

Dom w dość nowoczesnym stylu. Ślad krwi prowadził przez korytarz do kuchni.

Nikogo tam nie było, ale wszystko było obryzgane krwią – blaty, podłoga, wszystko.

Zrobiło mi się słabo. Żołądek ścisnął się niebezpiecznie. Wszedłem kuchennymi drzwiami i zwymiotowałem z ganku na kosze na śmieci.

To ten zapach. Mięsny, metaliczny, gnijący i słodki.

Koszmarny ślad ciągnął się dalej, był już szerszy. Co tu się stało?

Nie odwracałem od niego wzroku i szedłem. Właściwie zacząłem biec. Żeby jak najszybciej mieć to już za sobą.

Ślad prowadził do dwojga piwnicznych drzwi znajdujących się w ścianie domu na lewo od domu rodziny Rinée. Wszedłem do budynku po prawej, przeszedłem przez niego i teraz wchodziłem do domu po drugiej stronie.

Chwyciłem za klamkę i otworzyłem drzwi.

– Kto tam? – zawołał jakiś głos. – Halo?

– Kim jesteś? – odkrzyknąłem. – Co zrobiłeś?

– Tu jestem – odpowiedział. – Błagam, pomóż mi.

Oto, co zobaczyłem, a co będzie mnie prześladować już do końca życia:
Żarówka zwisająca z sufitu. Snop słonecznego światła padający zza mnie.

Poplamione drewniane schody prowadzące do piwnicy o ścianach z pustaków. Na jednej wiszą narzędzia. Na drugiej starannie opisane półki „Boże Narodzenie”, „Robótki ręczne”. Na środku podłogi ciała dwóch kobiet, porąbanych tak, jak potrafi to zrobić tylko szaleniec. Za nimi łysy mężczyzna. Klęczy i łka.

– Dobrze, że przyszedłeś. Widzisz, chyba zabiłem te kobiety – jęczy. – Miałem... miałem jakiś napad i je zamordowałem.

Próbuję coś powiedzieć, ale brakuje mi słów. Czuję suchość w ustach.

– Chyba zabiłem te kobiety! – powtarza mężczyzna.

– To nie pana wina – mówię mu. – To te chemikalia. Chemikalia w powietrzu.

– Byłem wolontariuszem. Co sobotę. Czytałem dzieciom. Uczyłem je. Gotowałem zupy. I sprzątałem. Byłem wolontariuszem.

Czułem, że muszę wyjść. Że muszę uciec od tego człowieka, od tej mrocznej dziury. Od tych ciał. Każde ściętno, każda komórka ciągnęła mnie do drzwi, błagała, żebym wyszedł.

– Jeździłem hybrydą. Zamontowałem panele słoneczne na dachu.

– Muszę już iść – wybąkałem.

– Błagam. – Podniósł się na kolana. – Błagam, pomóż mi.

Jego głos był niski, poważny i zupełnie przytomny.

– Musisz mi pomóc. Błagam, sam nie potrafię. Już próbowałem.

– Co zrobić? – spytałem.

– Musisz mnie zabić.

Zakląłem i zrobiłem krok w tył.

Wyprostował się i na kolanach zaczął sunąć w moją stronę. Ręce złożył w błagalnym geście.

Pistolet był taki ciężki.

– Nie mogę z tym żyć. To będzie z twojej strony akt litości. Litości. Błagam.

Płakał i prosił, a ja się wycofywałem.

Wróciłem do samochodu. Miałem wrażenie, że poruszam się w tężejącym cemencie. Albo że jestem nim wypełniony. Że moje serce jest tak ciężkie, że już nigdy nie będzie czuło radości.

– Co znalazłeś? – spytała Astrid. Jej błękitne oczy były jasne i zaniepokojone.

A potem z domu obok dobiegł cichy strzał.

– Znalazłem tego mężczyznę 0 – szepnąłem.

ROZDZIAŁ 28

JOSIE

DZIEŃ 34

Próbuję zebrać myśli. Gdzie może być pan Mario? Nie było go w pokoju.

Czy próbował do nas wrócić i mu się nie udało?

Czy pukał i nie usłyszeliśmy?

Najpierw biegnę do Doskonałości. Przecież na pewno chciał się dostać do pokoju.

Pewnie bolała go ręka i żebra, jeśli były złamane.

I pewnie miał okropny ból głowy, był też spragniony po środkach nasennych.

Pędzę przez podwórze. Na horyzoncie już zaczyna świtać, słońce zalewa podwórze brzoskwiowym blaskiem.

Wszystko mi jedno, czy ktoś mnie zobaczy. Muszę odnaleźć pana Maria.

Wpadam do przedsionka.

Nadal pusty.

Biegnę przez męski korytarz. Ludzie już wstali, niektórzy wychodzą z pokoi.

– Hej! Zobaczcie, kto przyszedł – mówi jeden z tych padalców, z którymi walczyłam tamtego wieczoru.

Pędzę dalej korytarzem, zaglądam do pokoi.

Ktoś kładzie mi rękę na ramieniu.

– Unia cię szuka – mówi Patko. – Lepiej stąd uciekaj.

Odraćam go.

– Czy ktoś widział pana Maria?! – drę się. – Tego staruszka, który się nami opiekuje?

– Ja tam go nie widziałem – mówi ten obrzydliwy. – Ale mogę się tobą zaopiekować, Króliczku.

Przepycham się obok niego i wracam do przedsionka.

Nigdzie go nie ma.

Dokąd pan poszedł, panie Mario? Dokąd pan poszedł?

Może do Plazy 900. Zanim zjawią się tam tłumy. Żeby poprosić kogoś o pomoc. Może Cheryl. Albo napić się wody.

Biegnę do Plazy 900.

– Hej! – ryczy strażnik. – Co, do licha?

– Przepraszam – odkrzykuję, starając się, żeby wypadło to pokornie. – Mój przyjaciel zaginał.

Biegnę dalej.

Strażnik zrywa się na równe nogi, zaczyna iść wolno, ale szybko nabiera tempa.

Docieram do drzwi Plazy 900. Zamknięte.

Walę w nie pięściami.

Wyrywa mi się jęk rozpacz.

Pan Mario jest ranny, gdzieś na terenie obozu, i to wszystko moja wina.

Widzę już strażnika kątem oka.

– Nie wolno przebywać o tej porze na zewnątrz, panienko. Wpakujesz się w kłopoty.

– Proszę – błagam. – Mój przyjaciel jest staruszkiem, wyrzucono go z kliniki i pomyślałam, że może jest tutaj.

– Przecież dobrze wiesz, o której otwierają drzwi. – Chwyta mnie za ramię i pcha w stronę Cnot. – Z którego budynku jesteś?

– Błagam. Jest stary, ranny i zupełnie sam.

Widzę w jego oku iskierkę litości.

– To dobry człowiek. Błagam, niech mi pan pozwoli go poszukać.

– Hm, no dobra. Nie widziałem cię – szepcze i obraca się do mnie plecami.

Pędzę więc na drugą stronę budynku.

Przecież musi tu być więcej drzwi.

Widzę dwoje stalowoszarych. Jedne są otwarte.

Przy nich stoi biały samochód dostawczy.

Facet w białym uniformie niesie cztery palety bułek. Kiwam mu głową na powitanie, jakbym była kimś, kto ma prawo tu być, a potem wpadam do środka.

– Hej, panienko! – woła za mną.

I już jestem w olbrzymiej kuchni. Śmierdzi tu starą mielonką, a na blatach i podłodze widać plamy tłuszczu. Stalowe blaty są czyste tylko w kilku miejscach. Po podłodze walają się śmieci i jedzenie. Wygląda to tak, jakby pracownicy kuchni robili, co w ich mocy, ale im to za bardzo nie wychodziło. Jak my wszyscy.

Pana Maria nie ma w kuchni ani w jadalni. Zaglądam we wszystkie kąty.

Puszczam mimo uszu zdziwione okrzyki pracowników.

Nigdzie nie mogę znaleźć Cheryl, ale widzę inną z pań, które lubią pana Maria. Jak ona ma na imię? Josefina? Nie.

– Widziała pani pana Maria? – pytam. – Tego pana, który zawsze z nami przychodzi...

– Nie, *m'ija*, a co? Zaginał?

Kiwam głową.

Przytula mnie. Szepcze coś pocieszająco po hiszpańsku.

Wrywam jej się.

Muszę go znaleźć.

Mariana, przypominam sobie. Tak ma na imię.

Biegnę do przedsionka Plazy 900.

Tu nie. I nie w łazienkach. Ani damskich, ani męskich. Zaglądam na schody.

Ktoś go musiał przygarnąć, mówię sobie. Na pewno jest w pokoju jakiejś dobrej duszy i może już nawet kontaktują się z dziećmi.

Biegnę z powrotem przez podwórze. Tak, na pewno.

Może już jest w naszym pokoju, gdy ja zupełnie bez sensu miotam się po obozie.

Wbiegam do Doskonałości. Jakiś mężczyzna chwyta mnie za rękę. To ten łysy, gruby, jeden z tych, którzy mnie atakowali.

– Twój dziadziuś wrócił, mała.

– Gdzie? – pytam, okręcając się, chwytając jego spoconą rękę w dłoń. – Błagam, gdzie?

– W damskiej toalecie – mówi, wskazując głową dwie łazienki w przedsionku.

– Dziękuję! – krzyczę i mu się wrywam.

Mój biedny pan Mario leży na podłodze pod umywalkami tuż przy drzwiach.

Jego ciało wydaje się takie małe i wysuszone. Słabe i zagrożone.

Głowę ma na podłodze. Przy ustach widzę małą plamę krwi i śliny.

– Panie Mario! – wrywa mi się za głośno, więc już ciszej dodaję: – Och, panie Mario...

Źle z nim.

Potrzebuje spokoju. Ale w ciszy z kolei słyszę jego oddech. Z trudem robi wdech, a wydechy są jeszcze gorsze. Rzęzące.

Jak, jak, jak oni mogli go wypuścić?!

Przyklękam.

– Panie Mario – szepczę. Łzy płyną mi po policzkach. Ocieram je. Kładę mu rękę na ramieniu.

Widzę, że ma ramię w lekkim gipsie.

Otwiera oczy.

– Ha – charczy. – Josie.

Znów przymyka powieki.

Przykładam mu dłoń do czoła, potem do twarzy. Jest zimna, skóra wydaje się papierowa, luźna.

– Zaniosę pana z powrotem do kliniki – szepczę.

Posapuje.

– Pić.

Wstaję. Oczywiście nie ma żadnego kubka. Opłukuję ręce pod kranem. Po mydle nie ma nawet śladu.

Udaje mi się nabrać trochę zimnej wody w dłonie.

Znów przyklękam, czuję zimno kafelków pod obitymi kolanami. Próbuję wlać mu trochę wody do ust.

Jego wargi na moich palcach wydają się suche i cienkie.

Jego oddech pachnie zaschniętą krwią. Nie mogę przestać płakać.

– Zaniosę pana bardzo ostrożnie – mówię.

– Nie – odpowiada i patrzy mi w oczy. Wzrokiem mówi mi, że naprawdę tego nie chce.

– Josie – szepcze.

– Tak?

– Lekarz powiedział mi...

Z trudem chwyta oddech, wydycha powietrze ze świstem.

– Eksperymenty.

Eksperymenty? Co?

Bierze jeszcze jeden wdech.

– Te eksperymenty na ludziach.

– Ci ludzie, których wysyłają na medyczne eksperymenty? – pytam, próbując mówić za niego.

Przymyka oczy na „tak”.

– Armia ich zabiera.

Próbuje mnie ostrzec, żebym nie dała się odesłać Vengerowi.

– Wiem, proszę pana. Nie pozwolę się odesłać. Przysięgam.

Zaciska usta.

– Jusam rid.

Co?

– Juesam rid.

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie Mario – łkam. Chcę mu powiedzieć, jak bardzo go kocham. Chcę, żeby żył. – Niech mi pan pozwoli zabrać się do kliniki! – błagam.

– Słuchaj – szepcze, jego niebieskie oczy patrzą tak czujnie.

– U-S-A-M-R-I-I-D – literuje.

– Okej – mówię, pociągając nosem.

– Oni robią te badania w Marylandzie.

Przechodzi mnie dreszcz przerażenia, ramiona pokrywają się gęsią skórką.

Pan Mario chce, żebym dała się Vengerowi odesłać na badania, bo cokolwiek znaczy ten skrót, to coś znajduje się w Marylandzie, czyli bardzo blisko farmy rodziny Nika.

W ostatniej chwili przed śmiercią jeszcze myśli o tym, jak mnie uwolnić.

– Daj się tam wysłać.

– Dobrze – mówię. – Dobrze.

Kładę się na podłodze, żeby moja twarz była tuż przy jego twarzy.

Uśmiecha się.

Widzę teraz już tylko jego twarz i on widzi tylko moją.

Na podłodze jest zimno, a pan Mario umiera. Staram się jakoś przysunąć, żeby choć go ogrzać własnym ciałem.

– Dobra dziewczynka. Zawsze dobra.

Łzy ciekną mi na kafelki.

– Panie Mario – szepczę. – Dziękuję. Uratował mnie pan. Udało się panu. Zgłoszę się do USAMRIID. Uwolnił mnie pan. Słyszysz pan? Uratował mnie pan.

Oddycha powoli, widzę, że go boli. Długo, słabe charczenie.

– Wie pan? Wie pan, że mnie uratował?

Jego oczy już się na mnie nie koncentrują. Patrzą na coś za moją głową.

Widzę bąbelki krwi na jego ustach, wypływające na wargi i dalej po żuchwie.

Ocieram je bluzką.

– Nie, niech pan nie umiera – łkam.

– Dobra dziewczynka – powtarza. I jego usta mówią jeszcze: – Zawsze dobra.

Ale już nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Jego oddech szmerze coraz ciszej, aż w końcu zupełnie go nie słychać.

ROZDZIAŁ 29

DEAN

DZIEŃ 34

Teraz nie miałem już broni.

Ale to mi nie przeszkadzało.

Pewnie myślicie sobie, że byłem głupi, że zostawiłem pistolet, skoro nadal byliśmy w niebezpieczeństwie. Ale rzecz w tym, że człowiek przyzwyczaja się do niebezpieczeństwa. Ale nie da się przyzwyczaić do zabijania.

Chyba osiągnąłem już taki stan, że wolałbym umrzeć, niż odebrać komuś życie.

Jeśli nadal myślicie, że to było z mojej strony nierozsądne, to spytam tak: czy na moim miejscu poszlibyście odzyskać tę broń?

Czy weszlibyście do zatęchłej, zakrwawionej dziury i wyciągnęli broń z ręki trupa?

Wątpię.

Wprowadziliśmy się do domu Rinée. Panował tu spory nieład – pozostałość po rozpaczliwym pakowaniu się jej matki. Ale przynajmniej nie brakowało jedzenia. Najwyraźniej była to rodzina, która lubiła robić zapasy na promocjach w Costco.

– Czy ktoś ma ochotę na fasolkę? – spytał Jake, unosząc puszkę, która musiała mieć dobre dziesięć litrów.

Już miał lepszy nastrój.

Muszę przyznać, że sama myśl o tym, że spędzimy jakiś czas w normalnym domu, podnosiła nas wszystkich na duchu. A Rinée była zachwycona, że znów jest u siebie. Wyrwała się Astrid i zaczęła biegać po pokojach.

– Pać! Pać! – wołała, przynosząc Astrid przedmiot po przedmiocie. Skarpetkę, kubek niekapek, pluszowego chihuahue. Astrid mówiła na to:

– O, skarpetka. Ładny kubeczek. Ojej, to piesek.

Ale wyglądała na wykończoną. Opiekowanie się Rinée chyba pozbawiało ją resztek energii. Usiadła ciężko na kanapie i oparła na niej głowę.

A potem Rinée wróciła do salonu. Zaczęłam właśnie zbierać walające się po podłodze rzeczy. Rinée uniosła rączki i spytała:

– Mama?

– Och – jęknęła Astrid. – Widzisz, kochanie... mamusia nie wróci tak prędko do domu. Mamusia nie wróci.

– Świetnie! – krzyknął Jake, wychodząc z kuchni z pudełkiem kanapek lodowych. – Chce ktoś?

– Mama? – uparcie pytała Rinée.

– Nie wróci do domu. Przykro mi – powiedziała Astrid i wybuchnęła płaczem.

– Hej. – Podeszedłem do niej.

– Przepraszam – wybąkała. – Nie znoszę, jak dziewczyny płaczą, a sama, proszę, ryczę co godzinę.

– Mosisz odpocząć.

– Znów mam skurcze.

– Bardzo silne? – spytałem.

– Takie jak przedtem. – Otarła łzy. Próbowała się uśmiechnąć, ale wypadło to słabo. – Może ciut gorsze.

– Powinnaś się położyć – odezwał się Jake. – My z Deanem zajmiemy się Rinée.

– Jasne. I posprzątam. A potem przygotujemy obiad.

– Opiatek? – zainteresowała się Rinée. – Am, am?

I pomaszerowała do kuchni. Jake podreptał za nią, pytając, czy chce może kanapkę lodową.

– Narzuciliśmy sobie za duże tempo – powiedziałem, masując Astrid ramiona. – Musisz odpocząć. Jesteśmy tu bezpieczni. Gdy wróci tata Rinée, możemy go nawet spytać, czy nie miałby nic przeciwko temu, żebyśmy zostali trochę dłużej, póki nie nabierzesz sił.

– A co, jeśli on nie wróci? – spytała Astrid, wypowiadając na głos to, o czym oboje myśleliśmy.

– To zostaniemy tak długo, jak będziemy chcieli. I znajdziemy ci lekarza. Upewnimy się, że wszystko w porządku. I zdobędziemy witaminy.

Astrid poszła na górę, wzięła prysznic i włożyła najluźniejsze ciuchy zmarłej mamy Rinée, jakie znalazła. Potem wpakowała się do jej łóżka. Sam jej to doradziłem. Byłem pewien, że ojciec dziewczynki nie będzie miał jej tego za złe.

Tak na marginesie: Jake jako opiekun dzieci? Do niczego.

Gdy tylko wszedłem do kuchni, powiedział:

– Chłopie, ona narobiła w gacie.

Pielucha rzeczywiście cuchnęła – okropieństwo.

A kiedy ją przewijałem (na dole w łazience był przewijak), Jake stał w drzwiach i mówił:

– O Boże, chyba będę rzygał!

Oraz:

– To OBRZYDLIWE.

No bo to było dość obrzydliwe, ale nie chciałem, żeby dziecko nabawiło się jakichś kompleksów czy coś. W końcu to wszystko naturalne, nie? Więc wstrzymałem oddech i wytarłem ją do czysta, a potem założyłem pieluchę. Niewykluczone, że tyłem naprzód, ale się trzymała.

Potem wymyłem ręce mydłem przeciwbakteryjnym (dwa razy).

Rinée zaprowadziła mnie do swojego pokoiku do zabaw, niewielkiego pomieszczenia tuż przy kuchni. Stała tam mała drewniana kuchenka z miniaturowymi kubeczkami, talerzami i jedzeniem z kolorowego drewna.

Siedziałem na małym krzeselku przy równie małym stole, a dziewczynka przynosiła mi różne rzeczy do „am, am”.

Jake był na tyle uprzejmy, że zrobił nam kanapki z tuńczykiem.

Pochłonęliśmy je, oglądając telewizję.

Ani. Słowa. O. Wściekłych. Wiatrach.

To było czyste szaleństwo. Obejrzeliliśmy mnóstwo materiałów ze Wschodniego Wybrzeża o spadku temperatury, o tymczasowych rozwiązaniach transportowych i o zamieszkach związanych z brakiem paliwa. Wszystko to jednak były odgrzewane newsy sprzed kilku dni, a nawet tygodni.

Rinée zjadła ćwierć kanapki i kilka plasterków jabłka. Prosiła o więcej:

– Jecie apka, jecie apka.

„Apka” znaczyło „jabłka”, ale chyba też w ogóle wszelkie jedzenie.

Astrid wciąż spała na górze, więc zjedliśmy z Jakiem na spólkę jej kanapkę i dokończyliśmy to, co zostało po Rinée. W spiżarni stały jeszcze cztery wielkie puszkę tuńczyka, więc nie miałem wyrzutów sumienia, że zjadam porcję Astrid. Zresztą i tak zamierzałem podać jej coś na ciepło, jak już się obudzi. W zamrażarce znalazłem kurczaka, którego wyłożyłem na blat, żeby się rozmroził. Gdybym tylko miał tu ze sobą Batiste'a, przygotowałbym prawdziwą ucztę. Ale sam też dam radę. Może kurczak z ryżem i sos z zupy grzybowej. Widziałem puszkę z zupą w spiżarni. To by było pożywne danie, takie na pocieszenie. No i trudno to schrzanić.

Kanapki popiliśmy czterolitrowym sokiem pomarańczowym.

Tak dobrze było siedzieć przy kuchennym stole, gdy przez okno wpadały promienie słoneczne i w każdej chwili można było otworzyć lodówkę, wyjąć z niej coś i zjeść.

Rinée zaczęła ziewać i trzeć oczy – nie wiedziałem, że dzieci naprawdę tak robią. Myślałem, że to tylko taka poza na filmach.

Zaniosłem ją do jej sypialni.

Była cała lawendowa, z małym łóżeczkiem i nawet fotelem do karmienia. Na ścianie namalowany był dość koślawy jednorożec. Wyglądał jak pastelowy muł z wafelkiem do lodów na nosie.

Rinée wyciągnęła rączkę w stronę łóżeczka – musiała być naprawdę zmęczona. Włożyłem ją do środka i otuliłem miękkim kocykiem z owieczką.

Już chciałem wyjść, kiedy powiedziała:

– In stać, In stać.

– Słodkich snów, Rinée – szepnąłem i zacząłem zamykać drzwi.

– Stać! – zażądała i rozpłakała się. – In zostać!

I uświadomiłem sobie, że to moje imię.

„In” to miało być Dean i chciała, żebym został.

Usiadłem w fotelu, a ona z powrotem się położyła.
Trudno powiedzieć, które z nas zasnęło pierwsze.

ROZDZIAŁ 30

JOSIE

DZIEŃ 34

Muszę powiedzieć dzieciom.

To pierwsza rzecz.

A druga? Nie wiem, co mam zrobić potem.

Dać się odesłać na badania. Hmm.

Dzwonek na śniadanie zabrzmiał, gdy jeszcze byłam w łazience przy umierającym panu Mariu.

Teraz wszyscy wychodzą, kierując się do Plazy 900.

– Lori! – wołam. – Lori, gdzie jesteś?

Próbuję przepchać się po schodach na górę, ale potem zmieniam zdanie i idę z tłumem. Może już jest na podwórzu.

– Lori! – wołam. Gdzie oni się podziali?

Potem zauważam Carla.

Jest z innym Unitarianinem i oboje patrzą na mnie z uśmiechem.

Zamieram. Ludzie przepływają obok.

Oglądam się za siebie. Dwóch za moimi plecami.

Jeden ma łańcuch.

Automatycznie włącza się ta część mojego mózgu, która odpowiada za przetrwanie, i ruszam pędem w stronę Carla. Widzę na jego twarzy zdumienie. Wymijam ludzi idących na śniadanie, nabieram prędkości i gdy jestem tuż przed

Carlem, pochylam głowę, kulę ramiona i z całych sił popycham wielkiego mężczyznę przed sobą na dwóch Unitarian.

Obracam się i pędzę w przeciwnym kierunku.

W stronę Rollinsa i kliniki.

Z dala od tłumu, coraz szybciej.

Słyszę, jak Unitarianie biegną za mną, a potem nagle te wspaniałe słowa:

– Hej! – ryczy na nich strażnik. – Śniadanie w tę stronę!

To mój strażnik. Mój znajomy strażnik.

– Ale ta dziewczyna ucieka! – protestuje Carlo.

– Nią się nie martw. Troszcz się lepiej o siebie!

Może więc jest tu choć jeden strażnik, który nie je Unitarianom z ręki.

Wpadam do budynku Rollinsa. Walę w drzwi, choć wiem, że doktor Neman będzie wściekła.

– Zupełnie ci odbiło? – wrzeszczy, ale mnie wpuszcza.

Z jakiegoś pokoju wyłania się doktor Quarropas.

– Hej! To ty. – Poznaje mnie. – My... musieliśmy wypisać twojego przyjaciela. Venger nalegał...

– Musicie wysłać mnie na badania – mówię, płuca aż palą mnie od biegu. Serce wali jak oszalałe. – Byłam wystawiona na działanie chemikaliów. Będę ciekawym przypadkiem. – Nie mogę złapać tchu. – Będę robić, co każą. Odeślijcie mnie.

– To już dziś drugi raz, jak ta dziewczyna narusza porządek w klinice. Dzwonię po strażników...

Lekarka podnosi słuchawkę.

– Nie ma mowy, żebym wysłał nieletnią do USAMRIID! – wybucha Quarropas, patrząc na mnie uważnie. – Powiedz mi, co się dzieje.

– Unitarianie mnie zabiją. To ja pobiłam tamtego. – Wskazuję pokój.

– Nikt nikogo nie zabije – mówi łagodnie lekarz. – Słuchaj, mamy lekarstwa, które ci pomogą. Daj sobie pomóc.

– Możecie mi pomóc tylko w jeden sposób – błagam. – Odeślijcie mnie na badania, proszę!

– Jest tu jedna dziewczyna, potrzebujemy pomocy – mówi doktor Neman do słuchawki.

– Nie pomoże mi pan? – pytam.

– Nie ma mowy, żebym cię wysłał na badania medyczne – mówi.

Wycofuję się.

Dobra.

Może Venger mnie wyśle. Przecież tym mi groził.

– Tak poza tym to pan Mario nie żyje – mówię lekarzom, bo górę bierze wściekłość. – Umarł na podłodze w łazience. Więc wielkie dzięki.

– Venger! – drę się, wybiegając na podwórze. – Venger, gdzie jesteś? Chodź i walcz, ty głupi mięśniaku. Ty skurczybyku! Chodź i spróbuj mnie złapać!

Podbiegam do płotu.

Żadnych dziennikarzy. Może żołnierze przegonili ich na dobre. To by było na tyle, jeśli chodzi o plan Lori.

– Venger, gdzie jesteś?

Doskonałość i Odpowiedzialność są w stołówce. Podwórze jest puste.

Chwytam pręty płotu i potrząsam nim mocno.

Kilka metrów za drugą bramą stoi samochód. Jak na złość minivan.

Przez ramię widzę, że Carlo wymyka się z dwoma facetami z Plazy 900. Zaraz będą przy mnie. Jeden jest duży, drugi rachityczny.

– Venger! – drę się.

Gdzie się podział? Gdzie są ci wszyscy durni strażnicy, gdy się ich potrzebuje?

Potem słyszę:

– Josie?

Głos zza płotu.

Patrzę.

– Josie Miller? To ty?

I widzę.

Chudy mężczyzna w ciemnobrązowym kombinezonie.

Takim z jednego kawałka materiału, z wszytym pasem. To jakiś kombinezon ochronny.

I ten człowiek odgarnia sobie włosy z oczu.

Znam ten ruch, znam tę sylwetkę.

Znam te brązowe włosy, śniadą twarz.

Rozpoznaję ją nawet przez dwa płoty o gęstych oczkach.

To Niko.

– Niko?! – krzyczę.

– Josie! Josie! Nie wierzę!

Mój Niko. Przyciska twarz do zewnętrznego płotu. Palce wczepia w oka.

To on. To naprawdę on.

– NIKO! Jak mnie odnalazłeś? – wołam.

– Gazeta! Twoje zdjęcie było w gazecie!

– Dostałam twój list – odpowiadam. Teraz już płaczę. – Chciałam tam dotrzeć.

Pan Mario mi pomagał...

Ostry ból, gdy moją głową coś szarpie do tyłu.

To Carlo trzyma mnie za włosy.

– Kto to taki, Josie? Przyjaciół? – pyta, jakby prosił, żebym przedstawiła go znajomemu na imprezie.

Szarpie moją głową z taką siłą, że padam na obolałe kolana. Przeszywa mnie ból, gdy rozrywają się stare strupy.

- Zostaw ją w spokoju! – drze się Niko.
- A to co? Ufoludek? – pyta jeden z Unitarian.

Drugi parska śmiechem.

- Ufoludek!
- Zostawcie ją! – krzyczy Niko.

Zaczyna się wspinać po płocie.

- Nie! – wrzeszczę. – Zastrzelą cię!

Strażnicy już nieraz strzelali do ludzi, którzy próbowali ratować więźniów. Ale nie mogę mu tego wyjaśnić, bo Carlo uderza mnie pięścią w twarz.

Nie wiem, jak się tłumaczy działanie wściekłości, wiem tylko, że kiedy rejestruję ten cios, mam świadomość, że boli, ale samego bólu już nie czuję, bo zalewa mnie adrenalina i jestem gotowa zabić.

Carlo pochyla się nade mną.

– Teraz zabierzemy cię do naszego apartamentu. Więc lepiej pożegnaj się już ze swoim przyjacielem.

- Pomocy! – woła Niko. Miota się pod płotem.

Nie rozumie, dlaczego nikt nie rzuca mi się na pomoc.

Carlo zaciska palce na moich włosach, chyba żeby mi przypomnieć, kto tu rządzi. Zmuszam się do myślenia.

Czy jestem w stanie zabić trzech mężczyzn i przejść przez płoty?

A potem nagle słyszę głosy dzieci.

Błagające.

Błagają Vengera, próbując nadażyć za jego szybkim krokiem.

- Proszę – mówi Lori. – Ona tylko chciała mnie obronić, a teraz oni ją zabijają!

Dzieci zalewają nas kakofonią błagalno-proszącą.

– Zamknijcie się! – ryczy na nie Venger. Potem robi taki ruch ręką, jakby wygrażał Carlowi. – Carlo, zapomniałeś o naszej umowie?

- Bardzo przepraszam, panie Venger. Właśnie sobie stąd szliśmy.

– Ci ludzie ją biją! – krzyczy Niko. – Ona potrzebuje pomocy!
Venger go ignoruje.

– Wiem, że przez nią dwóch waszych ludzi wylądowało w klinice. Same z nią kłopoty od pierwszego dnia. Ale jeśli chcecie ją brać, to ją BIERZCIE. A nie stójcie tu na widoku, gdzie może was zobaczyć prasa. – I Venger wskazuje Nika.

– Jeszcze raz przepraszam – mamrocze Carlo.

Teraz z Plazy 900 wylewa się tłum. Już po śniadaniu.

Część ludzi na pewno widziała, co się stało.

Aidan uwiesza się na rękawie Carla.

– Nie róbcie krzywdy, Josie – błaga. – To wszystko moja wina. Proszę, możecie brać całe moje jedzenie! Codziennie! I mój cukier!

Niski Unitarianin odrywa Aidana od Carla i popycha, tak że chłopiec ląduje na tyłku.

Patrzę na Aidana i nagle dociera do mnie, że kocham tego małego, chudego dzieciaka.

– Zostawcie tę dziewczynę w spokoju! – rozlega się głos.

Ludzie ze stołówki podchodzą bliżej.

– Venger, to już przesada! – woła ktoś. – Zostaw tę dziewczynę!

Ludzie krzyczą i potakują.

– Josie! – krzyczy Niko.

Obracam głowę i widzę, że pośpiesznie zapina kombinezon.

Rozlega się jakiś śmieszny, cichy gwizd.

– Josie! – Wyciąga jakąś dziwną maskę i przyczepia do kombinezonu.

– No i zobacz, co narobiłeś – cedzi Venger przez zęby, wskazując Carlowi tłum.

– Proszę się nie martwić. – Carlo ciągnie mnie w stronę Doskonałości. – Już nas tu nie ma...

I wtedy Heather zaczyna wrzeszczeć.

Podążam za jej wzrokiem.

Widzę, że Niko pokazuje mi to samo.

Po drugiej stronie ulicy widzę jakby chmurę pyłu. Ale nie unosi się tak jak to zwykle kurz, tylko sunie. Jakby miała swoją masę, podnosi się i opada, jak coś żywego i bardzo niespokojnego.

A potem czuję ten zapach.

Chemikalia docierają do moich nozdrzy i nagle czuję się jak w domu.

Czarny piasek w ustach i oczach.

Klucz w zamku.

W jednej chwili wszystko, co było szare i ponure, staje w ogniu – wszystko jest teraz piękne i wspaniałe.

Ten piasek to chemikalia, które zupełnie przeganiają wszelką słabość.

Wiatr przetacza się przez ludzi w obozie jak nagła fala.

Głosy zbijają się w zgodny chór wściekłości i paniki.

Chęć mordy jest jak błyskawica. Wreszcie panuję nad sytuacją.

Venger.

Twarz blada z przerażenia, odruchowo sięga po broń.

Ale ręka mu się trzęsie.

Jego zabiję pierwszego.

Tylko że już Carlo i dwóch innych Unitarian rzuciło się na niego, już przyciskają go do ziemi.

– JOSIE! – słyszę głos zduszony przez radosny brzęk bitego szkła, drzwi wyrywanych z futryn i łamanych kości.

Milion kilometrów ode mnie stoi Niko w kombinezonie.

Nie, nie. Najpierw muszę zabić Vengera. Zasłużył sobie na to.

Venger upuścił broń i teraz próbuje jej dosięgnąć. Carlo i ten niski już są na nim, ale i tak rzucam się do walki. Kilka ciosów w głowę. Walka. Wolność. Niebo. Chwytam głowę Vengera, który błaga o litość, ale moja krew żąda jego śmierci, więc mówię:

– Ciii.

Zapieram się stopami o jego ramiona i chcę oderwać mu głowę, ale widzę, że z jego oczu już zniknęło światło. To Carlo wbił mu rękę w pierś i wrywa narządy wewnętrzne.

Ludzie, którzy wyszli ze stołówki, atakują się nawzajem. Ciała wiją się, walczą, krwawią. I ten wrzask.

Biorę wdech.

Kolory są takie piękne.

Błękitne niebo, szary piasek, i krew, i mózg.

Znów czuję, że żyję.

Carlo, Carlo.

Teraz Carlo.

Wciąż ma ręce w ciele Vengera, więc podnoszę pistolet strażnika i uderzam nim Carla po głowie.

Czuję ciężką broń w dłoni, odliczam raz, dwa, trzy i czaszka Carla pęka pod tym prowizorycznym młotkiem. Radość w sercu.

Obracam się, żeby zabić następnego Unitarianina. Walczą teraz między sobą.

Ale mój mózg mówi: ZACZEKAJ.

I widzę strażnika przy bramie nerwowo kręcącego kluczami.

Udaje mu się ją otworzyć. Biegnie do drugiej bramy.

A tam jest Niko.

Mój mózg chce, żebym zarejestrowała ten fakt.

Moje ręce chcą się zacisnąć na czyimś gardle.

Ten niski Unitarianin wgrzyza się w czyjąś nogę. Chwytam go za kark i łup, przekręcam jego szyję.

MYŚL.

Mój mózg znowu czegoś ode mnie chce. Unoszę zakrwawione ręce do głowy, ściskam ją.

Te myśli są takie bolesne.

Chcę szaleć z innymi. Impreza trwa.

POPATRZ NA NIE – żąda mój mózg.

Jakaś kobieta łapie mnie za rękę, ale popycham ją na ziemię.

Mój mózg wygrywa.

PATRZ. I widzę. Moje dzieci.

Moje dzieci walczą.

Lori siedzi na Freddym. Aidan atakuje jakiegoś mężczyznę i Heather. Mężczyzna zadaje cios Heather i dziewczyna pada na ziemię. Uderza głową i się nie rusza. A Aidan, z krwawą pianą na ustach, zupełnie jak młody wampir, rzuca się na Heather, która przecież jest dla niego niczym siostra. Zaczyna ją atakować.

NIE. To jest złe.

Oglądam się na płot.

Niko tkwi przy drugiej bramie. Wyciąga rękę, próbuje pomóc strażnikowi z kluczem.

Jeden krok. Dwa. Do dzieci.

Mój mózg może sprawić, że ciało będzie POSŁUSZNE.

Chwytam Aidana za ramię i odrywam go od Heather. Wbija mi zęby w rękę.

Nic nie czuję.

Ciągnę ich do pozostałej dwójki.

– LORI! – krzyczę.

Siedzi na Freddym, wbija paznokcie w jego ciało.

– PRZESTAŃ! PRZESTAŃ! – drę się.

Patrzy na mnie może przez sekundę.

Potem atakuje ją jakaś starsza kobieta.

Freddy leży zasapany, a ja zarzucam sobie Heather na ramię.

– FREDDY, CHODŹ! – nakazuję mu.

Leży, sapie i patrzy na mnie, jakbym mówiła do niego po chińsku.

Heather niosę na ramieniu, Aidana ciągnę po ziemi. W stronę bramy. Wydostanę ich stąd.

Tak.

Potem wrócę po Lori i Freddy'ego i będziemy wreszcie wolni.

W końcu panuję nad tym, wściekłość jest tylko falą, po której płynę jak surfer, wykorzystując moc jak paliwo potrzebne mi do ucieczki.

Słyszę, jak serce Nika modli się, żebym się pośpieszyła.

– Już biegnę – szepczę mu w swoim sercu. – Już biegnę.

Mijam trupy, umierających i walczących.

Ślizgam się na krwi i wnętrznościach.

Widzę, że doktor Quarropas i doktor Neman biegną ze strażnikami od strony Rollinsa. Wpadają na podwórze. Zасыpują nas strzałkami ze środkiem nasennym.

Lekarze biegną do bramy, strzelając do każdego, kto stoi im na drodze.

Ale przy bramie już są zera. Dwóch nastolatków zaatakowało strażnika. Inni atakują tych nastolatków.

Niko próbuje dosięgnąć kluczy, które leżą tuż poza jego zasięgiem, za płotem.

– Już prawie jestem przy tobie – mówi do Nika moje serce i wtedy widzę, że doktor Quarropas mnie zauważył.

Trzymam Heather i ciągnę Aidana. Dam radę dotrzeć do bramy.

Doktor Quarropas patrzy mi w oczy. Nie wiem, co próbuje mi powiedzieć tym spojrzeniem, gdy unosi broń i do mnie strzela.

ROZDZIAŁ 31

DEAN

DZIEŃ 34

– O Boże! Nie! Nie! – głos Astrid przebił się do mojego snu. Poderwałem się z fotela.

Serce waliło mi tak, jakby chciało się wyrwać z piersi. Popędziłem po dwa stopnie naraz i wpadłem do salonu. Astrid zaciskała palce na jakimś papierze.

– Co? Co się stało? – spytałem.

– To Jake! – załkała. – Zniknął.

– Co takiego?

– Odszedł! – Wcisnęła mi papier w dłoń i pochyliła się, łapiąc się kurczowo za brzuch.

– To wszystko?! – krzyknąłem. Nie powinienem był na nią krzyknąć, ale serce waliło mi tak głośno.

– Przepraszam, przepraszam – wyszeptała. – Nie chciałam cię przestraszyć, ale może... może jeszcze uda się go powstrzymać. Jeśli się pośpieszymy, Dean!

W jej głosie słyszałem panikę. Otworzyła drzwi.

– Dobrze, dobrze! – powiedziałem. – Najpierw się uspokój. To żadna tragedia.

– Musimy go zatrzymać! – szlochała.

– Jak się czujesz? – spytałem.

– Wciąż mam skurcze, ale poza tym okej – mruknęła.

Na górze rozległ się płacz Rinée.

– Pójdę do niej – powiedziała Astrid. – Możesz wyjść na zewnątrz?
Zobaczyć, może tam jest?

– Dobrze. Ale proszę, uspokój się, zrób to dla mnie.

Przewróciła oczami.

– Spróbuję. Ale nie chcę go stracić!

Nie wyglądała dobrze. Cienie pod oczami były coraz ciemniejsze. Twarz miała wychudzoną i strasznie bladą. Zauważyłem, że jeśli nie miała na rękach Rinée, to wciąż trzymała się za brzuch.

Zaczęła wspinać się po schodach, żeby wyciągnąć z łóżka ryczącą Rinée. Ale szła bardzo powoli.

Wyszedłem przed dom.

Już zmierzchało i zobaczyłem, że na naszej ulicy w jeszcze jednym domu są zapalone światła. Była to mała, ślepa uliczka. Stało przy niej może sześć domów. I tylko dwa były zamieszkane.

Jake'a nigdzie nie było widać.

Przeczytałem list, który zostawił. Był do mnie, więc słabo wyszło, że to Astrid go przeczytała, ale trudno.

Jego bazgroły były dość nierówne:

Deano,

kiedy patrzę na was dwoje i małą Rinée, to już kumam. Jesteś w tym dobry. Jesteś urodzonym tatuśkiem. I to nie jest kpina, tylko komplement.

Najważniejsze teraz jest to, co dobre dla niej i dla dziecka. A wypada, że to Ty.

Powiedz, proszę, Astrid, że zawsze będę ją kochał, ale nie nadaję się do tej roboty.

To, że teraz odejdę, to pewnie najlepszy prezent, jaki mogę zrobić całej waszej trójce. Więc go zrobię.

Zresztą i tak powinienem wpaść zobaczyć, co z moją mamą.

Poszedłem na górę.

Astrid siedziała w fotelu z Rinée na kolanach.

– Szukałeś go w ogóle? – spytała wkurzona.

– Myślę, że on naprawdę nie chce, żebyśmy go zatrzymywali. Serio.

Popatrzyła na mnie i widziałem, że walczy ze łzami.

Zareagowała tak emocjonalnie. Przez chwilę znów wróciły dawne wątpliwości – czy ona nadal go kocha? Czy kocha go jakoś bardziej niż mnie?

– Dean – odezwała się, przerywając tę moją myślową spiralę. – Wiem, że on jest beznadziejny. Ale to mój przyjaciel.

Zamrugalem.

– Nie chcę już nikogo więcej stracić.

– No – mruknąłem. – Kumam.

Zamknęła oczy i kołysała Rinée, która ssała kciuk, a palce drugiej ręki wkręcała w krótkie włosy Astrid.

Kolacja wyszła jako tako. Wykorzystałem przepis z opakowania zupy grzybowej. Astrid zjadła niewiele, ale Rinée chyba całkiem smakowało.

Astrid nie była w nastroju do rozmów, ale mnie się jakoś gęba nie zamykała.

– Jutro wezmę szlauch i wymyję trochę podwórze. Potem zrobię kilka plakatów i rozwieszę je wokół. Wiesz, żeby dać ludziom znać o Rinée i uprzedzić, że tu jesteśmy.

Nie wspomniałem nic o drugiej sypialni. Byłem pewien, że sama już ją zauważyła.

Pokój cały w błękitach z mnóstwem klocków lego. Były nawet zestawy vintage na półkach – ze Star Wars i jakieś przedziwne, futurystyczne egipskie piramidy kosmiczne.

Był to pokój chłopca. Chłopca, który nie wrócił do domu.

Ale może wróci.

– Pomyślałem sobie, że skoro mamy tu chwilę siedzieć, to może znajdę jakiś sposób, żeby dać Aleksowi znać, gdzie jesteśmy.

Astrid bawiła się w zamyśleniu jedzeniem na talerzu. Upiła łyżeczek soku pomarańczowego.

– Użyłbym jakichś zmyślonych imion. Przecież poznałby moje pismo – ciągnąłem. – Dzięki temu przestałby się o mnie martwić.

Rinée waliła łyżką o tackę, siedząc na w swoim krześle.

Astrid oparła głowę na rękę.

– Hej – powiedziałem. – Może powinnaś się położyć z powrotem do łóżka, co?

– No – zgodziła się. – Plecy mnie bolą. I głowa. To pewnie tylko zmęczenie, ale może... może powinniśmy jutro znaleźć lekarza.

– Oczywiście. Od tego zaczniemy.

No jasne. Że też o tym nie pomyślałem.

– Nie martw się – mruknęła Astrid. – Nic mi nie jest. Myślisz, że dałbyś radę wykapać Rinée? Przydałoby się ją wymyć.

Zapewniłem ją, że sobie poradzę. Oczywiście pojęcia nie miałem, jak się kąpie dwulatkę, ale uznałem, że jakoś to będzie.

Kąpiel przebiegła bez większych atrakcji, poza tym, że byłem przemoczony do suchej nitki.

Gdy już położyłem Rinée spać, sam też postanowiłem wziąć prysznic.

Mowy nie było, żebym włożył po tym brudne ciuchy, więc wrzuciłem je razem z ubraniami Astrid do pralki.

Uznałem, że kombinezonów lepiej nie prać. Diabli wiedzą, co to w ogóle jest za materiał. Poza tym za nic nie chciałbym zniszczyć gwizdka.

Powiesiłem jeden kombinezon na wieszaku przy drzwiach wyjściowych, a drugi na drzwiach sypialni rodziców w nadziei, że w ten sposób, jeśli nadejdzie kolejny wściekły wiatr, gwizdki ostrzegą nas w porę.

Gdy zapakowałem już pranie do suszarki, wskoczyłem pod prysznic.

O Boże, co to było za boskie uczucie. Śmierdziałem potem i strachem. I wszystko to spłynęło razem z brudem.

Usłyszałem pukanie do drzwi, ale nim zdążyłem powiedzieć: „proszę”, wpadła Astrid, rzuciła się do muszli i zwymiotowała.

Wyłączyłem wodę i wyszedłem spod prysznica, pośpiesznie owijając się ręcznikiem.

– Nic ci nie jest? – spytałem.

Podniosła głowę i zaczęła nią kręcić, ale nie dała rady, bo znów zwymiotowała.

Włożyłem pizamę męża. Była jakoś kompletnie nie mojego rozmiaru – jednocześnie za szeroka i za krótka. Ale było mi wszystko jedno.

– Co mogę zrobić? Powiedz, co mogę zrobić – zwróciłem się do Astrid.

– Podaj mi wody – poprosiła, więc tak zrobiłem, ale już zupełnie nie wiedziałem, co dalej.

Kuliła się na kolanach, z brzuchem między nogami. Czoło przyciskała do zimnej posadzki w łazience.

– Co mogę zrobić? – spytałem znowu.

– Nic.

Próbowałem ją namówić, żeby wypła więcej wody. Wzięła kilka łyków i natychmiast wymiotowała.

– Po prostu mnie tu zostaw – rzuciła.

W spizarni znalazłem gatorade w proszku i przygotowałem jej napój. Wypiła trochę. Potem znów wyrzygała.

– Zostaw mnie w spokoju! – warknęła.

Poszedłem wyciągnąć nasze ciuchy z suszarki. Ubrałem się.

– Może powinniśmy pojechać do szpitala – powiedziałem, stojąc w korytarzu.

Wyciągnęła rękę i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Spędziłem tę noc, siedząc na łóżku i panikując.

Astrid spędziła ją w łazience – wymiotując i przysypiając na podłodze.

ROZDZIAŁ 32

JOSIE

DZIEŃ 35

Coś jest nie tak.

Nie mogę poruszać ani rękoma, ani nogami.

I jest bardzo jasno.

Jest bardzo jasno, nie wiem, gdzie jestem, i nie mogę poruszać kończynami.

Serce zalewa panika. Wszystko zaczyna nabierać ostrości.

Biały sufit upstrzony lampkami LED. Jasnozielone ściany. Żadnych okien.

Ręce i nogi mam w jakichś skórzanych kajdanach przymocowane do łóżka. Do prawej ręki podłączona kroplówka. Miejsce, gdzie wbita jest igła, ktoś zabezpieczył starannie i fachowo – półprzezroczysta taśma na mojej kakaowej skórze. Kłykcie – obandażowane.

Na lewej ręce też mam bandaż. Nie mogę sobie przypomnieć dlaczego.

Słyszę głosy spierające się o coś pod moim pokojem. To one mnie obudziły.

– Mówię panu, doktorze Savic, ta dziewczyna stanowi klucz do wszystkiego.

Jestem czysta.

Nagle to do mnie dociera.

Ktoś mnie umył.

Mam łzy w oczach z ulgi i wstydu.

– Nie może pan i nie będzie przeprowadzał badań na nieletniej bez pisemnej zgody jej rodziców! – Ciężki akcent. Może rosyjski?

Głowa zdaje się taka lekka. Nie mogę jej pomacać ręką, ale chyba ktoś mi obciął włosy.

W ustach jest sucho, sucho, sucho.

– Hej! – charczę.

Nie słyszą mnie.

– Niby jak mam, do licha, znaleźć teraz jej rodziców, doktorze Savic? Potrzebujemy tej dziewczyny, nie rozumie pan? Niech pan posłucha, ona sama podpisze zgodę. To wystarczy. Nikt się nie przyczepi.

– Miał pan być na szczepieniach, doktorze Cutlass, a nie tracić czas na te bzdury o superżołnierzach!

– Niech pan to powie Pentagonowi, bo otrzymałem bezpośrednie rozkazy od...

– HEJ! – udaje mi się krzyknąć.

Klamka się porusza.

Wbiega niska pielęgniarka, Azjatka o cienkich włosach. Ma na sobie fartuch lekarski, ale w jakieś dziecięce wzorki, Traindawgs.

– Obudziłaś się wreszcie, słońce! – mówi do mnie z uśmiechem.

Wchodzi dwóch lekarzy w białych fartuchach.

Jeden z nich jest szatynem, pewnie po czterdziestce. Jest bardzo przystojny, męski, trochę jak gwiazdor filmowy. Może wręcz przypomina mi jakiegoś aktora, ale jakiego?

Drugi jest starszy. Chyba Rosjanin. Wysoki, siwy, z lekkim brzuszkiem, z ponurym, dostojnym wyrazem twarzy. Opiera się na lasce.

– Gdzie ja jestem? – szepczę.

Przystojny lekarz podchodzi i staje obok mnie. Patrzy mi uważnie w oczy.

– Znajdujesz się w USAMRIID – mówi ten starszy. – To rządowy ośrodek badań medycznych. Nazywam się Savic, a to doktor Cutlass. Byłaś wystawiona na działanie chemikaliów, pamiętasz?

Kiwam głową.

I nagle wszystko sobie przypominam – śmierć pana Maria, wiatr i NIKA.

Próbuję coś powiedzieć, ale mam zbyt sucho w ustach.

Wydaję z siebie jęk.

Pielęgniarka przynosi plastikowy kubeczek z wodą i wtyka mi słomkę do ust.

– Masz, kochanie. Pij.

Nie wiem, jak to możliwe, że ma ciężki południowy akcent. Brzmi jak seksowna laska z Georgii, wygląda jak Chinka.

Moje usta wypełnia woda. Słodka, czysta woda.

– Niko mnie odnalazł – udaje mi się powiedzieć. – Musicie mnie zabrać z powrotem.

Lekarze patrzą na mnie przez chwilę, potem znów na siebie.

Podejmują swoją rozmowę, zupełnie ignorując moje słowa.

– Pod względem krwi ta dziewczyna jest zupełnie wyjątkowa – mówi przystojny doktor Cutlass.

Ma w kieszeni na piersi minitaba i teraz go wyciąga, żeby pokazać coś drugiemu lekarzowi.

– Pańska etyka zawodowa pozostawia wiele do życzenia, panie James. Zna pan moje zdanie na ten temat – odpowiada na to Rosjanin.

Aha. Czyli kompletnie mnie olewają. Uważają, że zwariowałam.

– Musi mieć pan zupełnie czyste papiery dla tej dziewczyny – mówi Rosjanin. – Pojawiły się plotki o badaniu ludzi wbrew ich woli. Już dotarły do prezydenta.

Mówi „plotki” takim tonem, jakby to było coś najgorszego na świecie.

– Hej! – odzywam się. Nadal mnie ignorują. – Posłuchajcie, przyjechał po mnie mój przyjaciel, Niko. Nie powinnam w ogóle tu być! Muszę wrócić! Musicie mnie odwiedzić. On przyjechał tylko dla mnie!

Doktor Cutlass daje znak pielęgniarce, która natychmiast posyła mi serdeczny uśmiech i robi coś przy mojej kroplówce.

– Wszystko dobrze, kochanie – szepcze. – Już jesteś bezpieczna.

Materac pochłania mnie jakimś ciepłym ciężarem, ciągnie mnie w głęboki, wspaniały sen.

– Będę tu, gdy się obudzisz, kwiatuszku – zapewnia pielęgniarka i przez chwilę wygląda jak anioł, bo światła na suficie układają się w aureolę.

ROZDZIAŁ 33

DEAN

DZIEŃ 35

Rano rozległo się pukanie do drzwi domu.

– Jamie! Lizzie! Jesteście tam?

Chyba w końcu się zdrzemnąłem, bo pukanie wyrwało mnie ze snu.

Pomknąłem po schodach i wyjrzałem przez trzy szybki w górnej części drzwi wejściowych.

Przez ozdobne szkło widziałem tylko, że to jakaś czarna kobieta.

– Jamie, to ja! Otwórz, jeśli jesteście w domu!

Otworzyłem drzwi, a ona odskoczyła na mój widok.

– Proszę się nie bać – powiedziałem szybko. – Znaleźliśmy Rinée i przywieźliśmy ją do domu. To wszystko.

– O Boże. A gdzie Jamie i Lizzie? Wiesz, gdzie oni są?

– Może pani wejdzie, to wszystko pani opowiem – zaproponowałem.

– Lepiej powiedz od razu, a potem wejdziemy.

Uniosła rękę i wskazała samochód. Zobaczyłem w nim chłopca. Twarz przyciskał do szyby.

– Czy to...

– Brat Rinée, J.J., Jamie Junior – odpowiedziała. – Powiedziałam mu, żeby zaczekał. Nie wiedziałam, co tu zastanę. Wczoraj zadzwonili do mnie ze szkoły. Nie odebrano mnóstwa dzieciaków. Pojechałam po niego, ale

potem całe popołudnie musieliśmy spędzić w szpitalu z moim mężem. Został zaatakowany... Przepraszam... Muszę się jakoś wziąć w garść... Jestem Lea, ciocia Rinée i Juniora. Powiedz mi, proszę, wszystko, co wiesz o moim bracie i jego żonie.

– Lizzie... Nie wiemy, gdzie jest Jamie, ale Lizzie... mama Rinée... nie żyje. Tak mi przykro.

Oczy kobiety wypełniły się łzami.

Pokiwała głową.

– Czy... czy ona jest tu w domu?

– Nie – powiedziałem. – Ciała tu nie ma.

Nie wyjaśniłem, gdzie jest ani jak zginęła jej bratowa. Zamierzałem to zrobić, ale uznałem, że mogę z tym poczekać.

– Dobrze – wyszeptała. – Dam radę.

Odwróciła się i dała znak chłopcu.

Pierwsze, co zrobił J.J., gdy się dowiedział, że rodziców nie ma w domu, ale Rinée jest cała i zdrowa, to pomknął jak błyskawica na górę do jej pokoju.

Usłyszałem jego cichy głos budzący ją ze snu, a potem jej płacz i jego uspokajające słowa.

– Nic jej nie jest! – zawołał do nas z góry.

Lea patrzyła na mnie. Krążyłem niespokojnie po salonie. Wiedziałem, że powinienem, no, nie wiem, zaproponować jej kawę czy coś, ale zbyt się martwiłem o Astrid.

– Proszę pani – odezwałem się w końcu. – Z moją dziewczyną coś jest nie tak. Nie wiem, co robić. Nie chce pić ani jeść, jest w ciąży, wymiotowała całą noc. Może mogłaby pani na nią rzucić okiem...

– Dlaczego od razu nie powiedziałaś? Gdzie ona jest?

Astrid wciąż leżała na podłodze, na której spędziła całą noc. Tylko teraz leżała na boku.

– Hmm – mruknęła Lea, marszcząc czoło.

– Nie wiem, czy to nie grypa żołądkowa. Albo może z tym kurczakiem coś było nie tak...

– Przynieś mi łyżkę i trochę świeżego tego czegoś – poleciła Lea, podając mi kubek z resztką gatorade'u. – Musimy ją przede wszystkim nawodnić.

Nim wróciłem na górę, Lea już siedziała na podłodze po turecku, a głowę i ramiona Astrid trzymała na kolanach.

– Przynieś mi zegarek – poprosiła. – Będziemy jej podawać po łyżeczce co trzy minuty. Z zegarkiem w rękę, ślicznotko. Zaraz się lepiej poczujesz. Zobaczysz.

Astrid tylko jęknęła.

– W którym jest tygodniu?

– W dwudziestym ósmym. Chyba – powiedziałem.

– Dobrze, okej, nic ci nie będzie, gołąbeczko – mówiła Lea. Już sam jej głos działał uspokajająco. Była tak pewna siebie i kompetentna, że odruchowo chciało się robić to, co każe. – Hej – odezwała się, podnosząc na mnie wzrok. – Bądź tak dobry i zrób dzieciakom śniadanie, dobrze?

– Jasne.

W innej sytuacji, w innym świecie może bym jej powiedział, że mam całkiem spore doświadczenie w gotowaniu dla dzieci. Że to była kiedyś moja praca.

Dałem dzieciom jajecznicę i tosty z dżemem. Rinée i J.J. byli razem tak słodcy, że serce mi się krajało.

J.J. był bardzo cichy. Mógł mieć z dziesięć lat. Wydawało mi się, że powinien zasypać mnie pytaniami o rodziców, ale o nic nie spytał. Potem przypomniałem sobie, że dzieciaki w Greenwayu zachowywały się podobnie. Można by to nazwać wyparciem, ale to nie było do końca to. Nie, że ich umysły zarejestrowały serię śmiertelnych wypadków, po czym zdecydowały się je wyprzeć ze świadomości. To było raczej jak rodzaj zasłony narzuconej na głowę, żeby w ogóle nie widzieć tych okropieństw. Jak warstwy gazy chroniące umysł przed rzeczami, z którymi by sobie nie poradził.

I to był właśnie ten rodzaj miękkiego spojrzenia, który widziałem teraz u brata Rinée przy śniadaniu.

Rejestrował tylko swoją małą siostrzyczkę.

Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle mnie zauważył.

Po jakiejś godzinie na dół zeszła Lea.

– Położyłam ją do łóżka. Sama nie wiem... Gdyby tylko szpital nie był tak zatłoczony. Zawiozłabym ją, żeby na wszelki wypadek rzucił na nią okiem lekarz. – Ale widząc niepokój na mojej twarzy, pośpiesznie dodała: – Myślę, że nic jej nie będzie. Jeśli tylko nie dopuścimy do odwodnienia, będzie dobrze. Musi dużo odpoczywać.

– Czy możemy tu zostać przez jakiś czas? Naprawdę nie mamy dokąd pójść...

– Oczywiście, że zostajecie. Tu się nie ma nad czym zastanawiać. – Spojrzała na zegarek. – Problem tylko w tym, że zostawiłam w domu męża. A za chwilę powinnam mu zmienić opatrunek.

J.J. bawił się z Rinée w kuchnię. Nie ulegało wątpliwości, że to w ogóle jej ukochana zabawa. Ale tylko J.J. potrafił jakoś tak pić i jeść z jej małych naczynek, że dziewczynka co chwilę wybuchała radosnym śmiechem.

Dobrze było słyszeć ten śmiech.

Lea też się uśmiechnęła. Ale zaraz zobaczyłem, jak jej oczy zasnuwa mgła rozpaczy lub strachu.

– Modlę się tylko, żeby Jamie wrócił. Mam nadzieję, że nic mu nie jest. Kocham brata ponad wszystko.

– Znam to uczucie – zapewniłem ją. – Naprawdę. – Położyłem jej rękę na ramieniu. – I powinienem jeszcze pani powiedzieć, co się stało z Lizzie.

– Muszę wracać do męża – mruknęła i zrozumiałem, że nie chce wiedzieć. – Najlepiej będzie, jak go tu przywiozę. Wy możecie zostać w dużej sypialni. W gabinecie na piętrze jest rozkładana sofa. Będzie nam tam wygodnie. W ten sposób będziemy mogli sobie nawzajem pomagać, a dzieci będą się najlepiej czuły u siebie w domu.

– Dobrze – zgodziłem się.

– Miej oko na dzieci, gdy mnie nie będzie, dobrze? – poprosiła.

– Oczywiście.

– A potem, może po kolacji, chciałabym usłyszeć twoją historię.

W zmarszczkach w kącikach jej oczu był taki smutek, że ścisnęło mi się serce.

Prawdę powiedziawszy, na oko stan Astrid za bardzo się nie zmienił. Chcę przez to powiedzieć, że nadal wyglądała strasznie. Ale przynajmniej spała głęboko, a to już było coś.

Na stoliku przy łóżku zobaczyłem łyżeczkę i gatorade. Lea powiedziała, że mam dać Astrid pospać z godzinę, a potem usiąść przy niej i znów zrobić

taką serię pojenia co trzy minuty.

Postanowiłem tymczasem wymyć chociaż chodnik i trawnik przed domem.

Dzieciaki chciały wyjść ze mną na dwór. Zawahałem się. Co, jeśli J.J. spyta, co robię? Co, jeśli się zorientuje, że te ciemne plamy na cemencie to krew?

Ale potem pozwoliłem im wyjść. Razem tak świetnie się bawili.

Włożyłem kombinezon, żeby mieć gwizdek na wypadek, gdyby znów pojawił się wiatr.

Wąż ogrodowy miał dość mocne ciśnienie. Udało mi się zmyć całkiem sporo krwi z cementu, a trawę właściwie całkiem wymyłem, ale żeby dokończyć chodnik, musiałem wrócić do domu po wiadro i płyn do mycia. Plama tam naprawdę mocno wsiąkła.

Przy okazji skoczyłem na górę zajrzeć do Astrid. Już nie spała.

– Jak się czujesz? – spytałem.

Pokazała mi gestem, że tak sobie.

– Głowa mi pęka – powiedziała cicho. – Myślisz, że mają tu advil?

Znalazłem tabletki w łazience.

– Mogłabyś to popić gatorade'em? – poprosiłem.

Skinęła głową.

– Lea powiedziała, że mam cię poić co trzy minuty – dodałem. – Ale zostawiłem dzieci na dworze...

– Poradzę sobie – zapewniła.

– Tak?

– Tylko trochę się odwodniłam, Dean. Nic mi nie jest – powiedziała.

Ale miała zapadnięte policzki, włosy przylepione do głowy, a skórę zielonkawą. Nie wyglądała najlepiej.

Tylko że wydawało mi się, że takich rzeczy nie mówi się swojej dziewczynie.

Lea wróciła z mężem, Davidem, zaraz po lunchu (mrożona pizza z mięsem i frytki ze słodkich ziemniaków dla mnie i dzieciaków, suchy tost i herbata z miodem na tacy dla Astrid). David był roslym czarnym mężczyzną z ręką na temblaku. Na jej końcu było mnóstwo bandaży – w miejscu, gdzie kiedyś była dłoń.

Jakoś słabo kontaktował, wciąż uśmiechał się szeroko i chodził tak dziwnie, jakby cały czas przekraczał próg niskich drzwi.

– Jest na percocecie – wyjaśniła Lea. – Chodź, Davy – zwróciła się do niego głośno. – Wejdz do domu i zaraz znów pójdziesz spać.

– Się robi, mała – odpowiedział i chciał jej dać buziaka.

– Nie, nie – roześmiała się Lea. – Wchodź.

Zaprowadziła go na górę i chyba od razu przy okazji zajrzała do Astrid, bo kilka minut później zawołała mnie głosem nabrzmiałym niepokojem:

– Dean! Chodź tu natychmiast!

Już od drzwi czuć było wymiociny.

– Słońce, musisz ją natychmiast zawieźć do szpitala – szepnęła do mnie.

Astrid zwisała z krawędzi łóżka. Podłoga była zarzygana.

– Nie – jęknęła.

– Ona potrzebuje kroplówki. Gatorade nie wystarczy. – Lea pomogła jej się podnieść.

– Nie! – upierała się Astrid.

– To nic takiego. Dean cię zawiezie. Dadzą ci kroplówkę. A jak już będziesz nawodniona, Dean przywiezie cię z powrotem i po krzyku.

Lea wzięła mnie za ramię i wyprowadziła na korytarz.

– Sytuacja wygląda tak: szpitale w Vinicie są zupełnie zapchane. Wczoraj czekaliśmy z Davidem osiem godzin, a przecież zwisła mu odrąbana dłoń! Nie przyjmą jej nawet na kroplówkę. Myślę, że powinieneś ją zawieźć do Joplin.

– Dobrze – powiedziałem, czując, jak z paniki skacze mi adrenalina. – Dobrze.

– Widzisz, chodzi o to, że to może być stan przedrzucawkowy. To bywa poważne, rozumiesz? Lizzie to miała w pierwszej ciąży. Weź samochód doktora Waggonera i jedź.

– Jakiego znowu doktora?

– Tego, którego samochodem jeździłeś już przedtem. Sąsiada Jamiego.

– Aha, okej.

Głupia logiczna część mojego mózgu i tak musiała przetworzyć te dane, mimo że mieliśmy właśnie poważny kryzys: czyli nie jeździliśmy wcale samochodem Lizzie. To dlatego nie było w nim fotelika dla Rinée.

Lizzie próbowała ukraść samochód sąsiada. Tego, który ją zabił.

Zanim ją zabił.

ROZDZIAŁ 34

JOSIE

DZIEŃ 35

Budzę się, bo ktoś mi odrywa taśmę z lewej ręki.

Otwieram oczy i znów widzę tę pielęgniarkę.

– Dzień dobry! – wita mnie. – Ale sobie odpoczęłaś, spałaś dobre dwanaście godzin.

Mija chwila, nim przypominam sobie, gdzie jestem i dlaczego nie mogę poruszać kończynami.

Pielęgniarka przykłada mi do ust słomkę.

Piję z wdzięcznością.

– Moim zdaniem coś cię po prostu ugryzło w rękę. Słowo daję. To mi wygląda na paskudne ugryzienie – mówi, kończąc zmianę opatrunku.

Przypominam sobie, że ma rację.

Aidan, mały Aidan ugryzł mnie w rękę.

Boże drogi, co się stało z moimi dziećmi?

– Jestem Sandy – mówi pielęgniarka. – A ty jesteś Josie Miller, jeśli ta żałosna karta pacjenta się nie myli. Byłaś w obozie w Mizzou. Zgadza się?

Kiwam głową.

– Jak się czujesz?

Przyjechał po mnie Niko i na jego oczach zaatakowano mnie, uśpiono i zabrano. Moje dzieci zostały bez żadnej opieki w samym środku krwawych zamieszek.

A teraz jestem uwięziona w rządowym ośrodku badawczym.

Nadgarstki i kostki mam obolałe od skrępowania i czuję, że mam też założony cewnik, co jest bardzo niewygodne.

Serce mi wali. Gardło mam obolałe. Swędzi mnie ręka, a moje serce jest zupełnie złamane.

Czuję, że nie ma już w nim nadziei.

Brak mi słów, by odpowiedzieć na jej pytanie.

– Może spytam inaczej: jesteś głodna?

Tak, uświadamiam sobie, że tak. Żołądek mam zupełnie pusty.

Kiwam głową.

Śmieje się.

– Dobrze. – Podchodzi do drzwi i woła: – Kelly, zamówiłabyś śniadanie dla pani Miller? – Wraca i znów daje mi wody. – Słuchaj, muszę cię za coś przeprosić. To ja podjęłam decyzję, że trzeba ci obciąć włosy. Myślałam, że tak będzie dla ciebie najlepiej, kochanie, ale teraz mam wyrzuty sumienia. Widzisz te koczki były twarde jak kamienie. Linnea, ona też jest czarna, powiedziała, że to już dredy i że lepiej je ściąć, ale zrozumieć, jeśli się na mnie wściekniesz.

Nawija tak miło i serdecznie. Nie da się na nią gniewać.

– Nie wściekam się – charczę.

– To dobrze. Wyglądasz mi na dziewczynę o wielkim sercu.

Odwracam głowę.

Jest mi po prostu zbyt smutno.

– No już, już – mówi, klepiąc mnie po ramieniu. – Nie zamartwiaj się niczym.

Stoi tak przy mnie, gdy płaczę.

Opatula mnie, poprawia mi poduszki.

Nic nie mówię.

Nie potrafię.

– Wiesz, co myślę? Naprawdę nie potrzebujesz tych pasów. Tak uważam. Skórzane pasy są dla wielkich facetów, a Bóg jeden wie, że przewinęło się już ich przez nasz ośrodek aż nadto. Taka drobna dziewczynka jak ty muchy by przecież nie skrzywdziła.

Myli się, jakże się myli.

– Dam ci zamiast nich takie taśmy. Będziesz mogła więcej się ruszać i nawet leżeć na boku, co jest miłe. Tylko wiesz, muszę mieć pewność, że mnie nie zaatakujesz, co? – Łapie mnie za prawą rękę i ściska delikatnie. Jej skóra jest miękka, nawilżona. – Nie zaatakujesz mnie, kochanie, prawda?

– Nie – obiecuję szczerze. – Nie zaatakuję pani.

– Dzielna dziewczynka – cieszy się Sandy. – Zaraz wracam.

Wybiega z pokoju.

Pod jej nieobecność jakiś mężczyzna wnosi tacę z jedzeniem.

Czuję zapach jajek, bekonu, tosta francuskiego i herbaty.

Ślinka mi cieknie od tych aromatów. Mój nos jest jak pijany. Burczy mi w brzuchu.

Mężczyzna aż chichocze.

– Tylko nie jedz za szybko. Każdy kęs po dziesięć razy, żebyś się nie pochorowała.

Wraca Sandy z małą paczuszką nowych pasów.

Przyciska guzik i podnosi się góra łóżka.

Najpierw rozwiązuje mi nogi.

Rozciągam się.

– Lepiej, prawda?

– Tak – udaje mi się wycharczyć. – Dziękuję.

Jedzenie. Nie mogę się już doczekać, aż skończy z tymi pasami.

Czuję falę nerwowej energii. Chcę jeść.

– Już, już. – Przyczepia do moich stóp lżejsze pasy i przechodzi do rąk.

Teraz jest mi znacznie wygodniej.

Na nadgarstki włożyła mi bransoletki, które są długimi taśmami przyczepione do łóżka.

– Lepiej, prawda? Są z kevlaru i jedwabiu, wyobrażasz sobie? – Podsuwa mi tacę, tak że mam ją teraz nad kolanami. Widzę na niej mały zamknięty kubeczek z sokiem pomarańczowym, bułkę z masłem, metalowy dzbanuszek z syropem klonowym i srebrną pokrywę na ciepłe jedzenie.

Sandy ją unosi.

Jajka, bekon, tost francuski. Wszystko na swoim miejscu.

Ręce mi się trzęsą, gdy podnoszę plastikowy widelec i nabieram jajek.

Maślane, kremowe. Czy usta mogą przeżyć szok?

Zmuszam się do żucia.

Sandy patrzy na mnie uważnie.

– Kochana – mówi. – Was tam przecież kompletnie głodzili w tym Mizzou, wiesz?

Podnoszę wzrok.

Tak, wiem.

Znów skupiam się na jedzeniu.

– Jak nasza pacjentka? – czyjś głos budzi mnie z drzemki po ucztach. To ten lekarz-gwiazdor.

– W porządku – odpowiadam.

– Świetnie, świetnie! Doskonale.

To sztuczna radość. Czegoś ode mnie chce.

– Widzę, że Sandy zmieniła ci pasy. To jej decyzja. Mnie nic do tego.

Widzę, że odruchowo ma ochotę usiąść na brzegu łóżka, ale jednak nie siada.

– A więc, Josie, chciałbym się trochę więcej o tobie dowiedzieć. Mogłabyś opowiedzieć mi o tym, co się z tobą działo, nim cię zabrano z Parker?

Kiwam głową.

– Czy byłaś na zewnątrz podczas pierwszej kontaminacji?

Chyba robię tępą minę, bo zaraz wyjaśnia:

– Kiedy nastąpił pierwszy wyciek w NORAD-zie, czy przebywałaś wtedy na zewnątrz? Byłaś wystawiona na działanie chemikaliów?

– Nie – odpowiadam. – Dopiero dwa tygodnie później. Przedtem byłam bezpieczna w dużym budynku. Dopiero kiedy próbowaliśmy dotrzeć do Denver, zostałam wystawiona na działanie chemikaliów.

Rysikiem notuje szybko na minitabie.

Wchodzi Sandy, udając, że musi mi poprawić kroplówkę, ale chyba głównie chce usłyszeć moją historię.

– Ten maluch, Max, został zaatakowany, a wtedy już wiedziałam, że jestem 0. Żołnierz, który się na niego rzucił, zupełnie oszalał. Wiedziałam, że jeśli wejść w tryb 0, pokonam go z łatwością, więc zdjęłam maskę.

Sandy słucha, minę ma pełną współczucia.

Doktor Cutlass tylko potakuje i notuje.

– Jak długo byłaś wtedy wystawiona na działanie chemikaliów?

– Około trzech dni. Trudno mi dokładnie powiedzieć. Było tak ciemno.

– W ciągu tych trzech dni, pamiętasz... czy zupełnie straciłaś panowanie nad sobą, czy też byłaś w stanie podejmować pewne decyzje?

Podnosi na mnie wzrok znad tableta. Ta odpowiedź jest dla niego ważna.

– Mogłam podejmować pewne decyzje...

– Wiedziałem!

– Dawałam radę nie krzywdzić moich przyjaciół. Tyle. Móc nie zabijać. Ale w Mizzou, gdy nadszedł wiatr, odkryłam, że bardziej panuję nad sytuacją, o wiele bardziej niż wcześniej.

Doktor Cutlass zaczyna krążyć po małym pokoju.

– Niesamowite! – ekscytuje się. Otwiera jakiś plik na tablecie. – Posłuchaj tylko, co napisali o tobie w Mizzou: „Gdy nadszedł wściekły wiatr, Miller próbowała uratować

dwoje małych dzieci. Podczas gdy wszyscy inni więźniowie skupiali się na mordowaniu i przemocy, Miller usiłowała rozdzielić walczące dzieci i zabrać je w bezpieczne miejsce”.

Siadam na łóżku, pasy zaciskają się na nadgarstkach.

– Kto to napisał? – pytam.

– Lekarz z obozu.

– Doktor Quarropas?

Sprawdza.

– Tak, J. Quarropas.

– Ma pan kontakt z doktorem Quarropasem?

– Nie, dlaczego? – pyta Cutlass.

– Chciałabym tylko... wiedzieć, co z moimi dziećmi – szepczę.

Moje serce zalewa nadzieja, co zaskakuje mnie zupełnie.

Sandy, która teraz poprawia mi prześcieradło w nogach łóżka, klepie mnie po stopie.

Doktor Cutlass patrzy na mnie. Namyśla się.

– Zrobimy tak. Zastanowię się, jak się skontaktować z tym lekarzem, ale chcę, żebyś i ty się nad czymś zastanowiła.

– Dobrze.

– Josie, myślę, że jesteś wyjątkowa. Że masz zdolność świadomego kontrolowania umysłu, gdy jesteś wystawiona na działanie MORS-u.

– MORS-u?

– MORS to nazwa broni chemicznej, która wyciekła w regionie Four Corners – wyjaśnia pośpiesznie. – Potrzebuję od ciebie tylko próbkę płynu mózgowo-rdzeniowego.

I natychmiast zapewnia mnie, że to bardzo prosty zabieg, że ryzyko jest małe, że będą szczególnie ostrożni, bo jestem tak ważną pacjentką, i że jeśli się zgodzę,

szybciej mnie potem wypuszczą, i jeszcze mnóstwo innych rzeczy, które mają mnie przekonać.

I pewnie bym się zgodziła, gdyby nie jeden szczegół: gdy tylko doktor Cutlass mówi: „próbka płynu mózgowo-rdzeniowego”, głowa Sandy unosi się raptownie. Stoi w nogach mojego łóżka, za lekarzem. Oczy ma rozszerzone przerażeniem, usta mocno zaciśnięte.

I kręci głową. Raz, szybko. Nie!

– To umówmy się tak – mówi doktor Cutlass. – Ty mi podasz nazwiska tych dzieciaków, a ja zrobię, co w mojej mocy. Potem, gdy tylko podpiszesz formularz, będziemy gotowi do działania.

– Ale... jak się pobiera ten płyn? – pytam.

– Ach, racja, nie powiedziałem?

Kręcę głową.

– Przez nakłucie lędźwiowe. To rutynowy zabieg.

Nie udaje mi się opanować. Moje oczy same przesuwają się do Sandy.

Doktor Cutlass to zauważa i spogląda przez ramię.

Posyła jej wściekłe spojrzenie. Naprawdę mordercze.

– Wiesz co, kochana? – mówi pielęgniarka. – Sprawdzę, czy twój lunch już gotowy!

Lekarz odwraca się z powrotem do mnie ze sztucznym uśmiechem.

– Wykonujemy go niemal codziennie – ciągnie. – No, podaj mi nazwiska przyjaciół. Wiesz, może nawet udałoby mi się przenieść ich do jakichś bezpieczniejszych ośrodków.

Wiem, co to jest. Przekupstwo.

Podaję mu nazwiska.

Mówię, że się zastanowię nad zabiegiem.

Widzę, jak dociera do niego, że póki co więcej ze mnie nie wyciągnie.

– A teraz odpocznij, Josie Miller – mówi. – Przed nami wiele pracy.

Kiedy się budzę, Sandy coś kombinuje przy kroplówce.

– Pani Sandy? – pytam. – Wszystko w porządku?

Kiwa głową.

– W jak najlepszym, kwiatuszku.

Ale wiem, że nie. Wiem, że ma swoje zdanie na temat badania, które mi zaproponował doktor Cutlass.

– Wiesz, co sobie pomyślałam? Skoro już tak dobrze się czujesz, może byś wstała na chwilę z łóżka? Mały spacer? – nawija.

– O tak!

Śmieje się.

– Widzisz? – mówi. – Warto współpracować. Doktor Cutlass był zachwycony twoim rozsądkiem i ugodowością. To dobrze. Bo to oznacza, że teraz możesz sobie pójść na małą przechadzkę.

Z jej głosem jest coś nie tak. Jest jakiś dziwny. Patrę jej w oczy i wtedy szybko pokazuje mi wzrokiem coś w kącie.

Potem zaraz kładzie mi rękę na nodze.

– Zdejmijmy te taśmy – mówi i odwraca mnie tak, że leżę twarzą do kąta, który pokazała mi oczami.

I wtedy to widzę.

Mała srebrna bańka.

Kamerka.

Ktoś nas obserwuje, nagrywa.

Dlatego Sandy musi się liczyć ze słowami.

– Będziemy bardzo ostrożne, słońce, i powolutku cię oprowadzę po naszym pięknym oddziale badań i rehabilitacji.

Zdejmuje pasy, usuwa cewnik i pomaga mi wstać. Nogi się pode mną uginają, ale łapie mnie sprawnie. Jest tak niska, że jej ramię idealnie pasuje pod moją pachę.

– Powolutku. Najpierw sobie przypomnij, jak się stoi. Może lepiej wezmę dla ciebie wózek.

– Nie – mówię. – Wolałabym iść. Naprawdę.

Opieram się na niej. Jest mała, ale silna.

Musimy ciągnąć ze sobą kroplówkę, ale to nie szkodzi. Mogę się na niej trochę oprzeć.

Robię dwa, trzy kroki od łóżka.

– Proszę pani, nim wyjdziemy na korytarz...

– Tak?

– Mogę tylko szybko przejrzeć się w lustrze?

W łazience jest prysznic, umywalka i toaleta. Wszystko małe i solidne. W złotym świetle łazieneczki patrzę ze zdumieniem w lustro. Podoba mi się to, co widzę.

Włosy zniknęły. Ścięte tuż przy skórze, ale podoba mi się ta fryzura.

Wyglądam w niej doroślejszej, twardziej.

I jak się nad tym zastanowić, to tak właśnie się czuję.

Po pierwszych niepewnych momentach całkiem sprawnie sunę naprzód.

Ciało mam obolałe i zmęczone, ale Bóg jeden wie, że bywało już ze mną gorzej.

Korytarz wygląda jak w zwykłym szpitalu, zaglądam do kilku pokoi, które mijamy. W żadnym nie ma okien.

– Są też oczywiście szpitale w bazie Fort Bragg i Fort Benning i innych miejscach, ale najbardziej obiecujące przypadki przysyłają tutaj – mówi Sandy,

prowadząc mnie po korytarzu.

Większość drzwi jest zamknięta, ale w jednym pokoju widzę wielkiego mężczyznę przywiązanego do łóżka. W innym jakiś pan odwiedza zapłakaną kobietę, która siedzi na łóżku w takiej samej koszuli, jaką dali mnie.

– Możemy przyjmować odwiedzających? – pytam.

– Czasami. – Sandy wzdycha. Wskazuje metalowe drzwi z dużym oknem.

Szyba jest wzmocniona drutami. Po drugiej stronie stoi uzbrojony strażnik.

Sandy macha do niego. Odpowiada jej ledwie zauważalnym skinieniem głowy.

– Drzwi na klatkę schodową na każdym piętrze są strzeżone dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie dostanie się tu nikt, kto nie powinien, więc nie masz się czym martwić.

Klepie mnie po ramieniu.

Jej słowa mają jedno znaczenie na powierzchni, ale czuję, że tuż pod nią czai się drugie: nie próbuj uciekać.

– Bardzo surowe środki bezpieczeństwa. Na każdym piętrze sprawdzają pracownikom siatkówkę. Wszystko z myślą o naszym bezpieczeństwie.

A więc mówi, że przy każdych drzwiach sprawdzają tożsamość. Musiałabym chyba ukraść komuś gałki oczne, żeby stąd uciec.

Idziemy dalej i nagle dopada mnie zmęczenie.

Jestem zupełnie bez sił.

– Znajdujemy się pod ziemią – ciągnie pielęgniarka, machając na powitanie koleżance. – To dlatego nie ma tu żadnych okien.

Słyszę jakiś szum, coraz głośniejszy. Jesteśmy coraz bliżej pokoju, gdzie jakiś mężczyzna froteruje podłogę olbrzymią maszyną.

– Zmęczyłam się – mówię.

– Jeszcze tylko kawałeczek – odpowiada.

Nie chcę już nigdzie iść. Chcę tylko spać.

Ale ona ciągnie mnie dalej, aż stajemy tuż przy facecie z szumiącą froterką.

Wtedy Sandy pochyla się w moją stronę.

– Nie podpisuj żadnej zgody – mówi mi prosto do ucha. – Nakłucie lędźwiowe, które chcą ci zrobić... to zbyt niebezpieczne dla kogoś takiego jak ty.

Patrzę na faceta poruszającego maszyną wkoło. Podnosi wzrok, patrzy Sandy w oczy.

– Doktor Cutlass to dobry człowiek, ale stracił... perspektywę. Ten zabieg jest niebezpieczny dla takich osób jak ty. Dla innych może i nie. Ale nie dla zer, które były wystawione na działanie chemikaliów. A już na pewno nie dla takiego chucherka jak ty. Rozumiesz?

Przeszywa mnie dreszcz paniki. Kiwam głową.

Sandy obraca mnie i wracamy do pokoju.

– I pamiętaj, że ja ci tego nie powiedziałam.

ROZDZIAŁ 35

DEAN

DZIEŃ 35

Niosłem Astrid do samochodu. Wzdrygnęła się, gdy poczuła na sobie promienie słońca.

– Pa, pa! – wołała za nami Rinée.

– Wrócimy tu jeszcze – obiecałem małej i jej bratu.

Stali na ganku, gdy Lea pomagała mi ułożyć Astrid na fotelu pasażera.

– Pa, pa, In! – zawołała znowu Rinée.

Prawdę powiedziawszy, wyglądała na dość szczęśliwą, że sobie jedziemy.

Ruszyłem. Astrid jęczała. Męczyło ją samo to, że samochód trzęsie. Płakała z bólu na każdym wyboju.

– Błagam – poprosiłem, podając jej dziecięcą butelkę z wodą, którą Lea dała nam do samochodu. – Błagam, wypij choć łyżeczek.

Wypiła potulnie.

Ręka trzęsała się jej okropnie, gdy sięgała po butelkę.

Wyjechaliśmy na autostradę, kierowaliśmy się na północ.

– Czujesz się choć trochę lepiej? – spytałem.

Głowa jej zwisała, opierała ją trochę na ręce opartej o deskę rozdzielczą.

Znów zwymiotowała i spojrzała na mnie z przerażeniem w oczach. Na brodzie miała zieloną smugę.

– Będzie dobrze – powiedziałem. – Będzie dobrze.

Oparła głowę o szybę, a ja jechałem już sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Jeśli złapią nas gliny, to tym lepiej. Może nas eskortują do szpitala.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – zapewniłem, choć pojęcia nie miałem, jak daleko jest Joplin ani ile nam zajmie dotarcie do szpitala. – To pewnie tylko grypa żołądkowa – dodałem. – Zaraz ci coś na to dadzą i ci przejdzie.

– Moja głowa – załkała. – Tak strasznie boli.

A potem dostała drgawek.

Głowa jej opadła w tył, zaczęła się miotać, wymachiwać rękoma.

Zakląłem i zjechałem na pobocze.

– Astrid! Astrid! – krzychałem.

Zatrzymałem się, a śmigające obok samochody trąbiły jak szalone.

Próbowałem ją jakoś przytrzymać. Czy powinienem włożyć jej rękę do ust, żeby nie przygryzła sobie języka? Zupełnie nie mogłem sobie przypomnieć, a tymczasem ona nagle opadła bezwładnie.

– Astrid? Astrid! – wołałem.

Była nieprzytomna.

Wyrwał mi się jęk rozpacz.

Co robić?

Wyskoczyłem z samochodu. Próbowałem zatrzymać przejeżdżające samochody.

– POMOCY! – darłem się. – Nich ktoś mi pomoże!

Nikt się nie zatrzymał.

Nikt!

I wtedy zobaczyłem wojskowy wóz.

Jechało ich więcej.

Wskoczyłem z powrotem za kierownicę, zapiąłem pas i wcisnąłem pedał gazu.

Pierwszy samochód nas minął, nim nabrałem prędkości.

W konwoju było osiem czy może dziesięć oliwkowych ciężarówek i jeszcze jedna z platformą, a na niej dwa takie same dżipy jak te, które widzieliśmy w samolocie Roufy.

Trąbiłem na nie, machałem, ale mijały mnie jedna po drugiej.

Już po chwili wszystkie były przede mną, a ja za nimi. Zostawiały mnie w chmurze pyłu.

Ostatnia ciężarówka była pełna żołnierzy i gdy trąbiłem i wymachiwałem rękami, błagając, żeby się zatrzymali, jakiś żołnierz z papierosem w ustach wystawił głowę na zewnątrz i spojrzał na mnie.

– Błagam! Zatrzymajcie się! – krzyczałem, choć oczywiście nie mogłem mnie usłyszeć. – Potrzebuję pomocy! Pomocy!

Żołnierz wyciągnął papierosa i pstryknął nim w moją stronę, a potem wybuchnął śmiechem i schował głowę za drelichową zasłonę.

Moja noga wcisnęła gaz, jakby należała do kogoś innego. Cisnąłem małą mazardę, ile miała sił – sto dziewięćdziesiąt, dwieście, dwieście dziesięć kilometrów na godzinę – i w końcu zrównałem się z ostatnią ciężarówką.

Zobaczyłem zdumioną minę żołnierza siedzącego na miejscu pasażera i podjechałem mazardą jeszcze bliżej ciężarówki. Zepchnę ich z pasa. Zmuszę do udzielenia nam pomocy. Po prostu ich zmuszę.

Ciężarówka zjechała lekko i usłyszałem pisk hamulców.

Wjechałem za nią, mało nie waląc w jej tył.

Boże drogi, co ja narobiłem?

Drzwi mojego samochodu otworzyły się raptownie i przypakowany żołnierz wyciągnął mnie za koszulę, a potem cisnął na maskę.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? Chcesz, żebyśmy cię zastrzelili czy co?

– Moja dziewczyna i ja jesteśmy poszukiwani przez wojskowe służby medyczne – powiedziałem szybko. – Zgłaszamy się na badania.

ROZDZIAŁ 36

JOSIE

DZIEŃ 35

Doktor Cutlass przychodzi do mnie późnym popołudniem.

Za każdym razem, kiedy go widzę, jestem pod wrażeniem jego włosów. Zawsze idealne. Falujące, brązowe, lekka siwizna na skroniach i małe loczki przyczesane albo może przylepione żelem.

Ma swój minitab i grubą kopertę.

– Josie Miller! – woła i posyła mi promienny uśmiech. – Słyszałem, że byłaś dziś na przechadzce.

Nawet nie czeka na odpowiedź. Podsuwa mi szpitalny stolik i wyciąga z koperty mnóstwo papierów.

– Skontaktowałem się z doktorem Quarropasem i już zbiera informacje o tych dzieciakach, o których mi mówiłaś. Mówi, że już ma... jak jej było na imię... Hannah? – Z kieszeni wyciąga srebrne pióro i kładzie je na stoliku. Potem szuka czegoś w papierach, aż znajduje kartkę z naklejką „tu podpisać”. – Nie, Heather. To była Heather. Tak, Heather znajduje się w klinice i nic jej nie jest. Miała wprawdzie wstrząśnienie mózgu i kilka ran szarpanych, ale już dochodzi do siebie. Pytałem też doktora o możliwość przeniesienia dzieciaków do jakiegoś lepszego ośrodka, gdzieś bliżej ciebie. Zobacz, co się da zrobić.

Uśmiecha się do mnie, kiwa lekko głową. Wskazuje mi to miejsce z nalepką.

– Podpisz tutaj.

Patrzę mu w oczy.

Nie może wytrzymać mojego spojrzenia. Drży mu brew. Odwraca wzrok.

– Nie podpiszę – mówię.

– Nie? – pyta. – Hm. A dlaczegoż to?

– Boję się, że to nie jest bezpieczne.

– Nakłucie lędźwiowe? To rutynowy zabieg. Zobacz, zaraz ci pokażę.

Wstukuje adres na minitabie i pokazuje mi artykuł w Wikipedii o nakłuciu lędźwiowym.

Czytam posłusznie. Rzeczywiście jest tam napisane, że to zabieg, który nie wiąże się z dużym ryzykiem.

Ale Sandy nie ostrzegałaby mnie przecież bez powodu. Nie zadałaby sobie tak wiele trudu.

Oddaję mu minitaba i wzruszam ramionami.

– Wiesz co? Jeszcze w ogóle nie rozmawialiśmy o twoim wyjściu ze szpitala – mówi, zmieniając nagle taktykę.

Ale nie daję się nabrać.

– A najlepszą wiadomość zachowałem na koniec. Wydałem zgodę na przyznanie ci grantu za udział w badaniu. Dostaniesz dwadzieścia tysięcy dolarów.

Kurczę. Teraz przynajmniej wiem, ile jest wart mój podpis. Głowę daję, że mogłabym podbić do pięćdziesięciu.

– Nie podpiszę – mówię.

– Podpiszesz. Bo jesteś kluczowa! W tobie, w tobie jednej tkwi ta informacja, której potrzebujemy. Cholera, Josie Miller, będziesz sławna. Pomyśl tylko, dzieci będą się o tobie uczyć na historii!

– Nie chcę być sławna.

– To czego chcesz?

Odwracam wzrok.

Czego chcę?

Chcę się cofnąć w czasie.

Chcę do mamy. Albo do taty. Albo do kogokolwiek, kto zna mnie sprzed tego wszystkiego. Do kogoś, kto mi przypomni, jak się żyje.

Chcę jakiegoś magicznego eliksiru czy balsamu, który mogłabym wetrzeć w ciało, wypełnić każdą komórkę i nie czuć w sobie już tej agresji – nie czuć, że każdy atom trze się boleśnie o pozostałe.

Chcę być znów dziewczyną.

Chcę nie wiedzieć tego, co wiem.

Chcę, żeby ktoś mnie przytulił. Ktoś, kto by niczego ode mnie nie chciał.

– Powiedz mi, czego chcesz, Josie.

– W zamian za życie? – pytam.

– Nie za życie! Za dziesięć milimetrów płynu rdzeniowego.

– Ta operacja mnie zabije!

– Kto ci nagadał takich bzdur? Sandy?

– Nie! – łkam. – Nic nie powiedziała, ale ja...

– Ty co? – pyta z potępieniem w głosie.

– Mam złe przeczucia.

Doktor Cutlass robi wydech przez zęby. Jest wściekły.

– Słuchaj – mówi. – Rozumiem, że jest w tobie złość. Na twoim miejscu pewnie też nie chciałbym pomagać innym.

Próbuje okazać mi zrozumienie. Ludzką twarz. I choć wiem, że to tylko gra, naprawdę widzę w jego oczach żal. I ból. Wydaje mi się, że są szczerze.

– To, co się stało w Mizzou, musiało być straszne. Widziałem te raporty. Wspominałaś o chłopcu – ciągnie. – Nicko?

– Niko – poprawiam. – Przebył całą tę drogę do Mizzou, żeby mnie znaleźć. A potem nadszedł wiatr i doktor Quarropas mnie uspił, nim zdążyłam z nim choćby porozmawiać. Pokonał całą tę drogę na marne.

I choć mówię sobie, krzyczę na siebie, żeby nie płakać, czuję, że oczy mam pełne łez.

– Zobaczą, co się da zrobić. Może uda się go namierzyć. – Klepie mnie po ramieniu. Wstaje. Potem się zatrzymuje. – Jeśli go znajdziemy, podpiszesz to?

Odwracam głowę. Przecież jemu zależy tylko na mojej zgodzie.

Na jedną krótką chwilę zupełnie o tym zapomniałam. Pozwoliłam mu znaleźć na mnie sposób.

Kiwam głową, że podpiszę, i chowam twarz w poduszkę.

Poszewka śmierdzi wybielaczem i jest lekko przypalona żelazkiem. Płacę przez chwilę.

W końcu udaje mi się pozbierać, więc wciskam guzik dzwonka.

Wchodzi latynoska pielęgniarka. Wysoka i kanciasta. Kąciki ust ma wygięte do dołu.

– Tak? Potrzebujesz czegoś?

– Gdzie jest pani Sandy? – pytam.

– Sandy pracuje teraz na innym piętrze. Czego chcesz?

Odwracam głowę.

– Nic, nic – szepczę.

– Gdzie twoje pasy? – pyta.

– Pani Sandy powiedziała, że ich nie potrzebuję.

– Doprawdy? Cóż, na moim oddziale nie będzie takiego bałaganu. – Podchodzi do drzwi i woła. – Hector, pasy!

– Nie potrzebuję ich. Przysięgam. Nikogo nie skrzywdzę.

– W twojej karcie jest napisane, że „nie współpracujesz”. Póki nie zaczniesz współpracować, będziesz miała pasy i koniec.

– Czy doktor Cutlass o tym wie? Gdzie jest pani Sandy? – wołam.

Odruchowo zwijam się w kłębek. Jakbym się łudziła, że jeśli będę przyciskać stopy i dłonie do siebie, to mnie nie dorwą.

Pielęgniarka podchodzi do łóżka. Zdaje mi się, że chce porozmawiać, ale nie, ona tylko bierze małą strzykawkę i stuka, żeby się pozbyć powietrza.

Wchodzi wielki mężczyzna ze skórzanymi pasami.

– Nie! – krzyczę. – Proszę, obiecuję, że nic nikomu nie zrobię!

Pielęgniarka wstrzykuje mi coś i zapadam w sen.

ROZDZIAŁ 37

DEAN

DZIEŃ 35

Żołnierze nie byli zachwyceni moją akcją. Mieli mnie za kompletnego palanta i dali mi to jasno do zrozumienia.

Każdy z nich miał kombinezon ochronny. Z grubszego materiału niż nasze, ale równie obszerne. Mieli też przy pasach zupełnie inne maski. Bardziej jak hełmy z wbudowanym ustnikiem, nie takim jak nasz, który się trzymało między zębami. To był oddział do zadań specjalnych.

– Masz pojęcie, co grozi za utrudnianie działań armii, synek? – ryknął na mnie olbrzym, który wyciągnął mnie z samochodu.

– Idzie sierżant – syknął inny.

Zobaczyłem, że przeze mnie zatrzymał się cały konwój. Oficer z trzema innymi żołnierzami szedł w naszą stronę.

I wtedy to usłyszeliśmy.

Piiiiip! Chór gwizdków alarmowych.

– KOMBINEZONY! MASKI! – zaczęli krzyczeć żołnierze.

Miotali się we wszystkie strony. Słońce błyskało na hełmach, słyhać było zgrzyt zapinanych zamków.

Zrobiło mi się słabo z przerażenia – zapomniałem o kombinezonie dla Astrid.

Nadal wisiał na kuchennych drzwiach w domu Rinée i jej brata.

Żołnierz, który jeszcze przed chwilą mnie trzymał, teraz pośpiesznie zapinał maskę. Wykorzystałem chwilę jego nieuwagi, wymknąłem mu się i popędziłem na drugą stronę samochodu, w biegu rozpinając kombinezon.

Muszę włożyć go Astrid. Ona musi być bezpieczna.

Otworzyłem drzwi, a Astrid wypadła głową na asfalt.

Wiatr szalał na niebie już zaledwie kilometr od nas.

Ściągnąłem kombinezon przez nogi. Stopy Astrid były jeszcze w samochodzie. Wyciągnąłem je. Wcisnąłem jedną nogę w kombinezon.

Gwizdanie w większości ucichło, bo żołnierze zdążyli się już pozapinać.

Teraz biegli z powrotem do ciężarówek, ściągali dziipy z platformy.

Słyszałem, jak na siebie pokrzykują, włączają silniki.

Podniosłem ją, postawiłem, żeby jakoś naciągnąć kombinezon na jej bezwładne ramiona i plecy.

Już tylko jeden kombinezon gwizdał – ten, w który próbowałem wcisnąć Astrid.

Jej głowa opadła na moje ramię.

Wiatr wczepiał się w ziemię palcami – małe, wirujące smugi. Czego szukał?

Zapiąłem przód kombinezonu.

– Nadciąga! – krzyknął ktoś.

– Szykuj odkurzacze! – padł rozkaz.

Zmagałem się z maską. Wciąż była przyczepiona do biodra Astrid.

Wyszarpnąłem ją.

– Uwaga! – zawołał ktoś.

Usłyszałem stukot. Cichy stukot. Jakby grad. Coraz bliżej.

To był grad.

Wcisnąłem maskę na głowę Astrid.

Pamiętałem grad.

Grad i krew. Od tego wszystko się zaczęło.

Zaciągnąłem zamek, ale wściekłość już zalewała mój mózg.

Astrid. Dziewczyna. Dziewczyna w kombinezonie. Zielone światełko przy twarzy.

Pchnąłem ją do samochodu, trochę za mocno. Zatrzasnąłem drzwi, zatrzasnąłem za mocno.

Było tu tylu ludzi.

Ludzi z maszynami, które miały wielkie rury ssące skierowane w stronę nieba. Zabiję któregoś i wsadzę w taką rurę, która go poszatkuje.

Tak, maszyna do szatkowania ciał!

Wybuchnąłem śmiechem.

Nawet mnie nie widzieli, więc rzuciłem się na pierwszego z brzegu i chwyciłem za tył kombinezonu.

Kombinezon ochronny? Przede mną go nie ochroni.

Już czułem jego krew na ustach.

Wepchnąć go do maszyny.

Ale był silny. Powalił mnie na ziemię.

A potem już leżałem, a facet w kombinezonie trzymał nogę na mojej piersi.

Karabin maszynowy! On ma karabin! Zabiorę mu. Wtedy będę mógł...

– Przykro mi, mały – usłyszałem.

I rąbnął mnie kolbą w głowę.

ROZDZIAŁ 38

JOSIE

DZIEŃ 35

W pokoju jest ciemno, a potem nagle ktoś mną potrząsa, żebym się obudziła.

Doktor Cutlass.

Serce wali mi ze strachu. Z każdym uderzeniem staję się mocniejsza, pokonuję pokłady szlamu w głowie, odganiam migrenę i już jestem gotowa.

Gotowa do walki. Tylko że jestem PRZYPIĘTA do cholernego ŁÓŻKA.

Widzę, że przyprowadził ze sobą sanitariusza. Nie tego, którego widziałam przedtem.

O Boże, sanitariusz zalepia kamerę czarną taśmą!

Przyszli po mnie i zabiorą mnie na badania wbrew mojej woli.

Jeśli, jeśli, jeśli choć na chwilę zdejmą mi pasy, urwę łeb temu podłemu lekarzowi.

Zedrę mu tę jego przystojną, zakłamaną gębę.

– Łapy precz! – drę się.

– Ciii! – szepcze Cutlass.

– Nie daję zgody! Nie wyrażam żadnej zgody!

– Zamknij się! – syczy. – Nie po to tu przyszedłem. Cicho! Posłuchaj mnie!

Trzęsę się. Mięśnie wariują z wściekłości i paniki.

– Nie zrobię ci badań bez twojej zgody. Uspokój się.

Mówi bardzo cicho.

Zmuszam się do spokojniejszego oddechu.

BUM. BUM. Bum, bum. Moje serce uspokaja się z każdym uderzeniem.

– Za kogo ty mnie masz? – szepcze.

Za potwora, chcę mu powiedzieć. Za człowieka bez skrupułów.

Nie przeproszę.

– Jestem tu, bo mam dobre wieści.

– Co takiego?

– O dwudziestej dwadzieścia dziewięć pod drzwiami naszego szpitala stanął pewien młody mężczyzna i poprosił o możliwość wizyty.

– O Boże, Niko?

Kiwa głową z wielkim uśmiechem.

– Naprawdę?

Nie mogę w to uwierzyć. I wtedy do mnie dociera – nie powinnam mu wierzyć.

To pewnie tylko podstęp.

– Podpisz zgodę, a przyprowadzę go tutaj.

Czy to możliwe? Czy Niko zdołał tu dotrzeć?

Może. Mógł się przecież dowiedzieć jakimś cudem, dokąd mnie zabrali, i przyjechać tu za mną. Autostopem. Albo może ukradł samochód.

– To dlatego poprosiłem Jimmy’ego, żeby zasłonił kamerę – ciągnie doktor Cutlass. – Wprowadzenie go tu w środku nocy jest wbrew regulaminowi. Dużo ryzykuję.

– Skąd mam niby wiedzieć, że on tam naprawdę jest?

– Hmmm. – Cutlass się uśmiecha. Odwraca się do Jimmy’ego, który czeka oparty o ścianę. – Bystra dziewczyna. Mówiłem ci, Jimmy. Tej to nikt nie oszuka. – Wyciąga minitaba, wybiera numer. – Mówi doktor Cutlass. Macie tam jeszcze Nika Millsa? Chciałbym z nim porozmawiać.

I przykłada mi telefon do ucha.

– Halo? – mówię.

– Josie? – słyszę jego głos.

To Niko. To on.

– Niko? Jesteś tu?

– Jestem u ochroniarzy, Josie. Powiedzieli, że może dadzą mi się z tobą zobaczyć. Nie wiem. Ale jestem tu. Jestem.

Płaczę i mówimy jedno przez drugie.

Ja:

– Niko, nie mogę uwierzyć, że mnie znalazłeś.

A on:

– Nie mogę uwierzyć, że cię znalazłem, Josie.

Łzy płyną mi po policzkach i nie mogę ich otrzeć, bo mam unieruchomione ręce.

Doktor Cutlass się rozłącza. Wyciąga znów te papiery.

– Więc robimy tak – instruuje. – Jimmy zdejmie pasy. Ty podpiszesz formularz zgody, Niko przyjdzie do twojego pokoju i będzie mógł tu nawet nocować.

Już kiwam głową.

Nie pytam, co się stanie rano.

– I oczywiście pod twoimi drzwiami będzie stał strażnik.

Kiwam głową.

Chcę tylko go zobaczyć.

W łazience oplukuję twarz zimną wodą. Myję zęby szpitalną szczoteczką, którą mi dali.

Jest też trochę balsamu do ciała, więc wcieram go w twarz, ręce i nogi, które wystają z olbrzymiej koszuli szpitalnej jak patyczki lizaków.

Balsam pachnie wanilią. Dobrze.

Gdybym tak miała pasek, żeby jakoś spać koszulę. I błyszczyk do ust.

Patrzę na swoje odbicie.

Uśmiech, prawdziwy uśmiech.

To szczęście. Prawdziwa fala radości.

Czuję się tak, jakby po raz pierwszy w życiu moje serce pełne było czegoś lekkiego i pięknego. Zaraz zobaczę mojego chłopaka.

Przyklepuję włosy, jakby dało się cokolwiek z nimi zrobić.

I nagle słyszę pukanie do drzwi.

Otwieram i w progu stoi Niko Mills.

Nie wiem czemu, ale nagle boję się, żeby mi się nie przyjrzał zbyt uważnie, więc rzucam mu się w ramiona.

Przytula mnie mocno do swojego chudego ciała.

Pachnie kwaśno, potem, brudem, cudownie. Od potu włosy ma przylepione do czoła.

Widzę doktora Cutlassa i Jimmy'ego w korytarzu. Cutlass uśmiecha się zadowolony, że wygrał. Obok stoi strażnik z wielkim pistoletem.

Niko wypuszcza mnie z objęć i cofam się.

Przez chwilę żadne z nas nie wie, co robić.

– Widzimy się rano, Josie. Niko może tu póki co zostać. Wydałem odpowiednie polecenia, więc nikt nie będzie was niepokoił – mówi Cutlass.

– Wejdz – szepczę. Wypada to jakoś dziwnie, ale cała sytuacja jest taka dziwna.

Wchodzi i zamyka za sobą drzwi.

Ma ze sobą szary plecak. Wygląda... wygląda zupełnie tak samo. To samo poważne spojrzenie. Może tylko wydaje się nieco młodszy, niż go zapamiętałam.

Teraz, gdy już tu jest, zupełnie nie wiem, co robić.

Poprawiam prześcieradło na brzegu łóżka.

– Tak się o ciebie martwiłem – mówi Niko.

Nie mam odwagi na niego spojrzeć. Nie wiem. Jestem podenerwowana.

– Kiedy zobaczyłem, że tamci cię biją... Nikt ci nie pomógł! I potem ten wiatr. To było... to było straszne, Josie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Cała ziemia była zalana krwią.

Mówi to wszystko, ale energia we mnie nie chce się uspokoić. Wolałabym, żeby mi się tak nie przyglądał. Wiem, że się postarzałam. Pewnie wyglądam jak jędrza. Albo jakaś zupełnie obca osoba.

– Josie – szepcze. – Josie?

Podnoszę wzrok.

– Nic ci nie jest?

Unoszę dłonie do twarzy. Weź się w garść, krzyczę na siebie. To żalosne. Nie widziałaś go tyle tygodni, a teraz nagle bełkoczesz jak niemowlak. On nie będzie chciał mieć z tobą do czynienia.

Ale jakaś inna część mnie nagle mięknie. Przystaję się mieć na baczności.

Niko tu jest. I podchodzi do mnie.

Bierze w ramiona i tuli mocno.

Przez długi czas tylko płaczę.

Być w jego ramionach to jak być w niebie.

Być w jego ramionach to moja ostatnia wieczerza i jestem szczęśliwa.

– Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć, tak? – upewnia się, gdy przestaję wreszcie płakać.

Leżymy na łóżku. On w swoich zabłoconych butach. Ale kogo to obchodzi? I tak to pewnie ostatnia noc, jaką spędzę w tym pokoju.

– Przepraszam, że zamoczyłam ci koszulę – mówię.

– No coś ty? Wyświadczyłaś mi przysługę. Nie kapałem się prawie od tygodnia.

– Tu jest prysznic. Chcesz się umyć? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Może później.

Czuję, że chce, żebym mu opowiedziała o wszystkim, co się ze mną działo, odkąd się rozstaliśmy, ale ja nie mam ochoty mówić.

Jeśli mu opowiem, dowie się, że zgodziłam się na badania, i zacznie się tym martwić.

– Opowiedz mi o dzieciach. Jak się mają? I jak wam jest w Kanadzie? – proszę.

Opowiada mi wszystko. O tym, jak dotarli na lotnisko. Odnaleźli panią Wooly! Jak posłali Sahalię z dziećmi do Kanady, a on i Alex znaleźli kogoś, kto ich zawiózł do Greenwaya po Deana, Astrid, Chloe i bliźniaki. A potem o Quilchenie, która z tego, co mówi, jest pięknym miejscem.

Że Chloe kazała mi powiedzieć, że kaczuszka pozdrawia.

To jej stary, głupiotki żart. Wybucham śmiechem. Ta dziewczynka jest nieznośna.

Niko opowiada mi, jak kapitan McKinley zawiózł jego, Jake'a, Deana i Astrid do bazy wojskowej Lewis-McChord. Tylko pomyśleć, że tata Caroline i Henry'ego jest akurat w lotnictwie. Ale fuks. Opowiada mi o drugim locie, już do Teksasu, o kierowcy ciężarówki i wściekłym wietrze w Vinicie, o małej dziewczynce znalezionej w bagażniku.

Gdybym tak miała zegarek albo telefon – nie wiem nawet przecież, która godzina.

Opowiada mi, jak podjechał stopem z jakimiś luteranami z Oklahoma City, którzy jechali na Wschodnie Wybrzeże, żeby pomóc przy budowie domów. Jak ukradł minivana, żeby pokonać resztę drogi do Mizzou.

Że po tym, jak mnie tam zobaczył, jechał tym skradzionym wozem, aż w Indianapolis skończyło mu się paliwo.

Potem podwiózł go kierowca ciężarówki. W zamian Niko dał mu swój kombinezon ochronny.

Ale tym się nie przejmuję, bo już nigdy nie pojedzie w strony zagrożone wiatrem. Nie będzie takiej potrzeby.

Leżymy na łóżku i gładzi mnie po włosach.

Mówi, że strasznie mu się podoba moja nowa fryzura. Że mam piękny kształt czaszki. To komplement tak strasznie typowy dla niego, jestem bardzo wzruszona.

– Kiedy stąd wyjdziemy, od razu pojedziemy na farmę. Spójrz – mówi.

Podnosi się i wyciąga z plecaka papierową mapę. Taką, jaką można kupić na stacji benzynowej.

– To mniej niż trzy godziny drogi stąd! Już jutro będziemy na farmie.

Siedzi przy mnie i wodzi palcem po małych czerwonych liniach na papierze. I-83, potem 222 i 322.

Patrzę na ten palec. Paznokieć jest krótki, obgryziony. Jakoś nigdy nie zauważyłam, że obgryza paznokcie. Może przedtem nie obgryzał.

Zamykam oczy i kładę się z powrotem na łóżku.

– Co? – pyta. – Nie chcesz tam jechać? Nie musimy. Możemy jechać, dokąd zechcesz. Myślałem tylko...

– Nie o to chodzi – szepczę. Siadam na łóżku, odkładam mapę, biorę jego dłonie w swoje ręce. – Muszę ci coś powiedzieć. Nie, nie coś, dwa cosie, dobra?

– Mówiłem ci już, Josie. Możesz mi powiedzieć wszystko.

Przelykam ślinę.

– Chcę, żebyś wiedział, jak wiele dla mnie znaczy to, że mnie szukałeś i znalazłeś.

Kiwa głową. Przygaszone światło odbija się w jego oczach. Tak bardzo go kocham.

– To najpiękniejsza rzecz, jaką ktokolwiek kiedykolwiek dla mnie zrobił. I powinieneś wiedzieć, że przedtem czułam się zupełnie złamana. Nim stanąłeś w drzwiach. Straciłam już nadzieję, że kiedykolwiek będę się czuła lepiej, ale kiedy wszedłeś, byłam taka szczęśliwa. Chcę, żebyś pamiętał, jak wiele to dla mnie znaczyło...

– Josie, o co chodzi? Co się stało?

– Żeby cię dziś zobaczyć – mówię. – Żeby cię zobaczyć i spędzić z tobą kilka godzin, musiałam podpisać formularz.

Patrzy na mnie, nie rozumiejąc. Tak bardzo nie chcę mu wyjaśniać.

– Jutro zrobią mi badanie. Pobiorą próbkę płynu mózgowo-rdzeniowego. I istnieje ryzyko... powiedziano mi, że moje szanse na przeżycie...

– Nie – syczy Niko, blady jak ściana. – Tak się nie stanie. – Zaciska szczęki, zgrzyta zębami. – Nie dopuszczę do tego.

ROZDZIAŁ 39

DEAN

DZIEŃ 36

– Tak, rozumiem, że są przeciwwskazania, ale mała dawka siarczanu magnezu z pewnością nie wpłynie negatywnie na rozwój płodu...

Jakaś kobieta rozmawia przez telefon.

Jestem w samochodzie. Nie, w czymś większym. Nie pamiętam, jak to się nazywa.

Jedziemy szybko.

– To najgorszy przypadek rzucawki, jaki kiedykolwiek widziałam... – Ktoś jej przerywa.

– Utrata białka... Ta dziewczyna jest w niebezpieczeństwie... – Znów przerywa.

– Tak, ale to akurat nie stanowi problemu. Tętno płodu jest bardzo wyraźne.

Przemieszczamy się szybko i słyszę syrenę.

Oj. Moja głowa. Boli.

– Tak, tak – mówi kobieta do telefonu i się rozłącza.

Znów otwieram oczy.

Patrzę w sufit. W polu widzenia mam też dół metalowej szafki i czarny kwadrat na suficie z jakimiś migającymi światełkami. Czerwone, białe, czerwone, żółte. Czerwone, białe, czerwone, żółte.

– Skończone skurczybyki – klnie kobieta.

– Wiem, wiem – odpowiada jej męski głos.

– Podobno nie mam prawa dać tej biednej dziewczynie żadnych leków!
Nawet odrobiny siarczanu magnezu. To już naprawdę przesada!

Jest mi ciepło, jakoś miło, jakbym pływał w zupie.

To szyberdach, dociera do mnie powoli. Jest noc i widzę niebo, a te czerwone, białe, czerwone, żółte błyski to odbicia światełek. Jakie ładne.

– A jeśli umrze?

– Mamy się skupić na ratowaniu dziecka.

Mężczyzna, którego nie widzę, klnie siarczyście.

Astrid. Astrid. Gdzie ona jest?

Obracam głowę i jęczę.

Ciepło znika. Pojawia się nagły ból.

Boże, co się stało z moją głową?

Widzę Astrid. Ma kroplówkę podpiętą do ręki, goły brzuch, a na nim pas z mnóstwem kabli, obok stoi maszyna, która cały czas błyska i pika.

Pamiętam ją.

– Astrid – mówię.

Słyszę jakiś ruch i pojawia się nade mną głowa. Hinduska o pomarszczonej twarzy i krótkich, siwych włosach.

– Hej – mówi. – Słyszysz mnie? Wiesz, który mamy rok?

– Dwa tysiące... – odpowiadam ochrypłym głosem. – Dwa tysiące...

Powinienem przecież to wiedzieć.

– Wiesz, gdzie jesteś?

– W samochodzie... takim dużym, co lekarze nim jeżdżą. – No, jak się na to, kurczę, mówi?

– W którym ona jest tygodniu ciąży? – pyta kobieta. – Muszę wiedzieć jak najwięcej o ciąży. Pomoże mi wszystko, co jesteś w stanie powiedzieć.

Jej twarz tak dziwnie się rozmazuje.

– On znów mdleje – woła do kogoś kobieta.

Wcale nie mdleję, chcę jej wyjaśnić, tylko pływam.

Słyszę, jak szpera w szafce nad moją głową.

– To nie jest dobry pomysł – mówi ktoś.

– Potrzebuję informacji. Nic mu nie będzie. Był nieprzytomny naprawdę długo. Nawet lepiej dla niego, jak się wreszcie obudzi.

Klepie mnie po twarzy.

– Halo – mówi. – Otwórz buzię.

Rozchylam usta. Wkłada mi na język jakąś małą pigułkę.

Zamykam buzię.

– To cię trochę otrzeźwi.

I nagle bum-bum-bum – moje serce wali jak bęben i chcę się zerwać z podłogi. Dopiero wtedy dociera do mnie, że jestem przywiązany do noszy.

– Ojej! – wymyka mi się. – Ale odlot!

– Spokojnie – odzywa się kobieta.

– To nie dla dzieci, Binwa – marudzi facet z przodu. – Potem będzie się czuł jeszcze gorzej.

Znika natychmiast ciepło i luz. Raptem widzę wszystko bardzo wyraźnie.

Kobieta pochyla się nade mną i widzę pory jej skóry i każdą rzęsę osobno.

Karetka, przypominam sobie. Jesteśmy w karetce. Nadszedł wściekły wiatr. I o mało nie wjechałem w wojskową ciężarówkę.

– Opowiedz mi o swojej dziewczynie – mówi kobieta.

Więc jej opowiadam.

Binwa wypina mnie z pasów, którymi byłem przypięty do noszy.

Głowę mam w bandażach. Kiedy siadam, muszę ją trzymać, żeby mózg mi nie eksplodował. Przynajmniej tak mi się wydaje. Ale to nieważne. Ważna jest Astrid.

– Dean – szepcze Astrid. Klękam tuż przy niej. – Przepraszam.

– Nie masz za co – zapewniam ją i całuję po ręce. Wiem, że to trochę dziwne, ale tak się cieszę, że już jest przytomna. – Zupełnie nie masz za co.

– Dobrze – mówi Binwa, podchodząc. – Astrid, za godzinę będziemy na miejscu. W USAMRIID już czekają na was lekarze.

Astrid zamyka oczy i boję się, że znów traci przytomność, ale ona tylko powtarza:

– Przepraszam.

– Ale o co ci w ogóle chodzi? – pytam.

– Nie dam rady – mówi. Z jej wciąż zamkniętych oczu ciekną łzy. Wargi ma spękane. Widzę na jej skroni pulsującą żyłę.

– Ciii – uspokajam ją i całuję w czoło. – Już prawie jesteśmy na miejscu.

– Chcę, żebyś wiedział, że...

– Że co?

– Kocham cię – mówi. Jej oczy wciąż są zamknięte. Łzy cieką z kącików. – Chcę, żebyś to wiedział.

– Wiem to. Wiem, Astrid.

Otwiera oczy, patrzy na mnie po raz ostatni i nagle jej oczy uciekają w głąb czaszki i zaczyna się trząść.

– Nie! – krzyczy Binwa. – Gus, szybciej. Syreny. Musisz nas tam dowieźć!

Wyją syreny. Gus jedzie jeszcze szybciej. Za mną miga nocna droga, a moja dziewczyna umiera.

– Niech jej pani coś da! – ryczę na Binwę.

Rozglądam się za bronią. Czymkolwiek, co mogłoby ją zmusić do ratowania Astrid.

– Spokojnie! – warczy na mnie Binwa. – Spójrz! Spójrz! Już jej przechodzi.

Odwracam się i widzę, że rzeczywiście Astrid siada. Odchyła się i wyje.

I wtedy widzę, że ma mokre nogi.

– Gus! – wrzeszczy Binwa. – Wody jej odeszły!

ROZDZIAŁ 40

JOSIE

DZIEŃ 36

Zrywa się, zaczyna krążyć po pokoju. Mówię mu w dość ostrych słowach, że nie chcę spędzić naszej ostatniej nocy na planowaniu ucieczki, bo to na nic.

Ale mnie nie słucha.

Jest przekonany, że znajdzie jakieś wyjście.

Ujmuję jego dłoń.

I mówię mu tak:

– Niko. Dałam lekarzowi słowo. Podpisałam zgodę. Zrobiłam to, wiedząc o ryzyku. Zupełnie tak jak ty. Wiedziałeś, że szukanie mnie wiąże się z ryzykiem. Może umrę jutro, a może ty umrzesz. Zawsze istnieje ryzyko. Każdego dnia, tylko dotąd nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

Siadam na łóżku, zmuszam go, żeby usiadł obok.

Płacze, ale to nie szkodzi.

– Kocham cię, Josie – mówi.

– Ja ciebie też, Niko. – I tak jest. Cieszę oczy jego idealną sylwetką. Kolorem jego skóry i włosów. – Niko. Przytul mnie. Bądź przy mnie i może uda się już nigdy nie żyć inną chwilą niż ta. Czy to się może udać? Czy kochamy się na tyle mocno, że nic innego nie jest ważne? Czy pokochasz mnie aż tak?

– Już cię tak kocham – zapewnia mnie. I całuje.

Całuje mnie mocno i leżymy razem na łóżku. Całujemy się i płaczemy i okazuje się, że ciała mogą wyrazić to, czego nie potrafią słowa. Widzę, że trzęsą mu się ręce, gdy unosi swoją koszulkę. Moje też, gdy zdejmuję cienką, niebieską koszulę szpitalną. Od zimnego powietrza dostaję gęsiej skórki, ale Niko kładzie się na mnie i nasze ciała ogrzewają się nawzajem. Stapiamy się w jedno.

Jego dłonie są z początku nieśmiałe, ale uczymy się siebie nawzajem.

Potem pukanie do drzwi.

Tak wcześnie.

– Jesteście ubrani? – pyta kobiecy głos.

– Chwileczkę – mówię, bo nie jesteśmy.

Niko siada na łóżku. Jego chude plecy są takie proste i smukłe. Wkłada swoje brudne ubrania. Wzięliśmy prysznic, ale ubrań nie dało się nijak wyprać.

Będzie już zawsze taki sam ten mój Niko. Ta myśl sprawia, że jestem szczęśliwa.

Wiem, że nawet kiedy będzie miał dziewięćdziesiąt lat, będzie tak samo siadał na łóżku i z taką samą godnością wciągał majtki. Zawsze będzie taki wysoki i prosty. Jego nie da się zmienić i teraz już rozumiem, że za to go kocham.

Dociera do mnie, że się trzęsę.

Kiedy wchodzi Sandy, Niko już ma T-shirt.

– Pani Sandy! – mówię. – Wróciła pani!

– Mhm, musiałam poznać twojego przyjaciela. I chciałam być przy tobie. Dobrze, żebyś podczas zabiegu była tak spokojna jak to możliwe – mówi, ale nie patrzy mi w oczy.

– Będzie dobrze – pocieszam ją. – Nic mi nie będzie.

Mój umysł jest już pewien, że postępuję słusznie, ale serce mam w gardle.

– Przecież musi być jakieś wyjście – mówi Niko cicho. – Nie może im pani powiedzieć, że ona nie da rady dziś tego zrobić? Że jest chora? Nie może pani

czegoś wykombinować?

Do pokoju wchodzi dwóch sanitariuszy.

– Mamy zaprowadzić cię do poczekalni – mówi jeden z nich do Nika.

– Zostaję z nią! – protestuje.

– W porządku, Niko – mówię, ale i tak zaczynają się szamotać, bo on próbuje mnie objąć, a jeden z wielkich sanitariuszy kładzie mu łapę na ramieniu.

– Nie możemy denerwować pacjentki. Im jest spokojniejsza, tym sprawniej przebiegnie procedura – mówi sanitariusz.

– Tony ma rację, kochany – dodaje Sandy. – Nie utrudniajmy Jojo. To standardowy zabieg, a gdy tylko go przeprowadzimy, wyjdziecie stąd oboje. Tylko o tym pomyśl!

– Nie! – krzyczy Niko. – Josie, proszę! Nie pozwól im mnie stąd zabrać! Powiedz, że nie zrobisz tego, jeśli nie będę przy tobie!

Chwyta mnie za ramię i mocno trzyma. Czuję, jak jego ciało trzęsie się z wściekłości i strachu. Dziwnie czuć w sobie tę rezygnację, czuć się tak daleko od niego, choć jeszcze przed chwilą byliśmy tak blisko.

Zarzucam mu rękę na szyję i tulę mocno, próbując się zastanowić, jak się z nim pożegnać. Jak go zmusić, żeby mnie puścił.

Wpada doktor Cutlass, spoglądając w biegu na jakiś wykres, który trzyma w dłoni.

– Co to za opóźnienia? No już, chłopcy! – rzuca. Bierze wdech i widać, że z trudem opanowuje zniecierpliwienie. – Dzień dobry, Josie, dzień dobry, Niko. Blok operacyjny już jest gotowy. Chciałbym zacząć.

– Chcę iść z nią! – mówi Niko.

Lekarz patrzy na niego. Próbuje oszacować, jak bardzo jest zdeterminowany.

– Dobrze. Możesz odprowadzić ją na blok. Zadowolony?

– Nie – syczy Niko. – Wypuście ją. Wtedy będę zadowolony.

– To rutynowa procedura medyczna – odpowiada Cutlass chłodno. – Naprawdę zupełnie niepotrzebnie się nakręcacie.

Wychodzimy na korytarz wszyscy razem.

I mam wrażenie, że ludzie schodzą nam z drogi, gdy doktor Cutlass, Niko, Sandy i dwóch sanitariuszy eskortuje mnie na blok operacyjny.

Spokój w moim umyśle zaczyna uginać się pod panicznymi reakcjami ciała.

Spuszczam wzrok. Niko trzyma mnie za jedną rękę, Sandy za drugą.

Widzę, że Sandy ma w drugiej ręce chusteczkę.

Ociera nią łzy z kącików oczu.

Jest pewna, że prowadzi mnie na śmierć.

I wtedy ogarnia mnie panika.

ROZDZIAŁ 41

DEAN

DZIEŃ 36

Binwa próbuje instruować Astrid, co ma robić podczas skurczów, a ja zupełnie wariuję z niepokoju. Astrid wrzeszczy przy każdym skurczu i to wszystko wygląda jakoś nie tak. Czuję, że jest nie tak, i widzę to po zaniepokojonej minie Binwy.

– Niech pani zrobi coś, żeby ją ratować! – krzyczę. – Niech jej pani coś da, na litość boską!

Binwa każe mi się zamknąć, mówi, że robi, co może, i że naprawdę nie pomagam.

Na każdym wyboju ból jest tak straszny, że boję się, że zwymiotuję albo zemdleję. Ale wrzaski Astrid powodują, że przytomnieję i wracam do tej okropnej rzeczywistości.

Na zewnątrz już świta, gdy pędzimy przez jakieś miasteczko w Marylandzie.

– Świetnie sobie radzisz, Astrid – mówi Binwa. – To poród. To naturalne.

Ale wiem, że kłamie. Ma taką minę, jakby ktoś umierał. Binwa nie robi wszystkiego, co by mogła, żeby pomóc Astrid.

– Twoje ciało wie, co robić. Musisz tylko się rozluźnić.

Przy każdym skurczu Binwa przyciska pięść do krzyża Astrid.

Karetka zjeżdża w dół tunelem.

Zatrzymujemy się nagle i ktoś otwiera drzwi.

Wpada czterech ludzi i zaczynają wysuwać nosze na zewnątrz.

Binwa biegnie za nimi. Zamykają się drzwi.

Otwieram je i wybiegam za Astrid. Nikt nie próbuje mnie powstrzymać.

Nikt mnie chyba nawet nie zauważa.

Pędzę za nimi do jasno oświetlonego szpitala. Wjechaliśmy tu jakimś podziemnym wjazdem.

Pchają wózek tak szybko, że muszę biec, żeby nadążyć.

JOSIE

DZIEŃ 36

- Proszę! – błagam. – Ja nie chcę! Błagam! Nie chcę!
- Nie możecie jej zmusić! – krzyczy Niko. – Niech ktoś nam pomoże!
- Panie James! – ryczy jakiś głos. – Co się tu, do diabła, dzieje?!
- To ten drugi lekarz, szef Cutlassa, Savic. Przy nim biegnie żołnierz. Z karabinem.
- Proszę, panie doktorze. Ja... ja zmieniłam zdanie – mówię.
- Podpisała zgodę – cedzi przez zęby Cutlass. – Podpisała ten pański formularz i wszystko toczy się zgodnie z prawem.
- Nie – szepcze Savic. – Przecież nie podpisałaś, prawda? Czy Sandy cię nie ostrzegła?
- Widzi odpowiedź w moich oczach.
- Cutlass chwyta Savica za ramię.
- To pan kazał Sandy powiedzieć jej, żeby nie podpisywała? Jak pan śmie utrudniać mi pozyskanie pacjentki...
- Wszystko jakby na chwilę zamiera, a potem po drugiej stronie korytarza otwierają się drzwi i wpada przez nie cały tłum ludzi z noszami.

DEAN

DZIEŃ 36

– Natychmiast trzeba zrobić cesarkę! – drze się Binwa.

– Adamson chce ją najpierw zbadać – mówi ktoś.

– Tak? To gdzie on jest, do cholery?

Muszę się trzymać noszy. Muszę się ich trzymać, bo w głowie mi tak huczy, że się przewrócę.

– A to co za zombi? – pyta jakiś facet z pogotowia. – Niech ktoś weźmie stąd tego dzieciaka!

– Zabierzcie ją na blok! – wrzeszczy Binwa, a ja potykam się, upadam na kolana. Wyciągam rękę. Nosze odjeżdżają.

Ktoś chwyta mnie za rękę. Próbuję wstać. Muszę wstać.

– Astrid! – krzyczę. – Jestem przy tobie!

JOSIE

DZIEŃ 36

Wszystkie głowy zwracają się ku grupie po drugiej stronie korytarza.

Nosze są coraz bliżej nas i słyszę:

– Astrid? Astrid Heyman?

Doktor Cutlass wpatruje się w nosze w zupełnym szoku.

To Astrid.

To nasza Astrid.

– Grupa 0, ciąża nastoletnia, wielokrotne wystawienie na działanie chemikaliów – mówi pośpiesznie jeden z lekarzy przy noszach. – To ta, co uciekła nam z Quilcheny.

Już nas mijają, ale wrzeszczę za nią, pochylam się, łapię ją za nogi.

– Astrid! – wołam. – To ja, Josie. To ja!

Ale ona jęczy i płacze. Nawet mnie nie poznaje.

DEAN

DZIEŃ 36

Zrywam się na równe nogi i odpycham sanitariusza.

Jeden krok, drugi, potykając się, docieram do Binwy. Nagle wszyscy się zatrzymują.

Podnoszę wzrok.

To Niko i Josie.

– Josie, obcięłaś włosy? – mówię.

Są tu. Jakimś cudem są w szpitalu. Co? Jak?

– Dean! – krzyczy Niko. – Skąd się tu, do cholery, wzięłeś?

Chcę go spytać o to samo, ale nagle łkam, zamiast mówić. Z piersi wrywa mi się płacz.

– Jake nas zostawił, Astrid się pochorowała, nie mogłem nigdzie znaleźć pomocy...

Josie mnie tuli, a stojący przy nich lekarz patrzy na nas z rozdziawioną gębą.

– Tak bardzo się boję – szepczę. – Ona chyba umiera.

JOSIE

DZIEŃ 36

Mam ręce czerwone od krwi. To Dean krwawi. Ma bandaż na głowie i krew cieknie mu na koszulę.

Doktor Cutlass wpatruje się we mnie wielkimi oczami.

– Czy możemy z nią iść? – proszę go. – Ona nas potrzebuje.

– To wy znacie Astrid?

Coś się dzieje w jego oczach. Są takie jasne. Obecne. Jakby – chyba po raz pierwszy – ten człowiek w ogóle tu z nami był.

– Z drogi! – drze się siwa kobieta. – Musimy zabrać tę dziewczynę na blok operacyjny! Natychmiast!

Dean opiera się na Niku.

– Będzie dobrze, Dean. Astrid na pewno z tego wyjdzie – pociesza go Niko.

Dean ledwie stoi na nogach.

– Panie doktorze! – niemal na niego krzyczę. – Wszyscy razem siedzieliśmy przez dwa tygodnie w jednym sklepie, w Monumencie, w Kolorado. Jesteśmy jak rodzina.

Już odjeżdżają, są coraz dalej i Dean próbuje ich dogonić.

– Chodźcie ze mną – woła Dean do Nika. – Błagam. Boję się. Boję się i z moją głową jest coś nie w porządku!

– Proszę! – błagam Cutlassa. – Oni są dla nas jak rodzina!

– Ta dziewczyna to przecież Astrid Heyman. To dziewczyna najlepszego przyjaciela mojego syna – szepcze doktor Cutlass. – Jesteście z Monumentu?

– Brayden Cutlass – przypomina sobie Niko. – Przecież Brayden miał na nazwisko Cutlass.

Doktor chwyta go za ramiona.

– Znałeś mojego syna?!

DEAN

DZIEŃ 36

Josie i Niko przychodzą jakieś pięć minut później. Jest z nimi niska Azjatka. Uśmiecha się od ucha do ucha.

Tymczasem Astrid już zabrano na blok operacyjny.

– Kazali mi tu czekać – mówię Nikowi i Josie, gdy siadają po moich obu stronach. – Kazali mi tu czekać. Astrid rodzi.

– Wiemy – szepcze Josie. – Już nam powiedziałaś.

Powiedziałem? Nic nie pamiętam. Nie mogę sobie nawet przypomnieć, co się działo ledwie minutę temu.

Moje myśli są zupełnie poplątane. Jest jeszcze gorzej, niż było. Tyle wiem.

– Z moją głową jest coś nie tak.

– Wygląda mi to na wstrząśnienie mózgu – mówi pielęgniarka, zagląda mi w źrenice.

Josie chwyta mnie za rękę i ściska mocno.

– Nie myślałam nawet, że cię jeszcze zobaczę, Dean.

– Astrid właśnie rodzi – mówię jej.

– Wiem, Dean. Wszystko będzie dobrze.

– Wszystko będzie okej – zapewnia Niko. Bierze mnie za drugą rękę. – Już jesteśmy razem.

– Ten opatrunek to trzeba by zmienić – stwierdza pielęgniarka, znów zaglądając mi w oczy. Wstaje i wychodzi.

– W głowie mi się nie mieści, że mnie wypuścił – szepcze Josie do Nika, pochylając się nade mną.

– Zwolnił cię tylko z nakłucia lędźwiowego. Nadal chce twojej krwi, śliny i Bóg wie czego jeszcze.

– Tak, ale to mnie przecież nie zabije.

– Kto chce twojej śliny? – dziwię się.

– Tata Braydena.

– Ten, co pracuje dla NORAD-u? – pytam.

– Chciał zrobić na mnie taki jeden zabieg, ale opowiedzieliśmy mu o Braydenie... O tym, jak siedzieliśmy zamknięci razem w sklepie i jak próbowaliśmy go dowieźć na lotnisko.

– Josie? – pytam.

– Tak, Dean.

– Astrid rodzi. Boję się, że ona umiera. Tak bardzo się starałem zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Oczywiście, że się starałem – mówi Josie.

Głaszcz mnie po ramieniu. Tak dobrze być przy niej. Czuję się jak w domu.

– Astrid rodzi – mówię jej.

Wraca pielęgniarka z bandażami i innymi rzeczami. Kładę głowę na kolanach Josie.

Pielęgniarka przemywa mi ją czymś, co piecze. Potem znów bandażuje.

Podaje mi też mały pojemniczek z dwiema pigułkami i większy z lodowatą wodą.

Czekamy.

Josie i Niko wciąż uśmiechają się do siebie i powtarzają:

– Nie mogę uwierzyć, że nas puścił.

Wiem, że powinienem ich spytać, jak się tu w ogóle dostali, ale nie mam siły. Chcę tylko siedzieć cicho i myśleć o Astrid.

Siedzimy i czekamy bardzo długo.

Potem na korytarz wychodzi pani Binwa.

Ma na sobie pomarańczowy fartuch i przez to w pierwszej chwili w ogóle jej nie poznaję.

Potem przypominam ją sobie i całą tę jazdę karetką. Przypominam sobie swoją złość na nią, ale teraz cieszę się, że ją widzę.

– Dean – mówi. – Jesteś ojcem.

Josie wybuchają śmiechem. Niko klepie mnie po ramieniu.

– Zajmują się jeszcze Astrid, muszą ją połatać. Ale dziecko jest w dobrej formie. To oczywiście wcześniak, ale płuca ma w porządku. Oboje mają się dobrze.

– Astrid nic nie jest? – pytam. – Nic jej nie jest?

– Świetnie sobie poradziła, Dean. Powstrzymali drgawki. Zrobili cesarskie cięcie. Inaczej się nie dało. Ale wygląda świetnie.

– Nic jej nie jest?

– Nic, Dean – zapewnia Binwa, odgarniając mi włosy z oczu.

Odwraca się, żeby wrócić na salę.

– Proszę pani! – krzyczę. Przecież jest jeszcze coś, o co muszę zapytać.

Binwa odwraca się w naszą stronę.

– Astrid naprawdę nic nie jest, Dean. I ty też zaraz się lepiej poczujesz.

– Tak, wiem, ale nie o to chodzi. Chodzi o dziecko. Chłopiec czy dziewczynka? – pytam.

– Masz synka – mówi Binwa. – Waży równe dwa kilogramy.

EPILOG

Mamy pokój nad kuchnią, bo tu jest najcieplej w całym domu.

Cały mój niepokój o wujka Nika (czy nas przygarnie? Czy będzie chciało mu się nas utrzymywać?) zniknął, gdy zajechaliśmy przed jego dom fordem focusem Sandy.

Ale po drodze w samochodzie napięcie rosło z każdym kilometrem. Sandy, która wzięła sobie dzień wolnego, żeby nas podwieźć, całą drogę nawijała pogodnie, jak to ona. Astrid siedziała z tyłu przy foteliku (który Sandy skądś wytrzasnęła). Ja jechałem z przodu i się zamartwiałem.

Mój niepokój tylko wzrósł, kiedy zobaczyłem znak: „Farma rodzinna Pfeifferów – sam zbieraj swoje owoce!”. Stał w sadzie pełnym jabłoni, tylko że wszystkie drzewka były suche. Wokół wały się śmieci. Wyglądało na to, że obozowało tu niedawno całkiem sporo uchodźców. Widać było ślady po ogniskach, dziury pełne papieru toaletowego.

Nie wyglądało to obiecująco.

Obróciłem się do Astrid, która patrzyła na małego Charliego.

Charles Everett Grieder Heyman. Charles po ojcu Astrid. Everett po ojcu Jake'a. Grieder po mnie.

Wciąż nie mogłem w to uwierzyć. Tak się martwiłem, co ona tak naprawdę do mnie czuje, a ona – proszę bardzo – nazwała swojego syna Grieder. Na zawsze wpisała mnie w swoje życie.

Kocha mnie.

– W porządku? – spytałem.

Skinęła głową.

Mała twarzączka mędrca była jedyną częścią Charliego, jaką dało się teraz zobaczyć. Jego zupełnie łysa główka zakryta była czapeczką, którą mu dali w USAMRIID.

Jechaliśmy dalej zwirową aleją pełną dziur, a wokół nas na drzewach wisiały znaki: „Pokoi brak!”, „Brak miejsc”, „Jedzenia brak”, „Wstęp wzbroniony”.

Ilu uchodźców się tędy przewinęło?

Ale gdy jechaliśmy dalej – a droga była naprawdę długa – z czasem znaki zniknęły i okolica się zmieniła. Sady pełne drzew porastały wzgórza po obu stronach drogi. Przez wartki strumień przerzucony był drewniany mostek. To była naprawdę rozległa farma.

Lekarze z USAMRIID uparli się, że zrobią mnóstwo badań Josie, Astrid, Charliemu i nawet mnie. Badania krwi, rezonans magnetyczny, tomografia, znów badanie krwi. Ale nie daliśmy sobie zrobić wszystkich badań, szczególnie Charliemu, i doktor Cutlass upewnił się, że wszyscy uszanowali nasze zastrzeżenia.

Doktor osobiście stawiał się na każde badanie, nawet jeśli to był tylko pomiar ciśnienia. Wciąż był przy nas. Podejrzewam, że głównie chodziło mu o jak najwięcej szczegółów ostatnich dni Braydena, a nie o pilnowanie przebiegu badań, ale go rozumiem. Powiedziałem mu wszystko. No, może nie wszystko. Uznałem, że nie musi wiedzieć, że Brayden wciąż się mnie czepiał. Ale opowiedziałem mu o tym, jak Brayden zbudował Pociąg, jak wspierał Jake’a, gdy ten przeprowadzał swoją kampanię wyborczą.

Doktor Cutlass dosłownie na naszych oczach zmienił się w dobrego człowieka.

Josie wypuszczono ze szpitala wcześniej niż nas. Astrid potrzebowała więcej czasu, żeby dojść do siebie po cesarce, a ja wciąż byłem w kiepskim stanie po wstrząśnieniu mózgu. Zostaliśmy tam tydzień.

Nauczyli nas zajmować się dzieckiem, a my co dnia odkrywaliśmy, jaki Charlie jest niesamowity. Ponieważ Astrid w ciąży była wystawiona na działanie chemikaliów, Charlie rósł w przyśpieszonym tempie. Wcześniaki urodzone w dwudziestym ósmym tygodniu ciąży ważą około kilograma. Charlie ważył dwa razy tyle. Jego płuca były w pełni rozwinięte. Uszy były w porządku, oczy też. Lekarze z fascynacją analizowali jego przyśpieszony wzrost.

Chcieli kontynuować obserwację.

Powiedzieliśmy, że się nad tym zastanowimy.

W końcu zajechaliśmy przed sam dom. Wuj Nika wyszedł szybko na swoich długich nogach. Szeroko rozłożył ramiona na nasze powitanie. Niko i Josie biegli za nim. Josie była tak przejęta, że niemal podskakiwała z radości.

Może to przez tło – stary wiejski dom, dąb z huśtawkami z opon i biegające pod nogami kurczaki – ale Niko i Josie już wyglądali jak prawdziwi farmerzy. Niko miał na sobie koszulę w kratę i dżinsy, Josie – spódnice, sweter i tenisówki.

– Jestem Tim – powiedział wuj Nika, otwierając drzwi Sandy. – Witamy na farmie rodzinnej Pfeifferów. Nie mieliście problemów ze znalezieniem drogi?

– Jechaliśmy dokładnie według pańskich wskazówek. Łatwizna – odpowiedziała Sandy. Tim podał jej rękę i pomógł wysiąść.

– Ty pewnie jesteś Dean – zwrócił się do mnie. – Wiele o tobie słyszałem.

Podszedł do mnie, chwycił moją dłoń w swoją wielką łapę i potrząsnął mocno.

– Bardzo dziękujemy, że pozwolił nam pan tu przyjechać – powiedziałem.

Machnął ręką.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Naprawdę. Jakżeby mogło być inaczej. Przecież należycie do rodziny!

Otworzyłem drzwi i pomogłem Astrid wysiąść.

– Jestem Astrid – przedstawiła się.

Wuj od razu ją przytulił.

– Ostrożnie, wujku! – zawołał Niko. – Ona jest świeżo po operacji.

Ale Astrid nic nie było. Uśmiechała się szeroko i sama jeszcze mocniej uściskała Nika i Josie.

Pochyliłem się do środka i wypiąłem fotelik.

Nasz syn był tak opatulony, jak potrafią to zrobić tylko pielęgniarki. Spał.

– A oto Charlie – powiedziałem.

– No patrzcie państwo! – zawołał Tim. – Prawdziwe dziecko.

– Z Charliego to dopiero jest słodziak – już nawijała Sandy. Stała teraz przy Josie. – Wszystkie pielęgniarki w USAMRIID... Czy wy sobie to w ogóle potraficie wyobrazić?... Przecież zawsze dostajemy tylko chorych, a tu w tym roku nagle dzieci! Tyle wspaniałych dzidziusiów!

Z domu wyszedł mężczyzna i podszedł do nas.

Był niski, tęgi i uśmiechał się od ucha do ucha.

– A to kto? – spytałem Nika.

– Nie uwierzysz! – odszepnął.

Mężczyzna podszedł prosto do nas. Wyciągnął rękę.

– Patrick Wenner. Tak się cieszę, że mogę was poznać! Naprawdę nie macie pojęcia, jak bardzo.

To był tata Sahalii!

W drodze do domu Niko opowiedział mi mniej więcej, co się tu wydarzyło. Gdy Niko pokazał wujkowi list Aleksa do redakcji i opowiedział mu o nas, wuj od razu postanowił, że farma powinna stać się domem dla wszystkich z naszej grupy, którzy zechcą przyjechać. Gościł wtedy dwie rodziny uchodźców, ale poprosił ich, żeby znaleźli sobie inne miejsce, byśmy mogli się pomieścić. Przyznał się Nikowi, że ucieszył się, gdy wreszcie się wynieśli, bo ponoć nie chcieli pomagać na farmie, dużo jedli i jeszcze więcej narzekali.

Wuj Tim zwrócił się też do rządu kanadyjskiego z oficjalną prośbą o wypuszczenie Aleksa i Sahalii i oddanie ich pod jego opiekę. Mieli przyjechać za kilka dni.

Zaraz potem pan Wenner skontaktował się z Alekssem w Quilchenie i Alex kazał mu od razu jechać na farmę. W dodatku trzymał to w tajemnicy przed Sahalią. Mój brat uwielbia robić niespodzianki.

Trochę się martwiłem, że tym razem może jednak przesadził. Czy Sahalia nie wolałaby wiedzieć jak najszybciej, że jej ojciec żyje i zaraz go zobaczy?

Choć wuj Tim zaprosił też McKinleyów, postanowili na razie zostać w Kanadzie, a wraz z nimi została tam Chloe. Rodzina Dominguezów planowała przeprowadzkę do Nowego Meksyku, bo pani Dominguez miała tam siostrę. Zamierzała adoptować Maksa.

Wyglądało więc na to, że jednak nie zamieszkamy wszyscy razem w jednej wielkiej komunie.

Ale na pewno będą nas odwiedzać. Co do tego nie miałem wątpliwości. Dzieciaki będą zachwycone. Oczami wyobraźni już widziałem, jak Chloe i Max będą się kłócić o huśtawkę.

Jeszcze w szpitalu Astrid napisała list do Jake'a na adres jego mamy w Teksasie. Opowiedziała mu o narodzinach Charliego i poprosiła, żeby przyjechał do nas na farmę. Też napisałem do niego list, prosząc o to samo. Naprawdę myślę, że wystarczy, by Jake zobaczył Charliego, a wreszcie raz na zawsze dojdzie do siebie.

Josie za to wysyła mnóstwo listów, żeby ściągnąć do nas sieroty, które poznała w Mizzou. Wuj Tim jest gotów się nimi zaopiekować.

Po „masakrze w Mizzou”, jak to wydarzenie ochrzciła prasa, rząd musiał w końcu przyznać, że wściekłe wiatry są rzeczywistością. Nie mieli wyjścia. W obozie było kilkaset ofiar śmiertelnych.

W gazetach wciąż teraz piszą o wietrze i o całej tej kampanii, która miała na celu ukryć go przed ludźmi. Prezydent Booker zażądał śledztwa w sprawie ukrywania tak ważnych informacji, ale niektórzy myślą, że to właśnie on zarządził wyciszenie sprawy.

W każdym razie przynajmniej zaostrzono środki bezpieczeństwa w rejonach, w których wciąż istnieje ryzyko. I Bogu dzięki zamknięto obozy dla osób z grupą krwi 0. Opowieści Josie o tym, co się działo w jej obozie, przechodzą ludzkie pojęcie.

Farma rodzinna Pfeifferów stała się nowym domem dla Aleksa i mnie, dla Astrid, Sahalii, Josie, Nika, Charliego oraz pana Wennera. Wkrótce przyjedzie tu więcej ludzi. I się pomieszczą. Nie brakuje miejsca. I nie brakuje nadziei.

– To przeogromny teren – mówił mi właśnie Niko. – Mamy dwanaście hektarów jabłoni, sześć hektarów śliw i kolejne sześć białych brzoskwiń. Poza tym wuj miał też stado stu owiec. Chwilowo hodowli nie ma, ale teraz, mając nas do pomocy, wuj już myśli o tym, żeby znów zacząć.

– W miasteczku był kiermasz wymiany rzeczy – opowiadała w tym czasie Josie Astrid. – Zdobyliśmy tam koszyk dla dzidziusia i trochę ubranek. Tylko nie wiem, czy nie będą za duże.

– Na pewno będą dobre – uspokoiła ją Astrid, biorąc ją pod ramię. – Dziękuję.

Niko i pan Wenner rozmawiali o maszynach rolniczych, a Sandy paplała do wuja Tima. Czy ona z nim przypadkiem nie flirtowała? Trudno powiedzieć, ale był zarumieniony i wyraźnie zadowolony, że Sandy zwraca na niego uwagę.

Wuj Tim z dumą oprowadził mnie, Astrid i Sandy po domu. W każdym pokoju leżały tkane wełniane dywaniki. Ręczna robota z czasów, gdy jeszcze były owce, pochwalił się. Na łóżkach leżały piękne narzuty amiszów i nawet na ścianach wisały ozdobne kołdry.

– Ta jest w mojej rodzinie od ponad stu lat – powiedział wuj Tim, wskazując nam narzutę z kilkunastoma nakładającymi się owalami. – A tę dała mi moja świętej pamięci żona w dzień naszego ślubu.

W korytarzu na ścianach zobaczyliśmy śliczne lampki naftowe z lusterkami. Między nimi wisały czarno-białe portrety ludzi pozujących dumnie na tle zwierząt i maszyn rolniczych.

– Z pokolenia na pokolenie nasza rodzina malała. Kiedyś pod jednym dachem mieszkało tu dwudziestu Pfeifferów z trzech pokoleń – opowiadał Tim. – Ale potem jakoś nie mieliśmy szczęścia. Gdy umarła moja siostra, czyli mama Nika, zostałem tu zupełnie sam. Kuzynów nie interesuje praca na roli. Siedziałem więc sam jak palec przez kilka lat i już nawet myślałem

o tym, żeby sprzedać to wszystko, przeprowadzić się na Florydę... i pewnie oszaleć tam z bezczynności.

Pokazał nam nasz pokój – ze starym drewnianym, rzeźbionym łóżkiem i przepięknymi narzutami. Obok stał koszyk dla dziecka. Na starej skrzyni posagowej leżała paczka pieluszek. Fotel bujany wyglądał, jakby miał co najmniej sto lat.

Astrid ujęła mnie za dłoń. Oczy jej lśniły.

– Nie potrafię wam powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że znów będzie tu gwaro – powiedział wuj Tim. – To wreszcie znowu jest prawdziwy dom.

Mam wrażenie, że wstaję do Charliego co dwie godziny. Ale to mi nie przeszkadza.

Podaję go Astrid. Ona go karmi, a potem zmieniam mu pieluchę i z powrotem opatulam.

Czasami bujam się z nim w fotelu, a on otwiera zaspane błękitne oczy i zaciska paluszki na moim palcu. Ziewa. Wpatruję się w jego usteczka. Wydaje takie śmieszne dźwięki. Czy kogoś woła? Może do mnie mówi. A może do kocyka. Albo do Boga.

Nigdy nie przypuszczałem nawet, jak boskie są noworodki, póki nie przytulilem mojego syna. Teraz już rozumiem, dlaczego wszyscy chcą je brać na ręce. Wypełniają pustkę.

Dziś przyjadą Alex i Sahalia.

Wszyscy jesteśmy niezwykle przejęci.

Ich sypialnie są na drugim piętrze. Aleksa ulokujemy w pokoju na jednym końcu, Sahalię na drugim, a pośrodku pana Wennera. Odrobina

odległości im nie zaszkodzi. Niech się nie śpieszą.

Świetnie się bawiliśmy, sprząając pokoje. Niko i ja wyciągnęliśmy materace i wytrzepaliśmy trzepaczką. Wyszorowaliśmy podłogi, zebraliśmy pajęczyny z kątów i szuflad.

Będą zachwyceni.

Alex i Niko na pewno będą mieli mnóstwo świetnych pomysłów na ulepszenie farmy i zwiększenie jej wydajności. I nie mogę się doczekać, aż Sahalia zobaczy ojca.

Alex wydał nam bardzo szczegółowe instrukcje dotyczące ich przyjazdu.

Przede wszystkim tylko wujowi Timowi pozwolił odebrać ich z lotniska. Powiedziałem mu (w bazie lotnictwa pozwolili mu porozmawiać z tamtejszego telefonu stacjonarnego), że chcę wyjechać po nich z wujem Timem, ale się uparł, że nie, bo wszystko wypaplam, i kazał mi zostać w domu.

Prawdę powiedziawszy, w pikapie wuja Tima wygodnie mogą jechać tylko trzy osoby, więc się już z nim nie kłóciłem.

Ale zajmuje im to całe wieki. Lotnisko jest tylko godzinę i dwadzieścia minut drogi stąd, a samolot miał wylądować o jedenastej. Nie tęsknię bardzo za minitabami, ale teraz tobym zabił za możliwość wysłania esemesa.

Gdzie oni się podziewają? Dlaczego tak długo to trwa?

Jesteśmy na werandzie. Astrid kołysze Charliego, który właśnie skończył jeść. Ja krążę w tę i we w tę.

– Powinni już tu być, nie? Czemu im tak długo schodzi?

– Na pewno zaraz będą – uspokaja mnie.

– Powinni już być godzinę temu!

– Wchodzimy do środka, prawda, Charlie? Będziemy robić wszystko według planu Aleksa.

Bo według planu Aleksa jestem nie w tym miejscu, co trzeba. Astrid i ja mamy być z dzieckiem w środku, żeby pan Wenner mógł sam podejść do samochodu i zaskoczyć Sahalię.

Tymczasem pan Wenner jest w środku i krąży niespokojnie wokół kuchennego stołu.

W końcu, w końcu słyszę koła na żwirze.

– Jada! Jada! – mówię (okej, krzyczę).

– Chowaj się, szybko! – woła Astrid.

– O Boże – szepcze pan Wenner, otwierając drzwi i wychodząc na próg.
– To się naprawdę dzieje.

Ściskam go jeszcze, gratuluję mu i chowam się w kuchni, ale wyglądam przez zmatowiałą ze starości szybę w oknie nad zlewem.

Przyciągam Astrid i Charliego do siebie.

Śpi w jej ramionach, z błogim, mlecznym uśmiechem.

– Już się nie mogę doczekać, aż przedstawię Charliemu Aleksa! – mówię.

Astrid chowa twarz w kocyki Charliego.

Już się popłakała. To takie słodkie.

– Patrz! – wołam.

Widzimy samochód i, o Boże, jak oni wolno jada, chyba wymijają dosłownie każdy wybój na drodze. Nic dziwnego, że tyle im to zajęło.

Widzę teraz, że na skrzyni pikapa siedzą dwie osoby. To trochę dziwne. Chcieli mieć lepszy widok czy co?

Wuj Tim nawet nie ma czasu wyłączyć silnika, a już słyszczyć krzyk Sahalii:

– Tatusiu! Tatusiu!

Zeskakuje z naczepy i pan Wenner przytula ją mocno. Wirują jak szaleni, śmieją się, płaczą i znów tulą, jakby to było zbyt piękne, żeby mogło być

prawdziwe.

Ale jest i piękne, i prawdziwe. I aż mnie serce boli z radości, gdy patrzę na nich razem.

Sahalia tak bardzo się zmieniła. Jej tata będzie zdumiony, gdy odkryje, kim się stała jego córka. A może ona zawsze była dobrą, troskliwą dziewczyną, tylko ukrywała to za tą durną maską?

Całuję Astrid w czubek głowy.

– Dean – szepcze ona. – Spójrz. To nie koniec niespodzianek.

Wskazuje mi brodą okno.

Alex zeskakuje z tyłu samochodu i otwiera drzwi pasażera.

Przysuwam nos do szyby.

Z kabiny wychodzi mężczyzna.

To chyba... to chyba... to mój tata.

Pędzę do drzwi, otwieram je i... tak, to tata.

Biegnę po żwirze.

Nogi same mnie niosą.

Widzę, że za tatą siedzi w kabinie kobieta, chyba bardzo słaba.

Potrzebuje pomocy przy wysiadaniu i to moja matka.

– Mamo! – wrzeszczę. – Mamo! Tato!

Dopadam do nich i się zatrzymuję, stopy ślizgają się na żwirze.

Ostrożnie, bardzo ostrożnie ją przytulam. Jest chuda i widzę, nie, czuję policzkiem, że ma okropne poparzenia na twarzy i szyi. Ma opatrunki, dziwnie lśniąca skórę i trzymam ją w ramionach. Jest taka chuda i trzymam ją w ramionach.

Moja matka.

Tata otacza nas ramieniem, Alex wtula się między nas i wszyscy płaczemy i śmiejemy się jednocześnie. Jesteśmy plątaniną. Węzłem. Grupą. Rodziną.

Tata całuje mnie w tył głowy, a Alex uśmiecha się jak wariat. W życiu nie widziałem go aż tak szczęśliwego i wiem, że już nigdy nie będzie szczęśliwszy. Udało mu się. Odzyskał naszą rodzinę.

Za chwilę podejdzie do nas Astrid i przedstawię rodzicom mojego syna i moją (na pewno wkrótce) żonę.

Ale póki co daję się tulić mamie.

– Mój kochany – szepcze. – Myślałam już, że straciłam cię na zawsze.

Obejmuję matkę bardzo ostrożnie i mówię jej, że ją kocham.

Podziękowania

Przede wszystkim chciałabym podziękować Holly West, mojej redaktorce z Feiwel and Friends. Podczas ostatnich czterech lat pracy nad serią „Monument 14” Holly zdobywała coraz ważniejsze stanowiska, aż została zastępcą redaktor naczelnej. To Holly zakochała się w mojej książce, gdy była ona zaledwie propozycją wydawniczą, i nalegała, żeby Jean Feiwel naprawdę dobrze się jej przyjrzała. Holly pomagała mi przy pierwszych dwóch tomach, a przy trzecim zupełnie przejęła redakcję. Mam wielkie szczęście, że mogę z tobą pracować, Holly, i nadzieję, że czeka nas jeszcze wiele owocnych lat.

Jean Feiwel, uwielbiam być twoją przyjaciółką. Dziękuję, że zawalczyłaś o moją serię.

Wielkie podziękowania należą się mojej wspaniałej agentce, Susannie Einstein, za jej przyszłościowe myślenie (i obstawianie tyłów) oraz Sandy Hodgman za pomoc w przedstawieniu mojej serii światu.

Seria ta nie odniosłaby takiego sukcesu, gdyby nie starania działu reklamy Macmillan Children. I na pewno nie byłaby taka piękna, gdyby nie genialny dział grafiki. No i gdyby dział sprzedaży nie pchnął jej niczym czterdziestotonowy TIR. I jest jeszcze dział marketingu, który po prostu mam ochotę ucałować w same usta za wszystko, co dla mnie zrobił.

Może już chwytacie, o co mi ogólnie chodzi? Trzeba kilku działów wydawnictwa i całego zastępu ludzi, żeby książka stała się hitem. I dlatego krzyczę do wszystkich tych wspaniałych ludzi z Macmillana: Dziękuję

wam! Wydawnicza supergwiazdo Molly Brouillette – dzięki! I wam: geniuszu okładek KB! Lauren „Brings It” Burniac! Uroczy Angusie Killicku! Elizabeth Fithian, za którą poszłabym na koniec świata! Allison „Vrrrrrooom” Verost! Odważna Kathryn Little! Genialny Richu Deas! The GonzBargRuCronTaylWards Hit Squad! Cierpliwy, cierpliwy Davie Barretcie! Kseniu „Kickass Blog Tour” Winnicki! Courtney „Go! Go!” Griffin! Dziękuję wam!

Anne Heausler, mam zaszczyt dzielić się tobą, jedną z najlepszych adiusterek Wschodniego Wybrzeża, z niezliczonymi gwiazdami literatury dla młodzieży. Mamy wielkie szczęście, że nas wspierasz.

A oto wspaniały zespół krytycznych czytelników, którzy pomagali mi przy *Wściekłym wietrze*: Kristin Bair, Jonathan Blake, Shyam Dewan, Greg Harrison, Lukas Lopez-Jensen, Zack Martin, Donna Miele, Ken Herndon, Tiffany Zehnal, mój tata Kit Laybourne i mój wuj, pułkownik Tim Ryley. Wszystkim im dziękuję z całego serca.

Jestem niezwykle przejęta tym, że firma produkcyjna Strange Weather już pracuje nad filmem *Monument 14*. Jeffowi Fiersonowi dziękuję za to, że zakochał się w mojej książce i że wierzy w nią i we mnie. Już się nie mogę doczekać pracy z Andrew Adamsonem i Aronem Wernerem. I dziękuję mojemu agentowi filmowemu, Stephenowi Moore’owi, za wypracowanie umowy, a także Kim Stenton za dopilnowanie wszystkich szczegółów.

Adam Cushman i Red 14 zrobili niesamowity zwiastun *Wściekłego wiatru*. Dziękuję też Deka Brothers, Benowi i Julienowi, za ich wizję. Zwiastun można zobaczyć na emmylayborne.com lub na stronie Red 14, Red14films.com.

(Czy nie uważacie, że to przedziwne, iż firma produkcyjna, z którą współpracuję, nazywa się Strange Weather, a firma, która zrobiła zwiastun

książki pod tytułem *Wściekły wiatr*, naprawdę nazywa się Red 14? Bo ja tak uważam).

Zadedykowałam tę książkę moim siostrom, Herran i Renee, bo obie były w tym roku niezwykle dzielne. Każda z was podarowała mi w 2013 roku coś niesamowitego i chciałam podziękować wam obu.

Moje dzieci uwielbiają czytać swoje imiona w książkach, więc wymieniam je tu oczywiście: Ellie i Rex, cześć! Mam wielkie szczęście, że jestem waszą mamą. Ostatnia osoba, której pragnę podziękować, jest zarazem pierwszą w moim sercu – to mój mąż Gregory Robert Podunovich. W pracy nad tą serią nigdy nie opuszczała mnie twoja niezachwiana wiara we mnie. Dziękuję!

Spis treści

MONUMENT 14. WŚCIEKŁY WIATR

Dedykacja

Mapa

Do redakcji

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Jossie](#)

[Dean](#)

[Jossie](#)

[Dean](#)

[Jossie](#)

[Dean](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Spis treści](#)

[Strona redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *Monument 14. Savage Drift*

Copyright © 2013 by Emmy Laybourne
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2014

Informacja o zabezpieczeniach:

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Projekt okładki i ilustracji: Kathleen Breitenfeld

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Sławomir Folkman

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Monument 14. Wściekły wiatr, wyd. I, Poznań 2014)

ISBN 978-83-7818-320-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl